



DODATEK HISTORYCZNY

**NAJWYBITNIEJSI
POLACY W CYKLU**

**„SUKCESY XX-LECIA
MIĘDZYWOJENNEGO”**

**WICEPREMIER PIOTR GLIŃSKI:
PEERELOWSKIE
DZIEDZICTWO WCIAŻ STRASZY**



**DODATEK
PROGNOZY NA 2020**

ROKITA:

NARBUTT:

JAK UKRAŚĆ MILIARD

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 1-2 (370-371) 2020
30 XII 2019-12 I 2020

CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

KTO STOI ZA HOŁOWNIĄ?

TYLKO U NAS

**UJAWNIAMY. W KAMPANII KANDYDATA Z TVN BĘDZIE MAŁO AUTENTYZMU,
ZA TO MNÓSTWO PIENIĘDZY I BADAŃ SONDAŻOWYCH.**

CELEM OPERACJI JEST WYKREOWANIE NOWEJ PARTII



INDKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269007

NA ŚWIĘTA WYBIERZ TELEWIZJĘ INTERNETOWĄ Z DEKODEREM, **na start** **3 miesiące bez opłat!**



Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

- Włączaj pakiety, kiedy chcesz, i płać tylko za te programy, które wybrałeś
- Oglądaj wybrany контент nawet do 7 dni wstecz

Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów dostępna przy umowach pisemnych z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupowane przez Klienta pakiety i usługi dodatkowe. Usługa wymaga łącza o prędkości min. 8 Mb/s na jeden dekoder. Opłata za transmisję danych zgodna z taryfą operatora usługi Internet. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za transmisję danych w usłudze Internet. Funkcja oglądania wybranych programów do 7 dni wstecz (CatchUP) jest dostępna dla określonych audycji i przekazów na wybranych kanałach, które Klient posiada w ramach wykupionego pakietu usługi telewizji internetowej. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej”, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. „Green Book” © DreamWorks. „Wataha” © HBO Europe s.r.o. 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone. La Liga Santander w ELEVEN SPORTS.



Rysuje Rafał Zawistowski

Najważniejszy żagiel III RP został rozpruty

Jeszcze przed świętami redaktorzy mediów III RP urządzili typowy dla tego świata konkurs: kto wymyśli najbardziej przerażającą, najbardziej dosadną nazwę projektu ustawy, która ma ograniczyć polityczne zaangażowanie sędziów. W finale znalazły się „ustawa kagańcowa”, „kagańcówka” i „ustawa represyjna”. Na fali wzmożenia znany adwokat wydrukował nawet tekst, w którym ubolewał, że „demokratyczni Polacy” znowu spędzają Wigilię przed Sejmem, walcząc o praworządność. Przekonanie, że plan wypali, musiało być zatem potężne.

Powtórki z puczu grudniowego 2016 czy lipca 2017 r. jednak nie było. Próby rozgrzania atmosfery będą się oczywiście powtarzały, bo opozycja tych emocji potrzebuje, ona się nimi żywi. Ale nie zmienia to faktu, że rok 2019 zakończył się jej ogromną klęską. Demonstracje się nie udały, niemal nikt nie uwierzył w alarmy o końcu demokracji. I nawet duże wsparcie od koleżanek i kolegów z Brukseli nie pomogło. Co poszło nie tak? Jakże są przyczyny rozprucia największego żagla III RP?

Po pierwsze, jesteśmy świeżo po wyborach parlamentarnych, które były także referendum w sprawie reformy sądownictwa. Cztery poprzednie lata opozycja grzmiała w tej sprawie, wyciągała ludzi na ulice, był to jej najważniejszy sztandar. Miał być to także żagiel wyborczy, ale Polacy 13 października 2019 r. wybrali kontynuację zarówno rządu, jak i reform. Daje to obecnym wysiłkom, by powstrzymać próby politycznego anarchizowania sądownictwa, szczególnie silny demokratyczny mandat.

Po drugie, opowieść o dobrych sędziach, przejętych losem ludzi, nie przekonuje już chyba nikogo poza autorami tych bajeczek. Bolesnie doświadczył tego Jan Śpiewak, aktywista miejski walczący z dziką reprivatyzacją, który w lipcu 2017 r. osobiście organizował jedną z demonstracji przed Pałacem Prezydenckim. Dziś skazany na drakońską karę za słowa o jednej z mecenas stwierdza: „Moja sprawa pokazuje, że każdy, kto podniesie rękę na elity prawnicze, temu wymiar sprawiedliwości tę rękę utnie”. Oczywiście, Śpiewak to nadal nie jest człowiek prawicy, lubi dla zasady uderzać

w obie strony, ale jego przypadek jest dla obrońców systemu III RP demolujący.

Potrzenie, bardzo pogubili się w tym wszystkim sami sędziowie, którzy bez zahamowania osobiście stanęli na politycznych barykadach, założyli koszulki z plakatami politycznymi, poszli na wiece, i to często ramie w ramie z tymi, których za chwilę mają sądzić w sprawach korupcyjnych. W państwie demokratycznym to sytuacja kuriozalna i śmiertelnie groźna. Już wcześniej osoby spoza układów mogły mieć poczucie, że są w sądach podsądni lepsi i gorsi. Teraz jest to już oczywiste. Na dodatek sędziowie podjęli bardzo niemądrą próbę przejęcia dodatkowej władzy – bo nie do nich należy ocena, czy inny sędzia ma prawo sądzić, czy ustawa, która im się nie podoba, obowiązuje.

Po czwarte, w sprawie sądownictwa to reformatorzy mają rację – prawną, moralną i polityczną. Prawną, bo korekta systemu była konieczna i jest przeprowadzana zgodnie z konstytucją, co orzekł m.in. Trybunał Konstytucyjny, ale także w niektórych wyrokach NSA. Kształt wymiaru sprawiedliwości jest w świetle traktatów unijnych wyłączną kompetencją państw narodowych, a dowodów na łamanie praworządności w Polsce nie ma żadnych. Nikt nie jest w stanie wskazać jednej sprawy, w której podejrzenie nacisków wpływania na wyrok sądu byłoby uzasadnione.

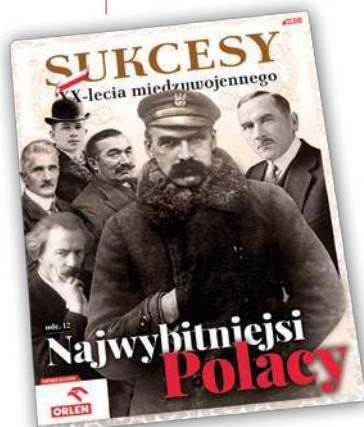
Moralną, bo Polacy mają prawo do uczciwego wymiaru sprawiedliwości, takiego samego, jakim cieszą się Francuzi i Niemcy, a nie hybrydy wyrastającej wprost z roku 1944. Naprawdę, nie musimy żyć z sędziami (i to sądów najważniejszych), których nagrania sugerujące korupcję hulają po internecie.

Polityczną, bo parlament Rzeczypospolitej Polskiej – poprzedni i obecny – uchwalił zmiany zgodnie z ustawą zasadniczą, ustawami, własnymi uprawnieniami i silnym mandatem demokratycznym. Mają one akceptację prezydenta.

Ta bitwa długo jeszcze będzie nas zajmowała. Ale obóz reformatorski musi ją dokończyć. Stawką jest nasza demokracja, suwerenność i praworządność. Szanse na zwycięstwo są dziś większe niż kiedykolwiek.

Michał Karnowski


20
Szopka Talent Show
Krzysztof Feusette

34
Wygrani, przegrani 2019
Stanisław Janecki

**53-
-64**
**Sukcesy XX-lecia
międzywojennego**
dodatek historyczny

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **TOAST NOWOROCZNY**
Krzysztof Feusette
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziej
- 12** **SZCZERZE: TO CZŁOWIEK FAŁSZYWK**
Jan Pietrzak
- 13** **SNOBIZM NIE TYLKO POLSKI**
Bronisław Wildstein
- 14** **CELEBRYTA NA PLUSZOWYM KRZYŻU**
Andrzej Rafał Potocki
- 15** **RAZEM W CHWILI PRÓBY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16** **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18** **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

SZOPKA NOWOROCZNA

- 20** **SZOPKA TALENT SHOW**
Krzysztof Feusette

KRAJ

- 24** **KANDYDAT Z FOCUSÓW**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 30** **Z PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 34** **WYGRANI, PRZEGRANI 2019**
Stanisław Janecki
- 38** **Z JAROSŁAWEM SZARKIEM**
rozmawia Michał Karnowski
- 42** **NIEMCY I POLSKA: CHCEMY
WSPÓLNIE KSZTAŁTOWAĆ
PRZYSZŁOŚĆ W OPARCIU
O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ**
Rolf Nikel
- 44** **Z KONRADEM SZYMAŃSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek
- 47** **TUSK STRZELA SOBIE W KOLANO**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 48** **M JAK MAGIA NOWOROCZNA**
Hanna Karp
- 50** **WARIANT IZRAELSKI**
Marek Budzisz

NA NOWY ROK

- 66** **ROK RAFAELA, DUDY,
TRUMPA I BEETHOVENA**
Jan Rokita

- 70** **KOLONIALNY KALAFIOR,
CZYLI ABSURDY LEWICY**
Aleksandra Rybińska
- 74** **Z JANEM PIETRZAKIEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 78** **JAK UKRAŚĆ MILIARD EURO**
Maja Narbutt
- 82** **TURBULENCJE PODNIEBNEGO GIGANTA**
Konrad Kołodziej
- 86** **URZĘDNIK DOSKONAŁY**
Wojciech Łada
- 89** **NORTON DRUGIM EASTWOODEM?**
Łukasz Adamski
- 93** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 94** **CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 96** **POLECA**
Łukasz Adamski

PODRÓŻE

- 102** **MOJE SZLAKI: KAROL STRASBURGER**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 103** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 104** **NIECH 2020 NAUCZY SIĘ OD 1920**
Maciej Pawlicki
- 105** **PAMIĘĆ NIE UMIERA**
Alina Czerniakowska
- 106** **W OCZEKIWANIU NA ŁUK
TRIUMFALNY**
Wojciech Reszczyński
- 107** **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 108** **NOWOROCZNE BALONIKI**
Aleksander Nalaskowski
- 109** **NIECHCIANE PREZENTY**
Wiktor Świetlik
- 110** **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 112** **POCIĄGI DWA**
Ryszard Makowski
- 113** **Z NOWYM ROKIEM**
Leszek Długosz
- 114** **PANI IMBRYK**
Katarzyna Zybortowicz

WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ MAMY DZIĘKI NIM.
NIE ZAPOMNIMY.



ROZNIKA WYBUCHU POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO



ORLEN

Sygnalista nadaje

Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej **Frans Timmermans** napisał list pożegnalny do wychodzącej z Unii Europejskiej Wielkiej Brytanii. „Wiem, że wiesz. Kocham cię. Za to, kim jesteś, i za to, co mi dałaś. Jestem jak dawny kochanek. W związku z tym, że chodziłem do brytyjskiej szkoły, zawsze byłaś częścią mnie. Teraz odchodzisz, to łamie mi serce” – ubolewał Holender, który – jak wiemy – przynajmniej się tak do miłości do Polski. Jak to jest, że wszyscy, których kocha, czują się tak mocno poobijani?

Timmermans ma jednak nadzieję, że to nie koniec. „Prawdę mówiąc, bardzo cierpiałem, kiedy zdecydowałaś o odejściu. Po trzech latach jest mi po prostu smutno, że członek naszej rodziny chce zerwać nasze więzi. Ale jednocześnie znajduję ukojenie w myśli, że rodzinne więzi nie mogą nigdy być naprawdę zerwane”. To prawda, ale powinien uwzględnić to, że z punktu widzenia wielu Brytyjczyków były to więzi patologiczne. A w takiej sytuacji lepiej żyć osobno.

Według badań Eurobarometru nastroje eurosceptyczne rosną również w Polsce. Na pytanie: „Czy Polskę czeka lepsza przyszłość poza Unią?”, wiosną miało odpowiadać twierdząco aż 47 proc. naszych rodaków, najwięcej w Europie wyjąwszy Słowenię. „To jest najbardziej przerażający sondaż, jaki zdarzyło mi się widzieć w ostatnim czasie...” – martwił się Leszek Jażdżewski. „Więcej Polaków chce teraz wyjść z Unii, niż w niej pozostać” – cieszył się z kolei Nigel Farage. Ale większość z nas, patrząc na te dane, mruknęła zapewne: dziwne, bardzo dziwne.

Dziwne, ponieważ to wynik sprzeczny ze wszystkimi innymi w tym obszarze. I rzeczywiście badanie pracowni Social Changes, przeprowadzone tuż przed świętami, potwierdza, że nie ma mowy o wzroście nastrojów antyunijnych. Zaledwie 21 proc. badanych sądzi, że Polska miałaby się lepiej poza Unią, przeciwnego zdania jest 60 proc. W opinii aż 68 proc. badanych wyjście z Unii stanowiłoby zagrożenie dla Polski. Skąd więc Eurobarometr wziął swoje wyniki? Albo inaczej: czyżby ktoś postanowił uruchomić jakąś nową sondażową dźwignię przeciwko rządowi?

Również przed świętami przed ważnym testem stanęła Konfederacja, która wstrzymała się w głosowaniu nad ustawami przywracającymi elementarną dyscyplinę w sądownictwie. „Stanowisko Platformy nie było dla mnie zaskoczeniem. Zaskoczeniem było dla mnie stanowisko Konfederacji. Stanęli po stronie ingerencji ze strony Unii Europejskiej. To było szokujące, bo tu rozstrzygała się sprawa niepodległości” – celnie skomentował Antoni Macierewicz. Ale powstanie Konfederacji ma też plusy: coraz lepiej rozumiemy Piłsudskiego.

Dlaczego Konfederacja się wstrzymała? „Bo tamci to chcą, żeby sądy były pod tym albo tamtym. A my chcemy mieć sądy naprawdę niezależne, również od nas i również od Unii Europejskiej” – przekonywał Korwin-Mikke, zapowiadając „opcję zerową” w sądownictwie. „Czyli nie o tym, żeby zmieniać ustawy wstecz, tylko żeby zrobić nowe rozdanie i od nowa zrobić nabór sędziów”. Piękna

Pełnomocnik
marszałka
Senatu grozi
prywatnymi aktami
oskarżenia
tym wszystkim,
którzy nagłaśniają
informacje
o pieniądzach, które
Tomasz Grodzki
miał brać za
przeprowadzenie operacji.
„Pan Marszałek dostrzega
podobieństwo zaistniałej sytuacji
do sytuacji tragicznie zmarłego
Prezydenta Gdańska Pawła
Adamowicza” – stwierdza
w oświadczeniu mec. Jacek Dubois.
Podobieństwo rzeczywiście jest, ale
chyba nie tam, gdzie widzi je mecenas.

pułapka. W imię „nowego rozdania”, czyli bajki, uchylamy się od szansy na realną zmianę. Szansy, która za naszego życia już się nie powtórzy.

Korwin-Mikke zadeklarował także, że „w sprawach gospodarczych uważamy, że PiS jest partią komunistyczną i, szczerze mówiąc, wolimy rozmawiać z SLD”. Dodał, że „marzy, by Unia przestała dawać nam pieniądze”. „To by nas zmusiło do zrobienia reform. Darmocha demoralizuje – nie wolno dawać pieniędzy za darmo. Nie wolno dawać człowiekowi w Polsce żadnych zasiłków ani nie wolno dawać państwu. Zasiłki demoralizują, ludzie przestają pracować” – przekonywał. Nie, ludzie nie przestają pracować. Ludzie wyjeżdżają. Do socjalnych Niemiec.

Skazany de facto za walkę z mafią reprzywatyzacyjną (formalnie za pomówienie) Jan Śpiewak nie ma wątpliwości: wymiar sprawiedliwości trzeba zmienić. „Człowiek w wymiarze sprawiedliwości zniknął, są suche przepisy prawa. W takiej sytuacji zawsze będzie wygrywać silniejszy i bogatszy” – mówił, dodając: „Moja sprawa pokazuje, że każdy, kto podniesie rękę na elity prawnicze, temu wymiar sprawiedliwości tę rękę utnie”. Skoro tak pewnie czują się dziś, to co będzie, gdy „kasta” wygra tę batalię?

Śpiewak poświęcił także parę słów redakcji z Czerskiej. „To, co robi »Gazeta Wyborcza« z moją sprawą, jest przerażające. Traktuję to jako formę nagonki. Jestem obiektem nieustających ataków, manipulacji i kłamstw. [...] Jestem tym zdziwiony, bo ja nie jestem politykiem, tylko społecznikiem, aktywistą, a jestem traktowany przez »Gazetę Wyborczą« już na poziomie Macierewicza chyba”. Tak wygląda „funkcja kontrolna” w wydaniu „GW”: owszem, na początku pisali sporo o aferze reprzywatyzacyjnej, ale gdy uznali, że sprawa stała się groźna dla systemu, zawrócili i teraz pomagają sądom w niszczeniu człowieka, który rzucił wyzwanie mafii.

Najodważniejszym człowiekiem w Polsce jest dziś jednak abp Marek Jędraszewski. Teraz zabrał głos w sprawie „ekologizmu”, który stał się nową religią lewicy: „To jest sprzeczne z tym wszystkim, co jest zapisane w Biblii, począwszy od Księgi Rodzaju, gdzie jest wyraźnie mowa o cudzie stworzenia świata przez Boga. Bóg się tym światem zachwyca, człowiek jest postawiony jako ukoronowanie całego dzieła stworzenia” – stwierdził metropolita krakowski. Ma rację: walka z rzekomymi zmianami klimatycznymi to w istocie rewolucja, równie radykalna jak ta z 1789 r.



Na słowa abp. Jędraszewskiego zareagowała Janina Ochojska, która doniosła na hierarchę, pisząc do Greta Thunberg: „Droga Greto, wspieram twoją aktywność, ale wyobraź sobie, że arcybiskup z Krakowa Jędraszewski uważa, że jesteś zmanipulowaną osobą, która zaprzecza Biblii. A przecież Bóg powiedział »czyńcie sobie ziemię poddaną«, a nie »zniszczyć ją«. Powodzenia. Musimy wiele zmienić”. Tu doszliśmy. Zdzieciniałe gwiazdy donoszą na metropolitę manipulowanej dziewczynce, za którą stoją wielkie koncerny.

Kandydatka KO na prezydenta **Małgorzata Kidawa-Błońska** nagrała życzenia świąteczne. Okazało się, że do wigilii zasiada już 23 grudnia, a na choince wiesza bombki z napisem „Konstytucja”. Ale największym zaskoczeniem było to, że kandydatka zdołała płynnie i dość szybko, nawet za szybko, wypowiedzieć parę zdań, co na tle jej wcześniejszych dokonań zrobiło na wielu osobach wrażenie. W tej sytuacji trudno się dziwić, że padło pytanie: „Czyżby prompter?”. „Prompter w domu? Szanuję” – zawistnie komentowali internauci.

Pani Kidawa-Błońska wraz z mężem obchodzą święta, ale jakie konkretnie, tego nie wiadomo, bo w przesłaniu zabrakło wzmianki o Bożym Narodzeniu. Jest jedynie luźna wzmianka o „zwycięstwie światła nad ciemnością”, pasująca w zasadzie do wszystkiego. Ledwie dzień wcześniej kandydatka PO ślała życzenia z okazji Święta Świąteł, w których wprost życzyła „radosnego Święta Chanuki!”. Co ta Platforma robi z ludźmi, że są w stanie chodzić na tak nędzne kompromisy z pogaństwem?

Agnieszka Holland idzie jeszcze dalej. Przyznaje, że myślała o założeniu własnego kościoła, ale zabrakło jej wolnego czasu. „Mój kościół byłby kościołem Jezusa, syna kobiety, nie syna Boga. I wróciłby całkowicie do korzeni”. Byłby „skierowany do człowieka, w tym do kobiet”, ponieważ „to kobiety będą grać główną rolę, jeżeli planeta w ogóle ma przetrwać”. Nabożeństwa odbywałyby się w planetariach, „żeby pokazać, że wszyscy jesteśmy częścią wszechświata”. Szkoda, że pani reżyser się nie zdecydowała... Wokół nas tak mało dobrej rozrywki.

Holland prorokuje także, że „ta ekipa się rozpadnie”. Chodzi jej rzecz jasna o PiS. Dlaczego? Ponieważ ta partia ma w sobie „organiczną słabość”: „Słabość polega na tym, że oni chcą być jednocześnie radykalni i normalni. Ta sprzeczność jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Odbijają się od ścian do ścian”. Coś w tej myśli jest, ale ważniejsze jest to, że reżyser faktycznie przyznaje, że faszyzm jednak nie nadciąga. Czy już wie, że spanikowała?

BRONISŁAW WILDSTEIN

Snobizm nie tylko polski



Do napisania tego felietonu sprowokowały mnie korowody wokół Nobla dla Olgi Tokarczuk. Okazało się, że przyznanie tej nagrody nie tylko automatycznie czyni z niej najlepszego polskiego pisarza, ale kreuje też na znawcę polityki, prawa, ekonomii, filozofii, zoologii, klimatologii, dietetyki, a być może także matematyki i fizyki kwantowej, choć o tym jeszcze nie wiemy.

Nie wypowiadam się o zasadności uzyskania przez nią tego wyróżnienia. Przeczytałem kiedyś „Prawiek”, potem jakieś opowiadania, doceniałem talent i wyobraźnię, choć odrzucały mnie stereotypy ujmowania rzeczywistości. To one spowodowały, że nie doczytałem „Biegunów”. Może jeszcze kiedyś wrócę do jej pisarstwa. Ale nie o to chodzi. Chodzi o niewolniczy zachwyt nad noblowską sakrą, która powoduje, że dowolne głupstwo wydalone przez uwieczoną nią osobę staje się obiektem adoracji.

Doskonale rozumiem, że cała ta hucpa motywowana jest politycznie. III RP nie tylko przeżywa orgazm, że to jej reprezentantka, krew z krwi, kość z kości, uzyskała to trofeum, teraz będzie próbowała przeżuwać je do ostatniego włókienka. Oto Monika Olejnik, która nie wykazywała dotąd szczególnego zainteresowania literaturą, wzywa, aby nie poruszać się w sferze publicznej bez książek Tokarczuk. Wyraźnie stać się one mają nie tylko proporcem prawomyślnych, ale i pałką, którą będzie się zaganiać do stada tych, którzy usiłują się z niego wyłączyć.

Na czym polega niezwykle znaczenie Nagrody Nobla? Na jej wysokości. I to wszystko. Bo czy Akademia Szwedzka czymś poza przyznawaniem Nobla się wyróżnia? Czy szwedzka literatura i literaturoznawcy są poza tym z czegoś dzisiaj specjalnie znani? Być może płaczą się w tym kraju jakieś literackie wilki, ale ani nie funkcjonują w Akademii Szwedzkiej, ani nie są przez nią karmione.

Jako uzasadnienie wyjątkowej roli noblowskiej nagrody prezentowany jest szczególny nadzór nad doborem kandydatów. I rzeczywiście. Można odnieść wrażenie, że cała ta procedura służy temu, aby przez jej oka nie przecisnąć się żaden interesujący, a w każdym razie odbiegający od gustów (interesów) europejskiego establishmentu kandydat. W tym sensie literacki Nobel przypomina Paryski Salon, instytucję o starszym rodowodzie, ale w XIX w. rygorystycznie wyznaczającą hierarchię sztuki. W efekcie ogromna większość

uznawanych przez nas za klasykę obrazów tego okresu nie została na salon dopuszczona.

A jednak w kontekście Nobla można bronić Paryskiego Salonu. Owszem promował on konwencjonalny akademizm, aby ostatecznie w nim zakrzepnąć, ale przecież odwoływał się do obiektywnej idei piękna i dlatego wiele jego dzieł ma dla nas ciągle wartość. Akademia Szwedzka już od jakiegoś czasu uległa dominującej dziś na Zachodzie ideologii, która kwestionuje wszelkie obiektywne normy. Zamiast nich narzuca dogmaty, którym podporządkowana ma być także literatura. W ten sposób noblowskie jury zakwestionowało swój fundament, nie mówiąc już, że o 180 stopni odwróciło uzasadnienie nagrody, która miała być przyznawana za „najbardziej wyróżniające się w idealistycznym kierunku dzieło”, czyli takie, które prowadzi w kierunku obiektywnie pojętej doskonałości.

W 1997 r. Nobla otrzymał Dario Fo „jako ten, który rywalizuje z błaznami średniowiecznymi w krytykowaniu władzy oraz popieraniu godności uciskanych”. Trudno to pojąć w odniesieniu do tego, który podłączony był pod najbardziej wpływową partię Włoch, a utożsamienie komunizmu z „godnością uciskanych” to – najdelikatniej rzecz ujmując – nadużycie. Niezależnie jednak od tego: gdzie w tym wszystkim literacka wartość?

W następnym roku nagrodę przyznano kolejnemu, tym razem portugalskiemu komuniście José Saramago, którego wielkość literacka budzi co najmniej wątpliwości. W 2016 r. dostał ją Bob Dylan, który pisał dobre piosenki, ale zrównywanie ich z wielką literaturą oznacza zakwestionowanie jej szczególnego sensu, a więc i literackiego Nobla. Wyliczankę można kontynuować.

Podejrzenia, że główny motyw Nobla dla Tokarczuk ma polityczny charakter – wojna z populizmem! – wydają się uzasadnione. Przyjmijmy jednak, że chodziło głównie o literackie uznanie. Również takie założenie nie może zmienić oceny ekstazy Tokarczuk dla potomkinowskiego osiedla muzułmanów, które miało demonstrować wielki sukces szwedzkiego multikulturalnego eksperymentu. Pisarka nie wybrała się w realny interior tego typu skupisk, który mógłby zburzyć piękne wyobrażenia tak pasujące do jej twórczości. Nie ona pierwsza.

Ale my mamy obowiązek jej wierzyć na przekór danym i faktom. Dostała przecież Nobla.

NAJ
NIE
BIERZE SIĘ
ZNIKAĆ



Zimą wybierz paliwo NAJwyższych lotów

Paliwo Arktyczny Dynamic sprawia,
że nie musisz martwić się rozruchem
silnika aż do **-32 °C**.

Ciesz się dynamiczną i efektywną jazdą
nawet w najtrudniejszych warunkach.

ARKTYCZNY
Dynamic



Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa



Fot. Andrew Chin/Shutterstock.com

Trump: walka o drugą kadencję

Rok 2020 jest wyborczy w USA. Nie będą to jednak wybory typowe. Będzie to sąd nad prezydenturą Donalda Trumpa. Żaden republikański prezydent USA nie był chyba tak bezpardonowo atakowany przez media i liberalnych polityków. Kilkanaście dni temu najsłynniejszy hollywoodzki krytyk Trumpa, aktor Robert De Niro, nazwał prezydenta w „The New York Timesie” „obrzydliwą małą suką” i „irytującym małym gnojkiem”, a jego rodzinę porównał do gangsterów. Rozmawiający z nim dziennikarz nie zaprotestował przeciwko tak brutalnym słowom.

Jeżeli Trump w 2020 r. pozostanie u władzy, liberalno-lewicowy establishment dozna poważnego wstrząsu. Czy ma na to szanse? Nie wszystkie sondaże są dla niego łaskawe. Nawet w sprzyjającej mu telewizji Fox News pojawiały się badania pokazujące, że może przegrać zarówno z Joe Bidenem, jak i senator Kamalą Harris. Sytuacja jest jednak bardzo dynamiczna, co pokazuje wycofanie się z wyścigu obwołanej przez media żeńskiej wersją Baracka Obamy senator Harris. A Joe Biden, choć pozostaje liderem sondaży w prawyborach demokratów, jest mocno zwalczany przez lewe skrzydło rodzimej partii. Dochodzi do tego niejasna rola jego syna w aferze ukraińskiej, wykorzystywanej dziś do prób impeachmentu Trumpa.

Wydaje się, że największym zagrożeniem dla Trumpa nie jest ani impeachment, ani Biden, lecz były burmistrz Nowego Jorku i miliarder Michael Bloomberg, który niedawno ogłosił swój start w wyborach. Niemniej jednak żaden z demokratycznych kandydatów nie ma charyzmy nawet zbliżonej do Obamy albo Billa Clintona. W tej kategorii Trump wygrywa ze wszystkimi rywalami.

Na razie dobre wyniki ekonomiczne w USA, niekonwencjonalna, choć akceptowana przez przeciętnego wyborcę polityka zagraniczna Trumpa oraz widoczny trend odrzucenia starych liberalnych elit (patrz: zwycięstwo Johnsona w Wielkiej Brytanii), dają Trumpowi dobrą pozycję startową.

Co może zabrać mu wygraną? On sam. Jego rozbuchane ego i beczelność mogą zmęczyć te kilka procent centrowego elektoratu, które w odpowiedzi przerzucą głosy na bezpiecznego i unikającego radykalizmu Bloomberg'a bądź Bidena.

Lukasz Adamski

Putin: maskowanie słabości



Generał Tod D. Walters z amerykańskiego dowództwa sił zbrojnych w Europie zauważył, że od pół roku nie odnotowano żadnego incydentu związanego z Rosją. Co się stało, że rosyjskie siły zbrojne przestały prowokować groźne sytuacje? Odpowiedź na to pytanie jest kluczowa dla zrozumienia natury rosyjskiego reżimu i głównych wyzwań stojących przed Kreml w nadchodzącym roku.

Jak się wydaje, jedną z głównych przyczyn uspokojenia było to, że w wyścigu, który umownie możemy określić mianem „kto jest bardziej nieobliczalny”, Władimir Putin ma niewielkie szanse

w starciu z Donaldem Trumpem. Odślania to w istocie naturę rosyjskiego reżimu, który kreując się na gracza zdeterminowanego, zdecydowanego na siłowe rozwiązania, w istocie uprawia politykę unikającą niepotrzebnego ryzyka i oportunistyczną. Sztuka maskowania, ukrywania własnych zamiarów, możliwości i celów, jest częścią kremlofskiej polityki zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej.

W obu tych wymiarach Władimir Putin będzie w nadchodzącym roku uprawiał politykę drobnych kroków. Dlatego raczej nie należy się spodziewać przełomu w sprawie Ukrainy. Podobnie serial „pogłębiania współpracy” z Białorusią przetrwa przez cały rok. Moskwa będzie też starała się wykorzystać inne pojawiające się okazje, np. związane z osłabieniem władzy w Gruzji.

Znacznie trudniej Kremlowi będzie uprawiać politykę wewnętrzną. Perspektywy znaczącego przyspieszenia wzrostu gospodarczego, tak aby Rosja mogła zacząć wreszcie gonić uciekający jej już nie Zachód, ale nawet Kazachstan, wydają się błąde. W efekcie cały przyszły rok, w tym planowane z wielką pompą 75-lecie zakończenia II wojny światowej, poświęcone będą przygotowaniu systemu do przekazania władzy w 2024 r. Decyzje muszą zapaść w ciągu kilkunastu najbliższych miesięcy, bo kolejny 2021 r. jest czasem wyborów do Dumy. A zatem będziemy mieli do czynienia ze zmianami powolnymi, ale dla przyszłości Putina fundamentalnymi. Przyspieszenia raczej nie będzie, oczywiście o ile kolektywny Zachód nie popełni błędu, który Kreml będzie w stanie wykorzystać. Tylko czy nie popełni?

Marek Budzisz

Fot. Gil Corzo/Shutterstock.com



Merkel: następca pilnie poszukiwany

Podczas debaty pod koniec listopada w Bundestagu kanclerz Angela Merkel wyliczyła wyzwania, przed którymi stoją Niemcy u progu 2020 r.: NATO, cyfryzacja, modernizacja przemysłu samochodowego, walka ze zmianami klimatycznymi, ściągnięcie do kraju wykwalifikowanych fachowców oraz pokonanie podziałów w społeczeństwie. Podczas zjazdu CDU w Lipsku pani

kanclerz dorzuciła jeszcze kwestię Chin (budowa sieci 5G) oraz Rosji, z którymi – jak podkreśliła – „będziemy współpracować, jeśli będzie to leżało w naszym interesie”. Brzmiało to trochę jak instruktaż dla przyszłej koalicji rządzącej, obecna wisi bowiem na włosku i nie rozpadła się tylko dlatego, że SPD oscyluje w sondażach w okolicach 12 proc. i boi się przyspieszonych wyborów. Jest to małżeństwo z rozsądku, którego głównym celem jest przetrwanie do końca kadencji w 2021 r. Ostatniej kadencji Angeli Merkel jako kanclerz.

Decyzja Merkel, która oddała po 18 latach przywództwo CDU, zachowując do końca kadencji fotel kanclerza, nie zakończyła ani słabej passy ugrupowania, ani wewnętrznych sporów. Zbyt bardzo pani kanclerz kojarzy się Niemcom z niedawnym kryzysem migracyjnym i tego odium nie jest w stanie z siebie zdjąć. Stała się obciążeniem dla własnej partii, ale sensownego następcy, akceptowanego przez wszystkie frakcje, nie widać. W ciągu ostatnich czterech lat – jak pisze niemiecki dziennik „Der Tagesspiegel” – chadecja przegrała 14 wyborów. Przegrała i z Lewicą, i z Alternatywą dla Niemiec. Według listopadowego badania opinii Deutschlandtrend ośrodka Infratest dimap, poparcie dla CDU/CSU spadło na poziomie federalnym do 25 proc. Za mało, by nadal móc pretendować do roli partii ludowej.

W 2020 r. Angela Merkel będzie więc musiała walczyć o przetrwanie – własne i partii. Nadać jej nowy kierunek, czyli znaleźć sposób na dotarcie do wyborców, którzy się od niej odwrócili. W skrócie: odpowiedzieć na pytanie, czego CDU chciałaby dla Niemiec, dla Europy. Inaczej zostanie pożarta przez Zielonych, którzy coraz bardziej dominują niemiecką scenę polityczną. **✓**

Aleksandra Rybińska



Franciszek: w obliczu schizmy

Wracając we wrześniu z pielgrzymki do Mozambiku, Franciszek oświadczył, że nie boi się schizmy w Kościele. Lęka się jej natomiast kard. Rainer Maria Woelki z Kolonii. Jego obawy związane są z rozpoczętą 1 grudnia „drogą synodalną” w Niemczech, która – wg niego – może oderwać tamtejszy Kościół od Kościoła powszechnego. Niemieccy biskupi opowiadają się bowiem za zerwaniem z odwieczną doktryną katolicką w kilku kwestiach, m.in. za uznaniem aktów homoseksualnych za akceptowalną moralnie normę, a nawet nie wykluczają święceń kapłańskich dla kobiet.

Powstaje jednak pytanie, kto od kogo miałby się oderwać, skoro niemieccy hierarchowie sami zerwali już w wielu punktach z nauczaniem Magisterium, a obecnie to oni wyznaczają kierunek zmian w Kościele. To przecież najbardziej zaufany teolog Franciszka kard. Walter Kasper na konsystorzu w lutym 2014 r. wysunął projekt dopuszczania do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Dziś, powołując się na adhortację Franciszka „Amoris laetitia”, przyjęło to jako obowiązującą normę wiele episkopatów i diecezji na całym świecie. Z kolei kard. Reinhard Marx zaproponował dopuszczanie do Eucharystii protestantów, którzy mają katolickich współmałżonków. Po interwencji w Watykanie uzyskano odpowiedź, że decyzja w tej sprawie leży w gestii biskupów. Znow więc to, co jeszcze niedawno było niedopuszczalne, w wielu miejscach staje się normą.

W listopadzie podczas konferencji w Barcelonie wspomniany kard. Kasper powiedział, iż Franciszek czuje się wezwany przez Ducha Świętego do przeprowadzenia głębokich zmian w Kościele. Jedną z nich mogłoby być kapłaństwo kobiet. Zdaniem kardynała nie ma żadnych przeszkód doktrynalnych, by kobiety nie mogły być wyświęcane na księży. Wypowiedź nie doczekała się żadnej reakcji ze strony Rzymu.

Jeśli niemiecki episkopat poprzez „drogę synodalną”, wprowadzi kolejne zmiany niezgodne z całym dotychczasowym nauczaniem Kościoła, Watykan zaś nie będzie się im sprzeciwiał, to kto znajdzie się wówczas w stanie schizmy: Niemcy (pozostający w jedności z Franciszkiem), czy też ci, którzy im się przeciwstawiają, broniąc odwiecznej doktryny? **✓**

Grzegorz Górny



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szczerze: to człowiek fałszywka

Przedwczorajszy aktywista europejski uaktywnił się na krajowym podwórku. Wydał książkę, a nawet dzieło pt. „Szczerze”, którego nie zamierzam czytać, jego szczerłość jest bowiem tak wątpliwa, że nawet mnie, spokojnego misia, denerwuje. Wiem też, że nie wypada recenzować książki, której się nie czytało. Felieton to jednak nie recenzja. To ostrzeżenie przez przypomnienie kłamstw, jakich się dopuścił wobec nas ten ulubiony przez Niemców Europejczyk.

Na przykład – według „Gazety Finansowej” – ekipie rządzącej w 2014 r. udało się ukryć 28 mld zł deficytu. Jak wskazała NIK w raporcie za lata 2013–2015, rząd złamał konstytucyjną zasadę jawności finansów publicznych. Dalej – wmawiany społeczeństwu przez wszystkie telewizory mit zielonej wyspy dobrobytu był beczelną bujdą. To ważna cecha tego gościa – skrajna beczelność. Zeznania składane przed komisjami ds. Amber Gold i karuzeli vatowskiej są tego dobitnym przykładem. On o niczym nie miał pojęcia, choć przyznawał, że wszyscy o tym mówili, bo to była powszechna wiedza.

Co jeszcze? Kiedy przed którąś kampanią wyborczą atakowano go za celowe niszczenie stoczni, z radosną miną opowia-



Jan
Pietrzak

dał, jak to pędzi do nas „inwestor katarski” z walizką miliardów, by te stocznie kupić. Zwijając posterunki policyjne, linie autobusowe, szkoły, szpitale, placówki pocztowe, opowiadał o metropolitaro-dyfuzyjnej strukturze nowoczesnego państwa, które w istocie niszczył. Jak wygadał się jego koleżka, państwo mieliśmy „teoretyczne”, czyli „ch...”, d... i kamieni kupa”. Taki był cel tego polityka, takie postawiono mu zadanie.

Teraz, kiedy bryluje w opozycji, z zapalem potwierdza strategię walki z Polską przy pomocy „ulicy i zagranicy”. W demokracji walczy się owszem o władzę, ale za pomocą kartki wyborczej, a w konsekwencji przy mównicy w parlamencie.

Kto walczy przy pomocy „ulicy”, nie akceptuje decyzji wyborców, jest wrogiem demokracji. Kto błaga o pomoc „zagranicę” jest renegatem.

Przerabialiśmy jako naród różne warianty walki z Polską. Jesteśmy odporni na oszustów. Może nie wszyscy, bo nie należy zapominać o wrogich Polsce mediach utrudniających zrozumienie who is who. Facet, o którym tu dywaguję, sprawia wrażenie, że nie jest tym, za kogo się podaje. Szczerze mówiąc, to człowiek fałszywka. 

Bez „Małgośki” nie ma sylwestra

Z Marylą Rodowicz, piosenkarką, od lat królową polskiej sceny muzycznej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadźworna

Czy liczy pani, który to już sylwester na scenie?

Maryla Rodowicz: Ojej, nie [śmiech].

Czy jest coś, co – niezależnie od zeganego roku – zawsze towarzyszy pani podczas sylwestrowego występu?

Poza pełną gotowością i pozytywną energią... utwory, których niezmiennie oczekuje publiczność. Bez „Małgośki” nie ma sylwestra.

W różnych miejscach witała pani nowy rok. Czy Zakopane ma jakiś szczególnie klimat?

Zakopane lubię prywatnie, więc mam z nim wyłącznie dobre skojarzenia. W Zakopanem zimą zawsze pada

śnieg, jeżdżą sanie, dzwonią dzwoneczki. I śpiewają głośno górale.

A pani z nimi?

A jakże. Uwielbiam góralską muzykę. Rozgrzewa i dobrze ładuje akumulatory.

Pani występy także rozgrzewają, m.in. za sprawą wyjątkowych kostiumów. Czego możemy się spodziewać w tym roku?

Trzeba to samemu zobaczyć (śmiech). Mam nadzieję, że krawcowa ze wszystkim zdąży. Ja też zdążę. Będę pod parą, niezmiennie podekscytowana i naładowana pozytywną energią. I jak zawsze liczę na publiczność, bo bez niej nie ma zabawy. Publiczność jest moim partnerem. Bardzo ważnym.

„Sylwester marzeń z Dwójką” odbędzie się na zakopiańskiej Równi Krupowej. Ma pani swój sposób na mroźną noc?

Nie mam patentu. A to przecież wyjątkowa okazja. Nie mogę wyjść w szalik i grubej kurtce. Musi być „goło, ale wesoło” [śmiech].

Czego możemy pani życzyć na 2020 rok?

Nieustającej miłości fanów i dużo satysfakcjonującej pracy, bo to sens życia. 





KRZYSZTOF FEUSETTE

Toast noworoczny

*Ile razy Nitras szalał,
Ile Kalisz w meczu spalał,
Ilu z nadzwyczajnej kasty
Jest czerwonych jak Czarzasty.*

*Ile forsy od noblistki
Skonsumują feministki.
Ile wstydu się najadła,
Że kielbasę kiedyś zjadła.*

*Ile nazwisk ma Thunowa,
Ile teczek Kiszczak schował,
Ile klęsk poniósł Schetyna,
Ile Zandberg ma z Lenina.*

*Ile w Czerską Soros wsadził,
Ilu ludzi „Bolek” zdradził,
Ile z „Bolka” jest Wałęsą,
Ile Spurek chce za mięso.*

*Ile „Kwach” przyjął w Charkowie,
Ile Janda ma na głowie,
Ile Budka ma z „Wiesławą”,
Ile wciąż nie wie Kidawa.*

*Ile razy spękał Radek,
Chroniąc arystokratyczny zadek,
Ile ma Dulkiwicz Ola
Medialnego parasola.*

*Ile kitów Kukiz wciskał,
Ile na tym Kamysz zyskał,
Ilu bonzów PSL-u
Znowu chce go na weselu.*

*Ile pochowano kwitów
Od esbeckich emerytów,
Ile razy Biedroń krzyczał,
Ile dni Jajdzewski ryczał.*

*Ilu błażom Donald klaskał,
Ile razy Korwin zaspiał,
Jaką Bosak płaci cenę
Za swój taniec z tefalenem.*

*Ile Braun formalnych wniosków
Sklada w osiedlowym kiosku,
Ile żółci ma Jachira,
Ile Durczok ma ze świra.*

*Ile wizyt na siłowni
Przyda teraz się Hołowni,
Ilu dziwnych biznesmenów
Poprze zucha z TVN-u.*

*Ile z Czajki wyleciało,
Ilu z Petru w durnia grało,
Ile Greta głupot gada
I za ile Grodzki bada.*

*Ile „met” ma Adamowicz,
Ile jest w Gasiuk-Pihowicz
Z myszki (lecz nie agresorki),
Co uciekła ze swej norki.*

*Ile Rabej popsuł planów
Panom, którzy wolą panów,
Ile pań z parad równości
Nie zaznało wciąż miłości.*

*Ile smutku w Nowoczesnej,
Ile wiary było wcześniej,
Ile ma Lubnauer sprytu,
Że nie musi spłacać kwitów.*

*Ile karpi Ostaszewska
Chroni stale już od dziecka,
Placząc nad ich każdą porcją,
Ale będąc za aborcją.*

*Ile razy pan Diduszeko
Chodnik wolał niż swe łóżko,
W którym pani Diduszkowa
Ogon oraz rogi chowa...*

*Tyle zdrowia i radości,
Szczęścia, Bożej Opatrzności...
Tyle zawsze światła w mroku
Wszystkim Państwu – w nowym roku! *

**wSIECI
HISTORII**

Nowe wydanie w kioskach!

W służbie Moskwie
Członkowie
Komunistycznej Partii
Polski kontra II RP

Proroctwo króla
Jan Kazimierz
przewidział rozbiory
111 lat wcześniej

Sumy neapolitańskie
Hiszpania jest winna
Polsce 350 mln zł
plus odsetki

www.wSieciHistorii.pl >>



OGNIEM NA WPROST

Celebryta na pluszowym krzyżu



Pieśń o Rolandzie to wspinały średniowieczny epos rycerski o bohaterskiej walce w obronie wiary i honoru. Motywem przewodnim jest zdrada francuskiego posła Ganelona, który wraz z saracenami uknuł spisek na życie ukochanego rycerza cesarza Karola Wielkiego – Rolanda. Ów ginie w nierównej walce, ale władca gromi Maurów, mszcząc się za śmierć wojownika. Dopada również Ganelona, który ponosi zasłużoną karę. Papież Franciszek, przypominając scenę z tego średniowiecznego poematu, w której chrześcijanie w Hiszpanii zażądali od muzułmanów, by „wybrali między chrztem i śmiercią”, doszedł do wniosku, że „musimy być świadomi istnienia fundamentalistycznych grup, każda [religia] ma swoje. Fundamentalizm jest zarazą i każda religia ma jakichś fundamentalistów w rodzinie”. Biskup Rzymu jakby zapomniał, skąd muzułmanie znaleźli się tysiąc lat temu w Hiszpanii, usiłując sforsować Pireneje, by zaatakować Francję. Trafili tam, podążając drogą ognia i miecza, podbijając po drodze chrześcijańską wówczas Afrykę Północną. Równolegle, krytykując wszelkie przejawy fundamentalizmu, Franciszek gości wielkiego imama Al-Azharu i Ahmeda Al-Tayeba. Ten drugi grozi śmiercią muzułmanom, którzy nawrócą się na chrześcijaństwo. „Apostazja jest zbrodnią – wyjaśniał Al-Tayeb. – Od apostaty należy zażądać skruchy a jeśli jej nie okaże, powinien być zabity”. Naprawdę coraz trudniej nadążyć za myślami papieża Franciszka.

Zdaniem aktorki Krystyny Jandy sytuacja w kraju w związku z reformą wymiaru sprawiedliwości

stała się na tyle poważna, że należy zrezygnować z obchodów własnych urodzin. Decyzja, jaką podjęła Janda, zahacza wręcz o męczeństwo. „Moje urodziny spędzę pod Sejmem, aby wyrazić swój sprzeciw wobec tego, co się dzieje” – zadeklarowała. I dodała: „Proszę o nieskładanie życzeń urodzinowych, wystarczy innych smutków. [...] Do zobaczenia podczas protestu”. Inny aktor, Włoch Pietro Sarubbi, grający w „Pasji” Mela Gibsona postać Barabasa, ostatnio wyznał: „Kiedy ogłosiłem wiadomość o moim nowym narodzeniu [Sarubbi się nawrócił], praktycznie z dnia na dzień straciłem 90 proc. prac, jakie miałem w filmach, telewizji oraz w teatrze”. Pod Sejm przyszło według rozgłośni RMF FM 1,1 tys. osób, czyli mniej niż w czasach I Rzeczypospolitej odwiedzało księcia Radziwiłła na urodzinowych imprezach. Ale każdy z celebrytów musi nieść swój pluszowy krzyż i się tym szczycić.

Aktów LGBT ima się już wszelkich sposobów, by docierać do dzieci z promowaniem swojej chorej ideologii. W Poznaniu wpadli na chytry plan. Otóż zajęcia z pierwszej pomocy dla przedszkolaków i uczniów szkoły podstawowej prowadził tam transseksualista przedstawiający się jako Anna Szymkowiak. Celem jego fundacji, dotowanej przez władze Poznania i Fundację Batorego, jest „przeciwdziałanie wykluczeniu osób transpłciowych”. Okazało się, że z pozoru niewinne zajęcia z resuscytacji, stały się pretekstem do przekazywania ideologicznych treści. Szymkowiak w wywiadach prasowych wprost przyznaje, że nie jest ratownikiem medycznym, ale ma ukończony kurs

pierwszej pomocy. Nie kryje, że celem projektu jest połączenie nauki udzielania pierwszej pomocy z „przeciwdziałaniem wykluczeniom”, a scenariusz zajęć obejmuje opowiadanie dzieciom o homoseksualizmie. Teraz czekamy, aż aktywiści LGBT wślizną się na kursy prawa jazdy pod pretekstem nauki metody ratunkowej „usta usta”, kiedy poszkodowanym jest osobnik nieheteronormatywny.

Prof. Daniel Pipes, amerykański historyk, komentator, a także dyrektor konserwatywnego Forum Bliskowschodniego (Middle East Forum), rok temu na łamach „The Washington Times” podzielił się swoimi spostrzeżeniami po tygodniowej wizycie w Polsce. Przyjechał tu, jak sam powiedział, aby zrozumieć, dlaczego kraj ten tak bardzo różni się od Europy Zachodniej i co to oznacza. Prof. Pipes wykluczył możliwość islamizacji Polski, czyniąc ją jednak miejscem emigracji Żydów z Europy Zachodniej. Jak stwierdził amerykański ekspert, Polska (i sąsiadujące kraje byłego sowieckiego bloku) przeżyje kryzys napływu muzułmańskich uchodźców i może się zająć emigrantami z Europy Zachodniej. Choć początkowo trafiali oni do Australii, Kanady i Stanów Zjednoczonych, Polska może wkrótce – ze względu na bliskość, bezpieczeństwo osobiste i niedrogie koszty – stać się celem emigrantów, szczególnie dla emerytów i dla Żydów, będących celami w Europie Zachodniej. I proszę. Co na to noblistka Olga Tokarczuk, która „podbija” Szwecję, namawiając kolorowych islamskich imigrantów, by przenosili się do Polski.

Andrzej Rafał Potocki

Razem w chwili próby

W 2020 r. przypada setna rocznica Bitwy Warszawskiej, która jest uznawana za przełomowe wydarzenie w ogólnoświatowej historii. Według brytyjskiego polityka lorda Edgara Vincenta D'Abernona, który w lipcu 1920 r. przybył do Polski w ramach brytyjsko-francuskiej misji dyplomatycznej: „Gdyby Piłsudskiemu i Weygandowi nie udało się pod Warszawą powstrzymać triumfalnego marszu Armii Czerwonej, przyniosłoby to w rezultacie nie tylko niebezpieczny zwrot w dziejach chrześcijaństwa, lecz również fundamentalne zagrożenie całej zachodniej cywilizacji”. Zwycięstwo Polaków nad bolszewikami powstrzymało ich marsz na Europę Zachodnią, decydując o przyszłości całego kontynentu.

W 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, ale trzeba pamiętać o tym, że była wówczas państwem pozbawionym sprawnie funkcjonującej administracji, wymagającym pogodzenia kilku różnych porządków prawnych, bez jednolitej armii ani gospodarki, ze społeczeństwem borykającym się z biedą i trawiącymi je epidemiami. Patrząc na ten czas z dzisiejszej perspektywy, a w szczególności biorąc pod uwagę aktualne możliwości komunikowania się, błyskawicznego przesyłania informacji, aż trudno uwierzyć, jak sto lat temu w zaledwie kilka lat Polacy zdołali zbudować sprawnie funkcjonujące państwo, którego armia była w stanie stawić czoła znacznie silniejszemu natarciu bolszewików. Scalono terytoria stanowiące trzy różne zabory w jeden organizm państwowy. Unowocześniono gospodarkę, tworząc takie gałęzie przemysłu jak elektrotechniczny, zbrojeniowy, chemiczny i motoryzacyjny. Połączono linią kolejową Śląsk z Pomorzem. Zbudowano Gdynię i Centralny Okręg Przemysłowy. W imponującym tempie rozwijano naukę i podnoszono poziom edukacji.

Już w listopadzie 1918 r. na rozkaz Lenina rozpoczęto operację „Wisła”. Wojska pod dowództwem Tuchaczewskiego miały zdobyć Warszawę, żołnierze Budionnego atakowali rejon Lwowa. Kawaleria, którą dowodził Gaj-Chan, miała przejąć kontrolę nad północną częścią Mazowsza. Według dokumentów ujawnionych w 2005 r. jesienią roku 1919 por. Jan Kowalewski złamał szyfry Armii Czerwonej, dzięki czemu polskie dowództwo mogło poznać plany Rosjan. Opracowano skuteczną kontrofensywę. Plan operacyjny według koncepcji Józefa Piłsudskiego został sporządzony przez szefa sztabu generalnego gen. Tadeusza Rozwadowskiego, płk. Tadeusza Piskora i kpt. Bronisława Regulskiego. Pięć dywizji piechoty i brygada kawalerii pokonały bolszewików w rejonie Kocka i Cycowa i zaatakowały wojska nieprzyjaciela zmierzające w kierunku Warszawy. Klęska bolszewików nastąpiła pod Osowcem, Białymstokiem i Kolnem.

15 sierpnia 2008 r. prezydent Lech Kaczyński stwierdził, że zwycięstwo, które odnieśli Polacy w 1920 r., było możliwe dzięki wspólnemu trudowi elit patriotycznych, powracających



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

do niepodległego kraju emigrantów oraz świadomych swej tożsamości robotników i chłopów, którzy mimo dzielących ich różnic społecznych, a przede wszystkim istniejących jeszcze kilka lat wcześniej granic różnych państw, byli w stanie skutecznie podjąć wyzwanie. Rok później w przededniu obchodów Cudu nad Wisłą prezydent powiedział, że była to chwila wielkiej narodowej próby, którą Polacy przebyli zwycięsko, a jej bohaterami, prawdziwymi twórcami zwycięstwa, byli żołnierze Wojska Polskiego, którzy ruszyli w bój o wszystko. Lech Kaczyński podkreślał także znaczenie solidarności i ofiarności całego społeczeństwa, które w tym dramatycznym momencie porzuciło spory i podziały. Zdaniem prezydenta II Rzeczypospolita, której

najistotniejszymi atrybutami były suwerenność i niezależność, wpoila Polakom, że honor, sprawiedliwość i wolność stanowią najwyższe wartości. Wyraził przekonanie, że wielka, wspaniała lekcja 15 sierpnia 1920 r. powinna być dla nas zawsze aktualna i pouczająca, a współczesne państwo polskie niezależnie od okoliczności powinno być w stanie obronić swoich obywateli przed zagrożeniem i zmobilizować do wspólnego wysiłku na rzecz pokoju i wolności.



Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

SP.

ATTILI LESZKA JAMROZIKA

*wybitnego artysty, niezłomnego działacza niepodległościowego
i wielkiego patrioty, przyjaciela*

**Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Żonie – Ewie Barańskiej-Jamrozik – oraz Bliskim**

*w imieniu Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów
w Parlamencie Europejskim*

*składa
Ryszard Legutko*

Nowa Izba

Nowa brytyjska Izba Gmin, ta wyłoniona w wyborach 12 grudnia, jest „najbardziej homoseksualnym parlamentem świata” – informuje „Sunday Times”. W ławach poselskich w Izbie Gmin zasiądzie ponad 50 parlamentarzystów, którzy otwarcie mówią o swoim homoseksualizmie lub biseksualizmie. Żeby było ciekawiej, najwięcej zadeklarowanych homoseksualistów i biseksualistów zasiada we

frakcji Partii Konserwatywnej – 24 posłów. Jeden ze świeżo wybranych parlamentarzystów, 26-letni Jacob Young, planuje wzięcie ślubu ze swoim partnerem Jackiem w kaplicy na terenie parlamentu. Wyspiarze nadążają za światem. 



83
tys. zł

– takie oszczędności ma na koncie lider PiS Jarosław Kaczyński.

200
tys. zł

– to oszczędności szefa PO Grzegorza Schetyny.

155
tys. zł

– takie oszczędności zgromadził Włodzimierz Czarzasty. Przewodniczący SLD ma także papiery wartościowe na kwotę 85,5 tys. zł

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie

Dużo osób zna Gretę Thunberg, ale z jakiegoś powodu niewiele osób zna Izabellę Nilsson Jarvandi. Też ma 16 lat i też jest ze Szwecji. Protestuje przeciwko globalizacji, propagandzie LGBT w szkołach, opowiada się za ochroną tradycyjnych wartości rodzinnych i walką z nielegalną emigracją – taki wpis pojawił się na Facebooku Konfederacji. Podejrzewam, że Izabella jest mniej popularna po pierwsze dlatego, że ma prawicowe poglądy, po drugie – mówi własnymi słowami, a po trzecie – nie stoją za nią gigantyczne koncerny. 



Płac i płac

Na dwa miesiące więzienia skazał sąd w Turynie ojca 33-letniej kobiety za to, że przestał jej dawać kieszonkowe w wysokości 260 euro. Według włoskiego sądu wiek dziecka nie ma znaczenia – mężczyzna musi wspomagać córkę, póki nie osiągnie ona stabilności zawodowej. O sprawie informuje londynek.net. Sąd postanowił, że kara zostanie zawieszona, jeśli skazany przekaże córce 3 tys. euro tytułem zaległego kieszonkowego. Według sędziów ojciec ma obowiązek pomagać finansowo także dorosłemu dziecku, jeśli ma ono kłopoty. Mężczyzna przestał dawać pieniądze córce przed kilkoma laty, za co podała go do sądu. On argumentował zaś, że nie ma oszczędności i sam jest bez pracy. A mówią, że inwestycja w dzieci zwraca się na starość... 



Szczerze

Ktoś złośliwie i niewulgarnie, bo to jest tylko potencjalnie wulgarny skrót myślowy, na Twitterze napisał, że nie grozi nam żaden polexit, tylko wypierpol. I domyślałam się, o co autorowi chodziło – powiedział Donald Tusk podczas jednego ze spotkań promujących jego nową książkę. Ależ przenikliwy umysł. Szczerze. 



„Ja się powoli przestaję dziwić, że Pawłowicz je sałatkę, a Korwin zasypia. Umysł ludzki nie jest w stanie wytrzymać siedmiu godzin w natężeniu, bez przerwy na toaletę, zjedzenie obiadu czy zwykłe przewietrzenie umysłu” – żali się na swój poselski los Klaudia Jachira. Pani poseł, proszę się nie męczyć. Jak pani umysł będzie potrzebował toalety, proszę nie stawiać mu na drodze.

Moda na dzieci

18 mln dol. – tyle według wyliczeń „Forbesa” w okresie od 1 czerwca 2018 do 1 czerwca 2019 r. zarobiła pięciolatka z Rosji. Dziewczynka znalazła się na trzecim miejscu w rankingu najlepiej zarabiających gwiazd YouTube’a. Wpływy oszacowano, uwzględniając m.in. dochód przed opodatkowaniem uzyskany z reklam, a także sponsorowane treści. Mała milionerka to Anastazja Radzinskaja. Jakie treści publikuje dziewczynka? Pokazuje, jak bawi się z kotem czy spacer na wielki plac zabaw, gdzie skacze po nadmuchiwanym zamku. Obecnie kanał „Like Nastya Vlog” obserwuje ponad 42 mln osób. Jak podaje „Forbes”, dziewczynka publikuje treści na siedmiu kanałach, a jej nagrania zostały łącznie odtworzone ok. 42 mld razy. Wszystko zaczęło się od tego, że rodzice dowiedzieli się od lekarzy, iż ich córka może nigdy nie mówić. Nagrywali więc filmiki dla rodziny, by monitorować jej postępy. Tak udało się zanotować wielki postęp. Na koncie. 



PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kto jest kim

Jest z tej ruchawki sędziowskiej jeden pożytek. Ujawnili się najbardziej agresywni, najbardziej upolitycznieni – a więc potencjalnie najbardziej stronnicy – przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości. Jeśli teraz byli gotowi złamać zasady sędziowskiej apolityczności, to i na sali sądowej okiem nie mrugną, gdy będą uniewinniać antyrządowego celebrytę, który jadąc samochodem bez ważnych dokumentów, potrącił na pasach staruszkę, a równocześnie będą skłonni skazać na wysoki wyrok dziennikarza z konserwatywnego tygodnika.



**Dominik
Zdort**

Każdy jawny zwolennik „dobrej zmiany”, gdyby miał z jakiegoś powodu trafić przed oblicze sądu, powinien najpierw sprawdzić, czy „jego” sędzia wziął udział w antyrządowej demonstracji lub podpisał jakiś polityczny protest. Bo jakiegokolwiek podejrzenie, że może mieć emocjonalny stosunek do sprawy, powinno skutkować wyłączeniem.

Oczywiście trudno się spodziewać, że „emocjonalni” sędziowie łatwo pozwolą się wyłączać ze spraw dotyczących ludzi, których nie lubią. Wręcz przeciwnie: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy sądowniczej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza sądownicza odrąbie w interesie demokracji”. Ale hałas robić warto.

Informacja, kto jest kim w społeczności sędziowskiej, może też być cenna dla ludzi opozycji. Jeśli antyrządowy celebryta lub inny jawny zwolennik opozycji miałby zostać o coś poważnego oskarżony, to wiadomo przecież, że będzie wypatrywać na wokandzie znanego z telewizji nazwiska sędziego, bo to gwarantuje mu sprawiedliwy (w jego mniemaniu) proces, po którym nawet po przejechaniu wspomnianej staruszki trafi nie za kratki, lecz do domu.

Można mieć wrażenie, że polscy sędziowie z ulgą zrzucają z siebie ciężar skrywania poglądów politycznych. Choć tak pięknie wychwalają europejskie normy prawne, to znacznie lepiej czuliby się w systemie całkiem odmiennym, amerykańskim. Tam sędziowie nie ukrywają, co myślą, i biorą to pod uwagę obywatele, którzy wybierają ich w głosowaniu – choć różnie to wygląda w różnych stanach. Bywa, że są to zwyczajne wybory (z partyjnymi sztyldami przy nazwiskach prawników), bywa, że formalnie bezpartyjne (ale kandydatów wspierają partie), a bywa, że sędziego wskazuje gubernator, a obywatele w głosowaniu tylko zatwierdzają. Tak czy inaczej nie trzeba się domyślać – zawsze wiadomo, kto jest kim i kto kogo reprezentuje. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Pornomęty

Swięta za nami, mogę więc już pisać o tym, co mnie zbulwersowało w okresie adwentu, a czego chciałem państwu oszczędzić w okresie, w którym myśl wszystkich bieży ku Dzieciątku w żłobie. Ale teraz do „ad remu”, jak mawiał żartobliwie pewien mój kolega. Oto we włoskich mediach natrafiłem na dyskusję dotyczącą, uwaga – „pornamentów”. Śpieszę z wyjaśnieniem, mając tylko prośbę, by tekst niniejszy był czytany przez osoby dorosłe. Za oceanem mianowicie wykielkowała nowa moda – ozdób choinkowych (nie piszę „świętecznych”, bo to raczej ze świętami nie ma nic wspólnego) będących pornograficznymi obiektami czy też postaciami w pornograficznych pozach. W wyuzdanych pozycjach zohydowane jest wszystko: od samego św. Mikołaja (podpisywanego jako „święty”!), po różne kojarzące się z Gwiazdką symbole: zabawki, zwierzęta czy bałwanki – wszystkie z typowego imaginariu świątecznego świata dzieci. Są wśród nich postaci w pozach seksu heteroseksualnego i homoseksualnego, a niektóre z zaprezentowanych scen są jak żywcem wyjęte z filmu porno, bez żadnych niedomówień.



**Tomasz
Łysiak**

Włos się jeży na głowie. Bo uderza to już nie tylko w święta w rozumieniu obrzędu, celebracji religijnej, lecz także w tradycję, w przekaz kulturowy Bożego Narodzenia.

Notabene, jeśli państwo sądzą, że nad Wisłę te pornobombki i zawieszki choinkowe nie dotarły, to się mylą. Jeden z serwisów internetowych dla pań poleca te właśnie „ozdoby”, pokazując je na zdjęciach i zastrzegając jednocześnie, by raczej nie wieszac ich na choince: „Propozycję dla osób o mocnych nerwach przygotowała marka Pornaments. Świąteczna z nagimi postaciami w pozycjach rodem z Kamasutry polecamy raczej na prezent niż do dekoracji całego drzewka”.

To oczywiście jakiś niszowy produkt, ale samo to, że powstają takie okropieństwa, jest kolejnym objawem choroby toczącej współczesność. Święta Bożego Narodzenia usiłuje się odrzec ze świętości i z chrześcijańskich znaczeń. A mnie osobiście wpienia w tym wszystkim jeszcze wrzucanie pornografii w czysty, niewinny świat dzieci. Bo to one zawsze gromadzą się wokół choinki. Apage satanas! Ufff, proszę wybaczyć, ale musiałem się tą złością z państwem podzielić! 

Wycie Teo

Podobno w Wigilię teściowe i zwierzęta mówią ludzkim głosem. Co do teściowych nie potwierdzam ani nie zaprzeczam, bo nie mam teściowej. Mam natomiast wyrzuty sumienia, bo ilekroć odwoziłem moją Teściową na cmentarz, tylekroć pytałem: „Czy Mamusia wraca?”. A że się zawsze śmiała i nie tylko od święta mówiła ludzkim głosem, więc przytaczam. Gorzej ze zwierzyną, tu sprawa wygląda znacznie poważniej.

Po pierwsze, lubię wyroby mleczne, a to jest złe, bardzo – jak uzmysłowiła mi reprezentatywna reprezentantka narodu naszego polskiego w Parlamencie Europejskim Sylwia Spurek. Bo krowy „są gwałcone, żeby dawać mleko”, więc nie dość, że czuję się współsprawcą zbiorowego gwałtu, to jeszcze nie mam czerpać z tego żadnej przyjemności, choćby organoleptycznej. Gorzej jeszcze, to po drugie, święta przeżyłem w psychicznym dołku nie tylko z powodu gwałconych wyżej wymienionych, lecz także enuncjacji laureatki tytułu „Europejczyka Roku” periodyku „Monitor UE” w „kategorii uczony” Magdaleny Środy. Pani uczona filozofka polityczna stwierdziła, że: „Zwierzęta udomowione powinny być traktowane jak współobywatele, potem są zwierzęta liminalne, graniczne, które żyją z nami, np. szczury, karaluchy albo coś takiego, powinny mieć status uchodźców, i są zwierzęta dzi-



**Piotr
Cywiński**

kie, które powinny mieć status obywateli państw suwerennych”.

Cholera jasna, szlag by to trafił! A ja te „liminalne” kapciem albo przez papierowy ręcznik i do, za przeproszeniem, kibla, zamiast do hotelu dla azylantów, o ja niecny! Nie żyją, to mi w Wigilię nie mogły wygarnąć, co o mnie myślą! Więc nadrabiam, w nadziei na rehabilitację, i wnoszę, by niższa i wyższa izba naszego „Zoopolis”, zwłaszcza ta druga, z nieodhumanizowanym marszałkiem doktorem/professorem odpowiedziała na moje konkretne pytania: czy i kiedy „karaluchy albo coś takiego” ze statusem uchodźców otrzymają dokumenty ze zdjęciem en face i z profilu, czy będą miały obowiązek szkolny,

co z nauką języka polskiego, z religią, co z ich identyfikacją płciową, czy będzie dopuszczane ich wielożenstwo, co z kwestią ewentualnej aborcji, czy u samic, pardon, pań nowych obywaterek będzie dopuszczana tylko do 12. tygodnia ciąży, co jeśli ktoś ma mrówki faraona, czy będzie im wprowadzony dyskryminujący zakaz posiadania więcej niż jednego dziecka...? – tych pytań miałbym więcej, ale miejsca za mało. W każdym razie ja idę z duchem Środy, mój udomowiony pies Teo ma już paszport, wprawdzie utrzymuje nieobyczajne stosunki, nie czyta „Gazety Wyborczej” i wyje nieludzko, gdy słyszy Radio Tok FM, ale nad tym pracujemy... 

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Niby jestem
wykształcony,
niby jestem
Europejczykiem
a wypetnia
mnie nienawiść
prowincjonalnego
buca!



ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

SIECI

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRISTINA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKOŁ, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE WYRACA MATERIAŁÓW NIEZAMOWIANYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARINĄ.



FOT. NA OKŁADCE: WOJCIECH STRAŻYŃSKI/REPORTER, JACEK DOMINUS/REPORTER, MAREK
LASZYK/REPORTER, SHUTTERSTOCK/44



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

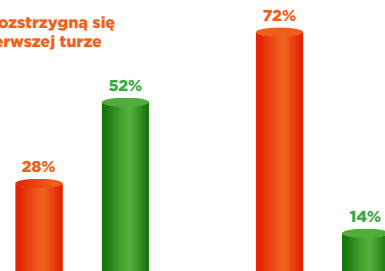
Na którą z poniższych osób
oddaby Pani/oddaby Pan głos
w wyborach prezydenckich, gdyby
odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez odpowiadających „trudno powiedzieć”)



Z którą opinią na temat najbliższych wyborów
prezydenckich zgadza się Pani/Pan bardziej?
Odpowiedzi z podziałem na sympatyków partii.

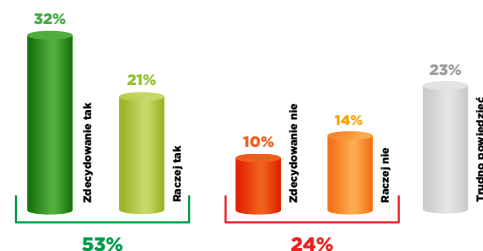
Rozstrzygną się
w pierwszej turze

Nie rozstrzygną się
w pierwszej turze



**KOALICJA
OBYWATELSKA**

Na ile zgadza lub nie zgadza się Pani/Pan
ze stwierdzeniem, że Armia Czerwona
wyznaczyła Polskę w 1945 r.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview)
na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej,
reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania)
próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1029.

Zakres czasowy badania 13-17 grudnia 2019 r.

Szymon Hołownia: Dzień dobry, cześć i czołem, nie pytajcie, skąd się wzięłam. Witam serdecznie w te ostatnie godziny przed ciszą wyborczą. Zanim zdradzę państwu szczegóły dzisiejszego specjalnego odcinka naszego apolitycznego talent show, pozwólcie, że przedstawię następcę Marcina Prokopa, który podczas kręcenia programu za oceanem został wypatrzony przez łowców głów z NBA. Nasz nowy prowadzący też jest wysoki i skromny, a przy okazji tak jak ja marzył o starcie w wyborach. Władek, dawaj do nas!

Władysław Kosiniak-Kamysz: Dzień dobry! Heloł, witam wszystkich.

Hołownia: Gdzie masz kolegę Kukiza?

Kosiniak: Wolalbym nie odpowiadać. Tam, gdzie on mnie. Nie pomógł mi w kampanii...

Hołownia: Wyciszamy Władka, bo zaraz nam się tu rozplacze. Przypomnijmy zasady dzisiejszego show. To właśnie nasza Apolityczna TV ma przyjemność nadawać ostatni telewizyjny program na żywo przed wyborami. Oddaliśmy go politykom, a ich występy oceni apolityczne jury złożone z niezależnych artystów. Od lewej: Krystyna Janda – przeprasza, że siedzi w czapce, ale wciąż nie pogodziła się z tym, co po wyborach spadło jej na głowę. Dalej: Jerzy Stuhr – pamiętliwy wodzirej i amator, to znaczy, pamiętny. Dziękujemy, Jurku, że zgodziłeś się mówić po polsku. Wreszcie posłanka, która nie obchodzi świąt, gdyż jej kuzynostwem jest rodzina szympan-sów z poznańskiego zoo, Klaudia Al-Jachira, totalna lalkarka! Czas najwyższy zajrzeć za kuliszy naszego programu, na początek – partia rządząca...

Garderoby telewizyjne Prawa i Sprawiedliwości. Partyjna wierzuszka wpatruje się w ekran telewizora, na którym bryluje Hołownia.

Jarosław Kaczyński: To na pewno on?

Mariusz Blaszczak: Na sto procent. Oglądałem „Mam talent”.

Kaczyński: Trzeba było wystąpić. My mamy za mało sukcesów medialnych. Przecież ten TVN nas nienawidzi.



Szopka Talent Show

Zbigniew Ziobro: I dlatego trzeba ich nastraszyć.

Dominik Tarczyński: Mogę im walczyć. Ostatnio tak przywaliłem Korwinowi, że spał na posiedzeniu.

Kaczyński: Czym?

Tarczyński: Otwartym tekstem. Powiedziałem, że mu przywaliłem za obrażanie polskiej pamięci.

Kaczyński: I co?

Tarczyński: No, nic. Bo spał.

Kaczyński: Ja cię nie mogę. A teraz poważnie. Pójdiesz do tego chłopca z TVN i powiesz mu, że jak nie będzie obiektywnie prowadził, to mu wyłączymy internet i wszystkie lajki szlag trafi. Zapamiętasz?

Wszyscy milkną, gdyż korytarzem przechodzi głowa państwa. Nuci coś dyskretnie, ale w skupieniu. Widać oznaki tremy.

Andrzej Duda:

Śpiewa na melodię piosenki „Jolka, Jolka, pamiętasz” z repertuaru Budki Suflera

Polsko, Polsko, pamiętasz lato ze snu,

gdy mówiłaś: „Tak mi źle.

Staw się, Andrzej, i zaraz,

Coś ze mną zrób,

Nie zostawiaj Bronkowi, o nie...”

Jezdnią szły zakonnice, a wtedy on

Po pijaku, ciężarną, aż strach...

Nagle przerywa.

Duda: Nie, ja tego nie zrobię. Kto to w ogóle wymyślił, żeby prezydent musiał śpiewać tuż przed ciszą wyborczą?!

Kaczyński: Prezydent niczego nie musi. Ale nie wszystko może. Bo Michnikowy sen powróci w innej odsadzie. Czy pan coś przygotował, panie premierze?

Mateusz Morawiecki: Oczywiście. Ale nie wiem, czy to się nada. Bo ja już mam dość tego Banasia. To jest kompletny wariat! Znalazł się Rudolf Giuliani. Raczej Rudolf Czerwononosy z bajki Disneya. O, to będzie dobre... Zapisuje dowcip w zeszycie.

*Śpiewa na melodię utworu „Bananowy song” z repertuaru Vox
Banasiowy jest
po prostu żywot mój,
krąży wokół mnie
dziwacznych gości rój,
rzęsami w rytm muzyki mnie wachlują
i zataczają w transie krąg.
Tak je ujął ten banalny wręcz,
nasz banasiowy song
o no, no, no, no...
nasz banasiowy song...*

Na scenę wbiegają poseł Paweł Szefernaker oraz europoseł Joachim Brudziński. Mają na sobie szaliki Pogoni Szczecin.

Szefernaker i Brudziński:

Śpiewają na melodię pieśni szczecińskich kibiców z repertuaru szczecińskich kibiców

*My portowcy, my portowcy,
Granatowo-bordowa krew.
W naszych sercach zawsze Pogoń jest.
Pogoń Szczecin Em-Ka-Es*

Szefernaker: Pogoń!

Brudziński: Szczecin!

Kaczyński: Co tu się dzieje? Czy wyście powariowali? Premier śpiewa o Marianie, a wy ustawki sobie robicie? Joachim, czy ty nie miałeś być przypadkiem w Brukseli? A pan, kim pan w ogóle jest?

Szefernaker: Wiceministrem spraw wewnętrznych.

Kaczyński: To za kim ta pogoń?

Szefernaker: No... Szczecin.

Kaczyński: A co wam Szczecin zawiązał, że mu taką antyreklamę robicie? Że tęczowe rondo chcą tam otwierać? Zgłosiliście w tej sprawie interwencję

poselską? No, właśnie. To pozwólcie innym występować.

Holownia: Tyle zza kulis partii rządzącej. Od siebie obiektywnie dodam, że nie wygląda to dobrze, No, ale w końcu po to powstała nasza nowa Apolityczna TV.

Janda: Jestem na nie.

Stuhr: Nein, niet, no!...

Jachira: Proponuję dyskwalifikację, delegalizację i demokrację. To są ludzie, którzy obchodzą katolickie święta! W Unii Europejskiej!

Holownia: A planeta umiera. Ja już teraz pocę się jak Chlebowski przez to ocieplenie, a co będzie, jak lodowce stopnieją? Zerknijmy do partii opozycyjnych...

Grzegorz Schetyna: Dziękuję. No, żart, kpina, PiS nie ma żadnego show. Miałby być akrobatki na kucykach i pingwiny na łyżwach, a jest cyrk pcheł i szarańczy śpiew. Zniszczymy to, obalimy, odbudujemy, przywrócimy. Ja wam to obiecuję. Śpiewa na melodię „Nie chcę więcej” z repertuaru Michała Bajora

*Nie chcę więcej, ta Platforma do życia
wystarczy mi,*

*Ta Platforma, co zagrzewa do walki
o każdy dzień,*

*Ta Platforma, która cierpi i kocha
mnie najmniej,*

Która gaśnie, coraz prędzej, bez sensu...

*W zgryzocie pasma zbyt chudych dni
„Bądźmy totalni!” nie bardzo brzmi
Ciszej wciąż, słabiej wciąż...*

Nie chcę więcej, ta Platforma...

Małgorzata Kidawa-Błońska: Ależ to wzruszające. Gdybym cię nie знаła, Grzegorz, tobym cię zatrudniła w kancelarii prezydentki, a tak, to wypada mi jednak podziękować. Za wszystko, w imieniu nas wszystkich, to chyba wszystko. No, nie maż się, Shreku...

Śpiewa na melodię piosenki „Weź się przytul” z repertuaru Pawła Domagały

Weź nie pytaj.

Weź się przytul.



*Weź się, chłopie.
Weź już idź.
Weź nie gadaj.
Weź już spadaj.
Weź się przytul
I weź wyjdź*

Schetyna opuszcza studio. Natychmiast na scenie pojawia się Donald Tusk.

Donald Tusk:

Śpiewa na melodię piosenki „Hey Jude” z repertuaru The Beatles, którą wykonywał w kwietniu 2014 r. w spocie prounijnym kosztującym łącznie z emisją 7 mln zł

*„Herr Tusk”
– to nie brzmi źle,
Choć w ciemnogrodzie
Potępią mnie.
Lecz teraz
nie czas na krew, pot i łzy,
Gdy mnie tu chcą,
A w Polsce nikt...
„Herr Tusk”
– to brzmi jak sen,
Ciagle słyszę:
„Patrzcie, to ten...”*

Schetyna: Nie kończ! Tu są kamery!

Tusk: ...ten mąż stanu.

Schetyna: Majątkowego czy wyjątkowego?

Kidawa-Błońska: Proszę, nie kłóćcie się.

Tusk schodzi przy owacjach apolitycznej publiczności. Jeden z widzów podrywa się z miejsca i wyrzywa Kosiniakowi mikrofon. Ma na sobie sędziowską togę z napisem „Konstytucja” oraz hełm wojskowy z nadrukiem „SRON – Sędziowska Rada Ocalenia Narodowego”.

Sędzia Kastowy: Czuwaj. Przychodzę z podziemia demokracji, a w zasadzie jej dna. Chcę powiedzieć, że się nie poddamy. Oto nasze warunki: 1. Nie będziemy ujawniać swoich zarobków. 2. Nie przestaniemy się przyjaźnić z wybranymi politykami. 3. Nie będziemy orzekać do wyborów w sprawach związanych z Platformą Obywatelską. 4. Nie będziemy traktować tak samo celebrytów i zwyczajnych ludzi. 5. Nie odpuścimy sobie drobnych kradzieży. 6. Nie zrezygnujemy z jazdy po alkoholu. 7. Timmermans na prezydenta!

Śpiewa na melodię piosenki „Kasa i sex” z repertuaru Maryli Rodowicz

*Bo trzeba mieć nadzieję,
że rokosz się opłaci,
że będzie z niego zysk,
a sędzia nic nie straci.*

*Bo to, co nas podnieca,
to się nazywa kasta,
a kiedy w kaście forsa
to sukces jest i basta.*

Przerzywa na widok zdyszanego Lecha Wałęsy wchodzącego zza kulis w pomarańczowych okularach.

Lech Wałęsa: A co wy tu jeszcze robicie? Dlaczego wy nie jesteście na ulicy? Przecież wezwałem do walki! Tam się ludzie zbierają!

Tusk: Może najpierw policzmy głosy? Bo ja jestem na „tak”, ale sam nie pójdę.

Wałęsa: No, syn jest, żona, Mnietek... Zaraz tefaleny przyjadą! No, ludzie złoci, mnie też siem nie chce czterech lyter ruszać, ale muszem! Przecież oni mnie Kyszczakową tak zaatakowały, że ja nie mam innego rozwiązania!

Władysław Frasyniuk: A ja mam świetny numer!

Tusk: O tym, żeby się nie bać i grzyba...

Frasyniuk: „Pisiora”, nie „grzyba”. „Grzyb” to ja mam na trzeciej w konspiracji.

Tusk: Aha. A czemu?

Frasyniuk: Bo grzyba trudno wypatrzyć, a ja się ciągle tak trochę ukrywam.

Tusk: I bardzo dobrze, Władziu. W takim razie ty będziesz „ulica”, a ja „zagranica”. A potem się zmienimy, ja będę miał swoją ulicę, a ty będziesz się ukrywał za granicą. Fajny plan?

Frasyniuk: Nie wiem, k.... Bo ja się ciągle waham, czy nie wrócić do polityki na poważnie. Tylko że w XXI w. niczego jeszcze nie wygrałem. Startowałem do Sejmu, do Senatu, na prezydenta Wrocławia, znowu do Sejmu i co? I Czajka!

Rafał Trzaskowski: Spieszę donieść, że problem sam się rozwiązał i nikt już o Czajce nie pamięta, gdyż wdepnęliśmy w kolejną aferę. Na szczęcie tym razem chodzi o ciepłą wodę, chociaż sprawa też brzydko pachnie.

Śpiewa na melodię piosenki „Na prawo most, na lewo most” z repertuaru Chóru Czeja

*Na prawo most, na lewo most,
a dołem ściemy płyną,
to nie mój ból,
to nie mój szmal,
to się oczyści zimą.
Paletami zasypię parkingi,
Zamiast ławek postawię doniczki,
A gdyby ktoś w tym widział błąd,
To parą mu z rury i won.
Gdyż...*

Śięga po grzebyki, przeczesuje włosy, chowa go do kieszeni.

Śpiewa na melodię piosenki „Warszawa da się lubić” z repertuaru Adolfa Dymszy

*Warszawa da się kupić,
Warszawa da się łupić,
Tutaj głosy można znaleźć,
Tutaj się nie sieje głupich.
Wiadoma rzecz – stolica,
To wielka kamienica.
Jeśli dobrze rzecz rozegrasz,
W żadnym sądzie już nie przegrasz.*

Kosiniak: Muszę przerwać. Państwo przekroczyli wszelkie normy. Śpiewacie za długo, o niczym i to jest labędzi śpiew starych syren na podmiejskim złomowisku. Dajcie szansę młodym! Na scenę wbiega skocznym krokiem Paweł Kukiz.

Paweł Kukiz:

Śpiewa na melodię piosenki „O, Hela” z repertuaru własnego

*Pesela,
pesela
Już oddałem dla Pe-Es-Ela.
Lepiej jest oddać czasem kilka cyfr,*

Niż nie zarobić nic.

Pesela,

pesela...

Jak ten Wladek mnie onieśmiela.

Tyłu ludziom wcisnąłem słodki kit,

A teraz on wcisnął mi?

Michał Kamiński: Bardzo ładnie pan śpiewa. Ale teraz będzie pan tańczył tak, jak my panu zagramy. Ja np. kiedyś śpiewałem, że nie pękam, a obecnie ćwiczę monodram człowieka gumy. Chodzi o wyginanie kręgosłupa tak, by dało się być jednocześnie zetchaenowcem, liberałem i ludowcem, a startować wspólnie z komuną i tęczowymi...

Jachira: Niech pan nam tego oszczędzi. Pan chciał mnie pocałować w rękę przed wejściem, jestem na nie.

Kosiniak: Ja z tego miejsca apeluję...

Włodzimierz Czarzasty: Apelować, obywatelu Kosiniak, to będziecie dopiero wtedy, jak was skażą. A teraz idźcie i zobaczcie, czy nie ma was na parady, he he...

(Śpiewa na melodię piosenki „Ballada wrześnieńowa” Jacka Kaczmarskiego)

*Długośmy na ten dzień
czekali
Z nadzieją niecierpliwą
w duszy,
Kiedy bez słów towarzyszy
Biedroni*

*Cztery litery w Shupsku
ruszył.
Krzyk jeden pomknął na
lewicy,
Jak jeden mąż za-
grzmiałły działał,
Tak nas z szybkością
nawatnicy
Armia Tęczowa
wyzwalała...*

Robert Biedron: Sorry, teraz miałem być ja! Obiecowaliście, że będą występy na zmianę:

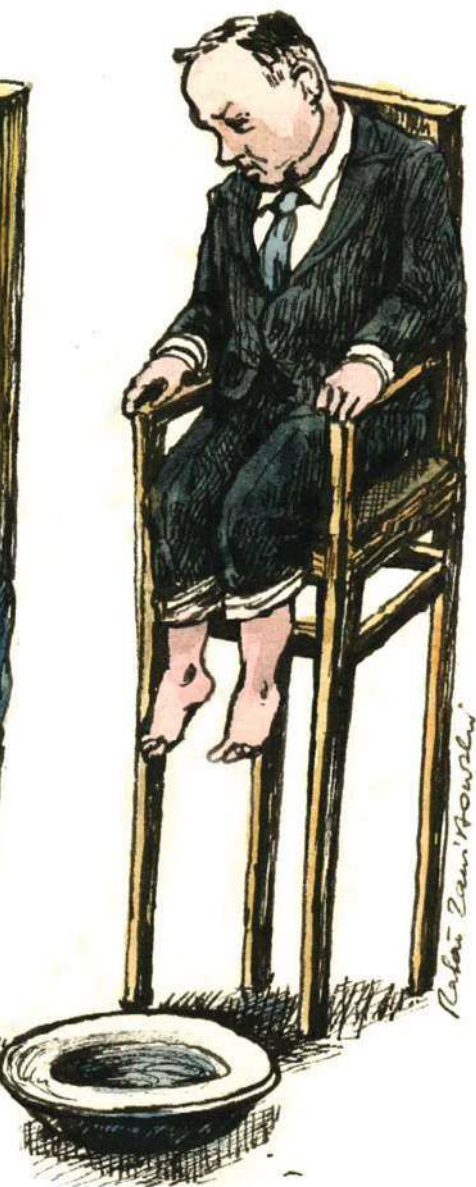


heteronormatywny, nienormatywny,
heteronormatywny, nienormatywny...
Śpiewa na melodię piosenki „Gdzie ci mężczyźni” z repertuaru Danuty Rinn

Gdzie ci mężczyźni,
prawdziwi tacy,
orły, sokoły, herosy!?
Gdzie ci mężczyźni
na miarę czasów,
gdzie te chłopcy!?
Jeeeeee!

Kosiniak: A czego pan chce od chłopów? Lepiej z chłopem nie zaczynać, proszę pana, bo można z chłopem skończyć...

Adrian Zandberg: Wzywam prowadzącego do niekomentowania występów



pów lewicy w ich trakcie. Widowisko nasze stało nad przepaścią...

Śpiewa na melodię piosenki „A mnie jest szkoda lata” z repertuaru Jerzego Polomskiego

A mnie jest szkoda Marksa,
Engelsa i Lenina,
Bo od nich każdy w Razem
Swe życie rozpoczyna.
A mnie jest szkoda Marksa
I Che Guevary wspomnień
Niech mówią „komuch” o mnie
A mnie jest żal...

Dostojnym krokiem wchodzi na scenę przedstawiciele Konfederacji.

Krzysztof Bosak: Wystarczy tej pornografii. My proponujemy narodowo-ultraliberalną wersję teleturnieju „Jeden z dziesięciu”, przy czym nas w prawyborach było dziewięciu, gdyż jedna osoba, jakby to powiedzieć, miała troszkę inne korzenie. Korzystając z okazji, pragnę wezwać do głosowania bez butów...

Śpiewa na melodię piosenki „Boso” z repertuaru Zakopower

I dopiero gdy
zarzucił Bóg,
To pójdzicie wrzucić
głosy do urn
Na Bosaka...
Na Bosaka...
Na Bosaka...
Na Bosaka...
Na Bosakaaka!

Hołownia: Jak widać, emocje rosną. Nic dziwnego, to w końcu ostatnie, przedwyborcze występy. Obiektywnie powiem, że powinienem przejść do drugiej tury, gdyż...

Kosiniak: ...mam w gaciach dziury. Przestań ludzi straszyć. W polityce trzeba mieć charakter! Kręgosłup, rozumiesz? Nie możesz, dajmy na to, udawać antysystemowca, będąc jednocześnie jądrem systemu. Albo w jednych wyborach wspierać LGBT, a w następnych grzmieć, że jesteś przeciw. Albo mielić półtora miliona podpisów, a potem walczyć o częstsze referenda...

Hołownia: A ty?

Kosiniak: Ja musiałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że prezydent, zwłaszcza niedoszły, nie musi wszystkiego.

Bosak: Przepraszam, to ja bym wolął jednak zatańczyć. 12 lat temu szerokim echem odbił się mój udział w „Tańcu z gwiazdami”...

Janda: A z jaką gwiazdą pan występował? Może z tą Ostaszewską od karpi? Bo chciałam ją zapytać, czy szampon to bardzo takiej rybce szkodzi?

Bosak: To znaczy...

Robert Winnicki: To kolega był gwiazdą.

Janda: No, nie wytrzymam. Jurek, rozśmiesz mnie, bo zwariuję...

Stuhr: Nie dam rady. Powiem więcej: ja już się wstydzę nawet myśleć po polsku...

Jachira: Bo Polacy nie myślą. Na dzień dzisiejszy myślą 6 234 osoby. To jest mój elektorat.

Bosak: Czy ja już mogę tańczyć?

Grzegorz Braun: Szczęść Boże. I Bóg zapłać. Czy kolega zwrócił uwagę, że gdyby zamienić miejscami dwie ostatnie litery w jego nazwisku, to wychodzi „Boska”? Z Panem Bogiem. Dalibóg i przebóg, na litość boską, jak Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera. Wniosek formalny, wniosek formalny...

Janusz Korwin-Mikke: Wiedziałem, że będą z nim kłopoty. Uprzedzałem: przy nim to my sobie nie pośpimy. Proponuję losowanie: kto następny ściąga Brauna z mównicy? Ja już byłem.

Śpiewa na melodię piosenki „Nie budźcie mnie” z repertuaru Kaliny Jędrusik

Nie, nie, nie budźcie mnie,
Śni mi się tak ciekawie,
Jest pięknie w moim śnie
Niż tam, na waszej jawie...

Tu chodzę sobie z pieskiem
Po całej mojej Wiejskiej.
Mam wreszcie większość w Sejmie
I nikt mi już nie zdejmie
Korony króla kraju
Podatkowego raj...

Braun: Szczęść Boże. To znowu ja. Chciałem zaśpiewać kolędę zaleską, to znaczy z Zalesia. Ale wykonam utwór z bałajką na znak protestu przeciwko obecności wojsk amerykańskich w Polsce.

Janda: Dziękujemy, odezwiemy się do pana.

Braun: Wniosek formalny!

Jachira: Czy pan jest może po lalkarstwie? No, właśnie! To wystarczy już tej szopki...

Kurtyna.

Krzysztof Feusette

Skromny, a nawet nieco ślamazarny start kampanii Szymona Hołowni jest dokładnie zaplanowany. Na impet czas nadejdzie już niedługo. Zobaczymy wielkie pieniądze i wykreowanego za nie kandydata na prezydenta innego od wszystkich. To nie pierwsza próba zbudowania nowego bytu politycznego na bazie popularności jednego człowieka. Ale ta może mieć najpoważniejsze konsekwencje



Kandydat z fo



Fot. Wojciech Szostak/REPORTER



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Po blisko 14 minutach nudnawej przemowy à la korporacyjny trener Szymon Hołownia w końcu wydusił z siebie: „Słowa już były, czas działać” i zadeklarował, że chce kandydować na prezydenta. „Chcę się u was ubiegać o tę pracę, pokornie proszę, żebyście powierzyli mi funkcję stróża naszej narodowej wspólnoty” – powiedział. Wiele wskazuje na to, że tego popołudnia w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku skończyła się droga popularnego prezentera telewizyjnego, który od blisko dekady współprowadził program „Mam talent” w TVN. Czy to jednocześnie początek błyskotliwej kariery politycznej? Czy roztrzaska się ona o mur niemożności zebrania 100 tys. podpisów uprawniających do startu? Czy też zaprowadzi go do pałacu przy Krakowskim Przedmieściu? Pod tym względem pewności mieć nie można. A może zwycięstwo wiosną 2020 r. wcale nie jest dla Hołowni celem numer jeden?

SCENARIUSZE DLA SZYMONA

Wybory prezydenckie mają swoją wagę, ale dla partyjnego układu sił nabierają dodatkowego znaczenia po tym, gdy w Senacie większość zdobyła opozycja. W praktyce izba wyższa może zaledwie o miesiąc opóźnić wprowadzenie prawa ustalonego przez większość sejmową, potem ustawy i tak trafiają do podpisu prezydenta. A gdyby został nim kandydat opozycji, to PiS, choć z większością w Sejmie, w zasadzie straciłoby możliwość rządzenia.

„System się zawiesił. Żeby się odwieśił, w maju 2020 r. musimy zamontować w nim niepartyjny bezpiecznik. (...) Musimy mieć arbitra, który nie będzie grał z jedną z drużyn, podpisując jej wszystko, jak leci, a pchał drugiej kij w szprychy” – mówił Hołownia w Gdańsku. Jaki jest jego cel? Zarysowują się tutaj cztery możliwości.

Scenariusz pierwszy. Hołownia rzeczywiście jest obywatelskim kandydatem, który zmęczony partyjnymi rozgrywkami i zatroskany o przyszłość Polski („Moja córka Mania świętowała niedawno drugie urodziny, co jej zostawię?”) opuszcza wygodny fotel recenzenta i staje do politycznych zawodów. Kampania prowadzona bez większych pieniędzy nie umożliwi mu uzyskania oszałamiającego wyniku, ale popularność zdobyta w telewizji powinna wystarczyć na zdobycie kilku procent poparcia.

– Mnożenie kandydatów ma jeden podstawowy cel. Chodzi o to, by zminimalizować prawdopodobieństwo, niewielkie, lecz jednak, że Andrzej Duda wygra te wybory już w pierwszej turze – mówi nam dr Zbigniew Girzyński, poseł PiS. – Nietrudno się domyślić, do kogo trafią głosy Hołowni w drugiej turze. Jako że mamy do czynienia z plebiscytem, a nie z wyborami, to Hołownia przerzuci poparcie na kandydata anty-Dudę, kimkolwiek by był.

cusów

To prawdopodobne domknięcie scenariusza numer jeden. Rola Hołowni kończyłaby się na pierwszej turze i poparciu tego, który w dogrywce stanie oko w oko z obecnym prezydentem. Dlaczego nie przewidujemy, że Hołownia mogłaby poprzeć Dudę? Wróćmy jeszcze do przemowy z Teatru Szekspirowskiego. Było w niej sporo pustostlowia, wręcz naiwności i piękno duchostwa, lecz także trochę szpilek wbijanych politykom. Nietrudno było zauważyć, że nie całej klasie politycznej się oberwało. Było wszak o „przyjaznym rozdziale Kościoła od państwa”, był zachwyt nad noblistką Olgą Tokarczuk i peany o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy, także o „Polsce silnej samorządami, na których wolność czyha rząd centralny” i sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi zamiast paktu z sąsiadami. Były dziennikarz mówił też, że konieczność zadbania o uchodźców i mniejszości seksualne jest ważniejsza niż „ławeczki niepodległości i strzelnice w każdym powiecie”. To jasne, że Hołownia tą mową zadowalał zwolenników antypisu.

POWTÓRKA Z SUKCESU

– Jego start najbardziej zaszkodzi Dudzie. Hołownia dobrze wie, że nie gra o drugą turę, bo na nią nie ma szans, o rozpoznawalność też nie walczy, bo jest już rozpoznawalny, musi mieć więc jakiś inny cel – mówi Andrzej Rozenek, poseł Lewicy. – Celem może być zbudowanie czegoś szerszego.

I oto rysuje nam się scenariusz numer dwa. Gdyby Hołownia zdobył poparcie 10–12 proc. wyborców, to byłby już kapitał, który szkoda byłoby zmarnować. Polityk SLD przypomina rok 2000 i dobry wynik w wyborach prezydenckich Andrzeja Olechowskiego, który wystartował wówczas jako kandydat niezależny i w pierwszej turze zajął drugie miejsce z poparciem 17,3 proc. wyborców (3 044 141 głosów). Drugiej tury nie było, przegrał z Aleksandrem Kwaśniewskim. Na fali wyniku Olechowskiego w styczniu 2001 r. powstała Platforma Obywatelska. – Istnieje wśród polityków skłonność, by powtarzać coś, co się już raz udało. Dlatego za tym planem może stać Donald Tusk. Tak podpowiadałaby logika, ale polityka nie zawsze jest logiczna – dodaje Rozenek. Rzeczywiście, światopoglądowo Hołownia pasowałaby do „chadeckiego” ugrupowania, którego stworzenie coraz wyraźniej zapowiada byłby polski premier, a obecnie szef Europejskiej Partii Ludowej (EPP).

Do czasu zamknięcia tego numeru „Sieci” Szymon Hołownia nie odpowiedział na nasze pytania, dlatego posługujemy się dotychczasowymi publicznie wypowiedzianymi słowami kandydata. Jeszcze jeden cytat z gdańskiej mowy: „Dlaczego to robisz? Bo czas na człowieka, który przychodząc z dołu, naprawi to, co zostało zepsute od góry. Po co? Bo chcę prezydenta, który rozdzieli splecione w paraliżującym klinczu partię, a połączy podzielonych ludzi. (...) Tego wszystkiego nie będzie w stanie zrobić, upilnować nikt, kto wywodzi się z partii. Nie będzie w stanie uzdrowić systemu nikt, kto jest tego chorego systemu częścią, kto z niego wyrasta”.

Scenariusz trzeci, o którym słyszymy na sejmowych korytarzach, jest w zasadzie rozwinięciem drugiego. Mówimy więc o niezłym wyniku Hołowni, na którym Tusk chciałby

zbudować swoją nową partię, a w określonym celu – który wydaje się tylko powierzchownie absurdalny – dla zniszczenia albo co najmniej zmarginalizowania Platformy Obywatelskiej, w szczególności z jej obecnym kierownictwem. Narzecz tej opcji przemawia grono osób, o których się plotkuje, że mają być blisko Hołowni. Donald Tusk, Jacek Cichocki, ks. Kazimierz Sowa, Roman Giertych. Łączą ich więzy towarzyskie (a w tym gronie są one raczej trwałe) i – delikatnie mówiąc – chłodny stosunek do Grzegorza Schetyny. Nawet jeśli publicznie Tusk mówi, że nie dołączy do chóru, który miałby szefa PO rozliczać, co więcej, „docenia to, co Grzegorz zrobił w ostatnim roku na rzecz zjednoczenia opozycji”. – Znak poczuć humor Donalda, to może być mówione serio, choć z przekąsem. Grzegorz przegrywa kolejne wybory. Tak osłabił PO, że ludzie za Tuskiem autentycznie tęsknią. Jak on ma tego nie „doceniać” – mówi z rozbijającym uśmiechem jeden z posłów opozycji.

Czwarty, najbardziej egzotyczny scenariusz, przedstawia Janusz Korwin-Mikke: – Nie widziałem w życiu człowieka. Nawet nie wiem, jak on wygląda – odpowiada z pewnością w głosie. Po czym kontynuuje: – Z medialnych szumów wydaje mi się, że to jest akcja jakiegoś lobby ukraińskiego. Podobno był w Polsce sponsor niejakiego Zielińskiego – po ukraińsku Zelenskigo – i namawiał Hołownię do startu. Takie plotki do mnie dochodzą, one mogą być fałszywe – rzuca Korwin-Mikke na sejmowym korytarzu. Po zapewnieniu, że naprawdę chce, byśmy zacytowali właśnie takie jego słowa, żegna nas i wchodzi do biura Konfederacji.

KSIEŻA, MINISTER I PIAROWCY

Hołownia deklaruje się jako katolik, ale zdecydowanie w wersji light. – Pamiętam go z czasu, gdy z ks. Sową rozkręcali kanał Religia.tv w ramach grupy TVN. Wtedy Szymon budził szacunek, a nawet swego rodzaju zachwyt, bo mało było osób ze sfery publicznej, dziennikarskiej, które otwarcie przyznawały się do swojej wiary. Szybko się jednak okazało, że to taki Kościół według „Tygodnika Powszechnego” – mówi nam jeden ze znanych dziennikarzy stacji z Wiertniczej.

Dodaje też zdanie, które w identycznym brzmieniu usłyszeliśmy od jednego z prezydenckich ministrów: – Pewne jest, że gdyby Hołownia został głową państwa, swoim kapelanem mianowałby ks. Sowę.

Zaprzysiężony z liberalnymi politykami duchowny (choć coraz rzadziej pojawiający się w koloratce) był widziany na oplatkovym spotkaniu polskich europosłów z EPP w Brukseli. Miał tam nie kryć się z radością, że oto pojawił się nowy kandydat w wyścigu po prezydenturę.

Innym kapłanem zaprzysiężonym z publicystą jest kard. Konrad Krajewski. Michał Kobosko, były dziennikarz, który już funkcjonuje jako szef sztabu kandydata na kandydata, został zapytany w „Dzienniku”, czy papieski jałmużnik jest doradcą Hołowni. W odpowiedzi wymijająco stwierdził, że „nie będzie wymieniał żadnych nazwisk”. Choć kilka zdań wcześniej twardo zaprzeczał zaangażowaniu w projekt różnych osobistości i kościelnych zgromadzeń, tu plotek nie przeciał.

Od wielu osób słyszymy, że kardynał, jeden z najbliższych współpracowników Franciszka, mógłby być wykorzystany – nawet nieświadomie – do pomocy w kampanii, choćby poprzez zaaranżowanie wspólnej fotografii kandydata z papieżem. Jednak z naszych informacji wynika, że nie ma żadnych szans, by kard. Krajewski w jakikolwiek sposób zaangażował się w wybory. Papieski jałmużnik cały swój czas poświęca biednym i bezdomnym i nie ma zamiaru dać się wciągnąć w politykę.

Nieco kulisów z obozu Hołowni zdradzili dziennikarze Polityki Insight. Według nich od kilku miesięcy pracują trzy grupy. Jedna, tzw. koordynatorzy, zajmuje się pozyskiwaniem wolontariuszy w całym kraju. Druga – sprawami programowymi. To oni (kilkanaście osób) m.in. na podstawie szczegółowych badań focusowych selekcjonowali pakiet tematów, na których ma być osnuta kampanijna opowieść – chodzi zwłaszcza o ekologię, wzmocnienie samorządów, a także upartą narrację o potrzebie naprawy państwa i odbudowania wspólnoty Polaków, albo raczej: mieszkańców Polski. Trzecia ekipa zajmuje się kampanijną strategią – planuje terminy wydarzeń, a także pomaga Hołowni w przygotowaniu się do publicznych występów.

Za ten ostatni obszar odpowiadają twórcy agencji PR Pacyfika: Paweł Cywiński (brat dyrektora Muzeum Auschwitz) i Filip Katner. Wcześniej pomagali oni w kampaniach wyborczych politykom startującym z list Koalicji Obywatelskiej. W ostatniej promowali m.in. Franciszka Sterczewskiego, który uzyskał mandat z ostatniego miejsca poznańskiej listy KO. Wcześniej doradzali też Rafałowi Trzaskowskiemu w wyborach prezydenckich w Warszawie.

Katner w październikowym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówił: „Są trzy emocje, które wyciągają ludzi na ulice: strach, gniew i nadzieja. Ta ostatnia jest dużo trudniejsza. Dziwię się, że różne siły polityczne w Polsce skapitulowały i po nią nie sięgnęły. Zarządzanie strachem nie zawsze jest skuteczne. Trzeba to umieć robić. Opozycja tego nie potrafi, dlatego straszenie PiS-em jej się nie powiodło. (...) Zamiast odnosić się cały czas do PiS-u, można stworzyć własną opowieść dającą ludziom nadzieję na Polskę szanującą wspólne, demokratyczne wartości”. I właśnie na takiej opowieści, skupionej wokół nadziei, ma się oprzeć Hołownia.

Łącznikiem między drugą a trzecią grupą sztabowców ma być Jacek Cichocki, były minister spraw wewnętrznych i koordynator specusłuż w rządzie Tuska, który towarzyszył Hołowni w czasie jego gdańskiej imprezy inauguracyjnej. To najbardziej doświadczona politycznie postać w otoczeniu celebryty.

Od dwóch osób (wspierających dwóch innych kandydatów) słyszymy, że od wakacji w pracę dla Hołowni mają być też podobno zaangażowani ludzie z Corporate Profiles Consul-

ting, agencji zajmującej się doradztwem strategicznym i marketingiem. To oni mają pomagać w ustalaniu kampanijnej dynamiki i logistyki. CPC jest dowodzona przez trio: Szymon Gutkowski (był asystentem Jacka Kuronia, zasiadał w zarządzie Fundacji Batorego, społecznie doradzał prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu), Grzegorz Markowski (dziennikarz znany m.in. ze „Szkła kontaktowego”, TOK FM i „Newsweeka”) i Stanisław Mencwel (kiedyś w firmie badawczej SMG/KRC – dziś nazywa się ona Millward Brown – brat Jana Mencwela, przewodniczącego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze). Ideowo i środowiskowo wszystko tu się zgadza. Ale w CPC oficjalnie dementują te informacje.

„Uprzejmie informuję, że firma CPC Brand Consultants nie współpracuje w żadnym zakresie z p. Szymonem Hołownią” – odpisał na pytanie Stanisław Mencwel.

Scenariusz trzeci, o którym słyszymy na sejmowych korytarzach: Hołownia osiąga w wyborach niezły wynik, na którym Tusk buduje swoją nową partię w celu zniszczenia lub co najmniej zmarginalizowania PO

KTO PŁACI?

Nie mniejsze emocje budzi kwestia finansowania kampanii celebryty. Zarówno on sam, jak i Michał Kobosko zarzekają się, że dotychczas wszystko finansowane jest z prywatnych oszczędności Hołowni. Ale plotek w tej sprawie pojawia się co niemiara. Jedne mówią, że środki na projekt ma wyłożyć Dominika Kulczyk (Hołownia zdementował te doniesienia), a marszałek Senatu Tomasz Grodzki powiedział nawet

w rozmowie z „Polską The Times”: „Nie jestem przekonany, czy Szymon Hołownia to rzeczywiście kandydat obywatelski, czy raczej kandydat promowany przez lobby finansowe”.

Jak pisał w listopadzie „Wprost”, publicysta ma być przymerzany do liderowania nowemu projektowi politycznemu, który byłby konkurencyjny wobec PO. Tygodnik powoływał się na anonimową wypowiedź polityka opozycji, według którego „jeden z biznesmenów opłacił badanie focusowe, aby sprawdzić, jak jest postrzegany Hołownia w kontekście kandydata na lidera politycznego, jakie jego cechy dostrzega opinia publiczna, a jakie są pożądane i należałoby je wykreować”.

Na warszawskich salonach można też usłyszeć, że kasę ma wyłożyć do niedawna jeden z najbogatszych Polaków. – Obywatel Małty chce się zemścić na Kaczyńskim i robi wszystko, by plany prezesa PiS popsuć. Słyszałem, że może zainwestować nawet ponad 20 mln zł – mówi nam były poseł, który w ostatnich wyborach nie uzyskał mandatu.

Od jednego z doradców Władysława Kosiniaka-Kamysza słyszymy zaś taką opinię: – Kluczową postacią jest tu Kobosko. Kręcił się przy powstawaniu zarówno Nowoczesnej, jak i Wiosny. Partia Biedronia jednak na początku przedobrzyła. Wystartowali z pompą, po hollywoodzku, więc szybko pojawiły się trudne pytania o pieniądze. I czar zaczął pryskać. Teraz realizowany jest sprytniejszy scenariusz. Po cichu zrobiono badania, trochę zainwestował sam Hołownia, ale dużej

kasy jeszcze nie widać. Gdy dopną powstanie fundacji i ogłoszą zbiórkę, będzie można uruchomić większe pieniądze.

Nawiązanie do formacji Ryszarda Petru i Roberta Biedronia jest naturalne. Zakładając, że Hołownia prezydentem nie zostanie, na bazie jego świeżo wykreowanego politycznego wizerunku można myśleć o tworzeniu nowego bytu politycznego. Tak było z Nowoczesną, Wiosną i Ruchem Palikota. Historia tych ugrupowań ma wspólny mianownik: najpierw budujemy lidera, a później jego obóz, który z impetem wkracza na scenę polityczną. W powyższych przypadkach udało się odnieść sukces w wyborach, dlaczego więc nie spróbować i teraz?

Wróćmy do pieniędzy. Hołownia przekonuje, że dotychczas wydał 200 tys. zł z własnych oszczędności, plus kilkadziesiąt tysięcy od „przyjaciół”. „Kilkanaście osób wsparło mnie darowiznami w wysokości 4900 zł – na tyle pozwala prawo osobom, które nie są ze sobą spokrewnione” – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym”. Pracujące od kilku miesięcy trzy sztaby fachowców (nie tanich), w sumie kilkudziesięciu współpracowników, do tego wiele szczegółowych (i kosztownych) badań. Aż trudno uwierzyć, że to wszystko kosztowało mniej niż 300 tys. zł. Osoba znająca realia tego rynku mówi nam: – Wygląda to na profesjonalną robotę. Jego precyzja w kierowaniu przekazu każe sądzić, że przeprowadzono bardzo drogie badania. Szacuję, że mogły kosztować od 500 tys. do nawet miliona zł.

Nie wiadomo też, jak to wszystko jest rozliczane, bo choć Hołownia i Kobosko zapewniają, że ich działalność będzie w pełni transparentna, unikają opowiadania o szczegółach. W wysłanych do kandydata pytaniach chcieliśmy dowiedzieć się m.in., jaki podmiot przyjmuje wpłaty od sympatyków, w jaki sposób i kiedy zostaną one ujawnione. Ciekawe jest, czy Hołownia otrzymuje pieniądze na własne konto, czy będzie się z nich rozliczał z Urzędem Skarbowym, w jakiej formule zatrudnia współpracowników itd. To wciąż zagadki, bo odpowiedzi nie otrzymaliśmy. Pozostaje mało satysfakcjonujące stwierdzenie Michała Koboski z „DGP”: „Wszystko, czym dysponujemy, to legalne pieniądze”.

Jak w tej kampanii zachowa się stacja, której gwiazdą do niedawna był Hołownia? Na razie udaje, że nie ma z nim za wiele wspólnego: – Nie wiem, na ile może to być kamuflaż TVN, odcinanie się, że „to nie nasz kandydat”. Zauważcie, że w dniu ogłoszenia startu Szymona TVN24 nie pokazywała jego eventu, a w „Faktach” Sobieniowski zrobił materiał „wyborczy”, w którym padło dosłownie jedno zdanie o Hołowni, nawet bez jego wypowiedzi. Operacja „Hołownia 2020” może się dziać poza TVN, bo im jednak najbliższej do PO – mówi nam anonimowo dziennikarz z dużym doświadczeniem przy ul. Wiertniczej.

Wątpliwości nie słychać w Pałacu Prezydenckim. – Za Hołownią stoi spory biznes i ludzie „z okolic TVN” – mówi nam

jeden z doradców głowy państwa. I przewiduje: – Szymka będą wspierać celebryci z TVN. To może być związane ze zmianami właścicielskimi w tej stacji i tym, że grupa „ojców założycieli” koncernu coraz mniej w nim znaczy i chce się jakoś odnaleźć w nowej rzeczywistości.

KIM PAN JEST, PANIE HOŁOWNIA

Gdy kampania ruszy na dobre, Hołownię czekają wielokrotnie stawiane pytania o to, kim właściwie jest. Rozpocznie się wnikliwa analiza życia prywatnego, zawodowego. Dlaczego tak późno założył rodzinę i ukrywał ją przed światem (o tym, że żona jest pilotem migów-29, dowiedzieliśmy się parę tygodni temu), dlaczego dwukrotnie wystąpił z nowicjatu dominikańskiego? Zaczną się pytania, czy to na pewno poukładany facet, czy możemy wierzyć, że teraz już naprawdę wie, czego w życiu chce? Czy należy do Opus Dei? Kobosko w tej ostatniej kwestii stwierdził: „Nic mi o tym nie wiadomo”. Ale

nasz rozmówca, znajomy państwa Hołowniów, opowiada: – Szymon z Ulą mieszkają w takiej podwarszawskiej osadzie osób związanych z Opus Dei, ich dzieci chodzą tam do szkoły.

Podkreślmy, że szkoła Sternik ma bardzo dobrą opinię, a wychowuje dzieci osób z bardzo różnych środowisk i różnych stron sceny politycznej.

Hołownia będzie odpytany z niekonsekwencji w głoszonych poglądach. Kiedyś był zdecydowanym przeciwnikiem aborcji. Dziś, puszcżając oko do lewicowego elektoratu, odpowiada wymijająco, że trzeba o tym rozmawiać, a jeśli na jego prezydenckie biurko trafiłaby ustawa liberalizująca przepisy dotyczące zabijania nienarodzonych dzieci, nie wetowałby jej, ale dał parlamentowi ponowną szansę debatowania nad nią, a ostatecznie być może podpisał. Podobnie ze związkami partnerskimi. Mówiąc o „przyjaznym rozdziale” Kościoła od państwa, opowiada się za wyrzuceniem mszy św. jako elementu uroczystości państwowych.

Hołownię czekają trudne konfrontacje z przeciwnikami. A wtedy nerwy mogą nie wytrzymać. Publicysta jest bowiem bardzo emocjonalnym człowiekiem, potrafi się unieść. Od sztabowca jednego z jego kontrkandydatów słyszymy nawet: – Trzeba dać mu mówić, bo to wcale nie jest łagodny chłopak, którego chciałaby mieć za zięcia każda teściowa. Wbrew pozorom to pyszałek, któremu szybko opadnie maska sympatycznego faceta. Petru to przy nim wyjątkowo skromny gość.

NIKT SIĘ GO NIE BOI

Mimo tak wielu wątpliwości dotyczących nowego aktora na politycznej scenie ma on całkiem niezłe notowania. Efekt świeżości działa. W ostatnich sondażach (Social Changes dla wPolityce.pl i Maison & Partners dla Onetu) notuje już kilkunastoprocentowe poparcie i plasuje się na trzeciej po-

Za Hołownią stoi spory biznes i ludzie „z okolic TVN” – mówi nam jeden z doradców prezydenta Andrzeja Dudy

zycji – za Andrzejem Dudą i Małgorzatą Kidawą-Błońską (ta trójka cieszy się poparciem odpowiednio: 46, 23 i 13 proc. ankietowanych w pierwszym badaniu i 39, 21, 16 proc. w drugim).

Mimo to mamy wrażenie, że Hołownię mało kto traktuje poważnie.

Borys Budka, szef klubu KO, mówi nam: – To my mamy najlepszą kandydatkę. Jestem sportowcem, nie patrzę na to, czy ktoś biegnie szybciej czy wolniej. To ja mam biec szybciej. Jeśli startuję w wyścigu, nawet jeśli mam wielu oponentów, to ja mam być najlepszy. To prosta sprawa. Gdy zaczniesz się kampania, wtedy nikomu nie damy się wyprzedzić.

Wtórąje mu Tomasz Siemoniak: – Widzę, że ten projekt jakoś się nie rozpędza. Nie ma go, nie występuje np. w „Faktach po Faktach”, nie mierzy się.

Były wicepremier też nie widzi zagrożenia dla kandydatki KO: – Może zabrać każdemu po trochu, także prezydentowi. Musi w końcu zaatakować Andrzeja Dudę, to jest jasne. Więc jeśli to zrobi, a po pierwszej turze odpadnie z gry, to nie będzie później wzywał do głosowania na niego.

Dobromir Sośnierz z Konfederacji: – Wydaje mi się, że on rozbija poparcie przede wszystkim po stronie opozycyjnej, co może doprowadzić do naprawdę nieoczekiwanych rozstrzygnięć. Pozbiera trochę głosów z różnych kierunków, ale najmniej od nas. To może ułatwić wejście do drugiej tury kandydatowi Konfederacji.

Włodzimierz Czarzasty, szef SLD, bagatelizuje nowego rywala: – Nie przeszkodzi ani nam, ani Kidawie, ani Dudzie.

Dobry humor go nie opuszcza: – Ja już z TVN miałem prezydentkę. Może ta stacja nie ma dobrej ręki?

Radosław Fogiel z PiS o gdańskim wystąpieniu Hołowni: – Tak naprawdę nie wyszedł z formatu prezentera telewizyjnego. Padło kilka banalnych stwierdzeń, żeby każdy usłyszał coś miłego, co chciałby usłyszeć.

W PSL liczą na to, że eksprezenter telewizyjny nadgryzie elektorat PO i PiS. I tylko od proszącego o anonimowość współpracownika Andrzeja Dudy słyszymy: – Z przestrochem patrzmy na reakcję środowiska PiS, które Hołownię lekceważy, suflując, że to tylko gwiazdka telewizyjna bez doświadczenia w polityce. To prawda, ale stoi za nim taki kapitał, że należy traktować go bardzo serio.

Wydaje się, że to najrozsądniejsza postawa. Bo jeśli w maju dojdzie do drugiej tury wyborów, współpraca kandydatów opozycyjnych wobec urzędującego prezydenta będzie miała zasadnicze znaczenie. Jeśli obóz władzy przegra prezydenturę, w krótkiej perspektywie stanie przed groźbą utraty władzy. Taki scenariusz powinien dać do myślenia nie tylko Zjednoczonej Prawicy. Wszak nowy byt zbudowany na ewentualnym sukcesie Hołowni połączony z kryzysem PO i wcale nie do końca zjednoczoną lewicą może zupełnie przemeblować polską scenę polityczną. Zwłaszcza że „Projekt Hołownia” w istocie jest prowadzony bardzo profesjonalnie, za duże pieniądze. Niebawem dobitnie się o tym przekonamy.

REKLAMA

f KOLEDY POSPIESZALSKICH



Kolędy POSPIESZALSKICH

Symfonicznie

WILNO	11.XII.2019	AUGUSTÓW	1.I.2020	TYCHY	10.I.2020	ANDRYCHÓW	23.I.2020
GDAŃSK	28.XII.2019	NOWY SĄCZ	3.I.2020	BERLIN	11.I.2020	CZĘSTOCHOWA	24.I.2020
WARSZAWA	29.XII.2019	TRYŃCZA	4.I.2020	LWÓW	17.I.2020	KATOWICE	25.I.2020
GARWOLIN	30.XII.2019	JAROSŁAW	5.I.2020	LUBLIN	22.I.2020	SOLEC KUJAWSKI	26.I.2020



PARTNER
TRASY
KONCERTOWEJ



GAZETA POLSKA
niezależna

eprasa.pl 5173395105

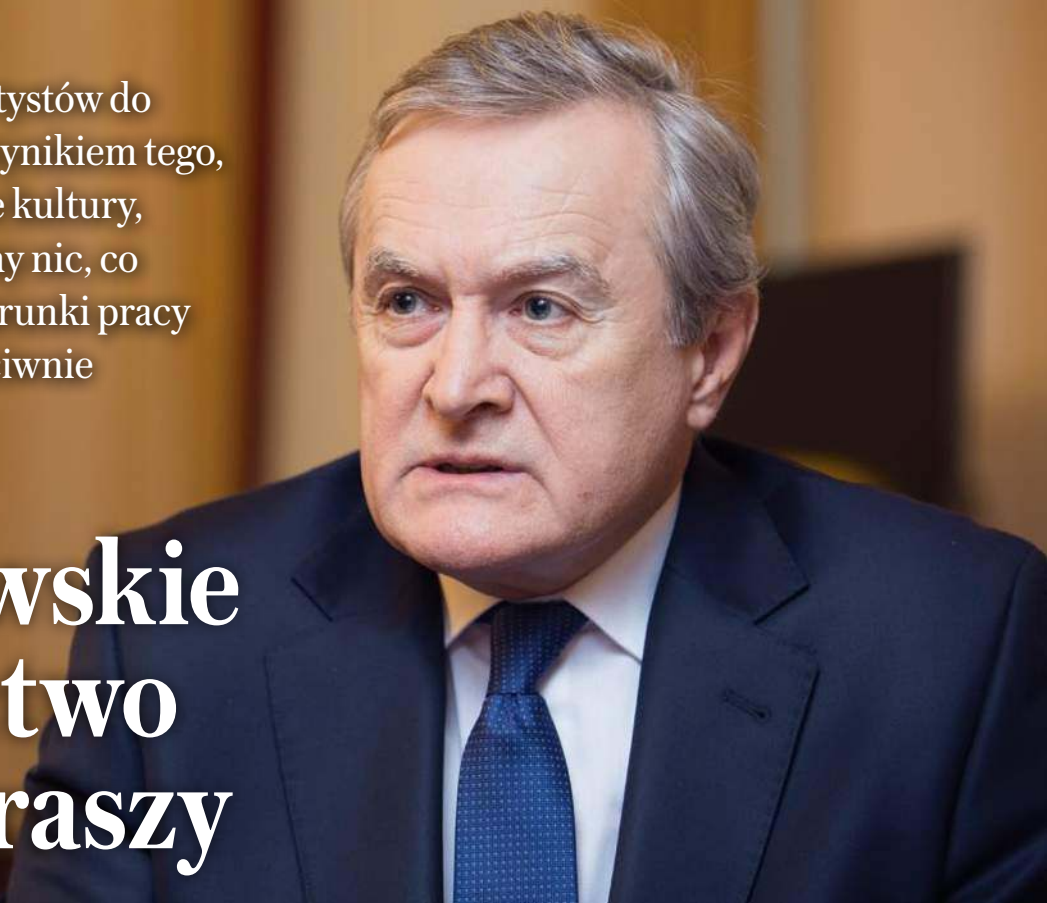


GŁÓWNY
PARTNER
KONCERTÓW



Wrogie nastawienie artystów do władzy nie jest wcale wynikiem tego, co się dzieje w obszarze kultury, ponieważ nie zrobiliśmy nic, co mogłoby uderzyć w warunki pracy tego środowiska. Przeciwnie

Peerelowskie dziedzictwo wciąż straszy



Z Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Cieszy pana Nobel dla Olgi Tokarczuk?

Piotr Gliński: Ten Nobel to na pewno okazja do promocji polskiej kultury na świecie. Jednak przy okazji dyskusji wokół tej nagrody warto podkreślić, że żyjemy w wolnym kraju i każdy ma prawo do własnych opinii. Chętnie bym jednak z panią Tokarczuk porozmawiał, bo w wielu sprawach wyraźnie się różnimy mimo podobnych doświadczeń. Też zajmowałem się kiedyś ekologią, wiele lat byłem wegetarianinem... Zaprosiłem noblistkę do ministerstwa. Zobaczymy.

Co pan ceni w twórczości Tokarczuk?

Jak pani wie, to nie jest pytanie do mnie [śmiech]. Ale przeczytałem jej wykład noblowski. Można się zgodzić – przynajmniej częściowo – z zawartą w nim diagnozą stanu współczesnego świata. Problem w tym, że nie jest ona jakoś szczególnie oryginalna, choć pisana zgrabnym, ciekawym językiem. Ale proponowane środki zaradcze są albo niejasne, albo po prostu trochę naiwne. Bo jeśli antidotum ma być owa tytułowa czułość, to trudno nie zauważyć, że ponad dwa tysiące lat temu powstał znacznie szerszy i głębszy przekaz, który wciąż obowiązuje, a przejawia się w koncepcji miłości chrześcijańskiej. Istnieją środowiska – w Polsce nawet liczne – które tę spuściznę wciąż próbują realizo-

wać. Olga Tokarczuk obarcza winą za złe decyzje polityków i zauważa, że niszczy nas wszystkich chciwość i egoizm. Prawda, choć ta zbiorowa odpowiedzialność polityków to jednak zwykły, krzywdzący stereotyp. Nihil novi sub sole. Poza językiem. Język jest sprawny. Zygmunt Bauman także był zdolny językowo. Jego kariera opierała się na celnym nazywaniu zjawisk. Diagnoza rzeczywistości także była krytyczna. Ale promując np. relatywizm aksjologiczny, współtworzył problemy, które potem krytykował. Jako remedium proponował aktywność i budowę ruchów społecznych. Nic z tego nie wyszło, bo nie mogło, a problemy z kryzysem kultury globalnej, jak były, tak są. Pogłębiają się. Na nie zaś remedium mają być dziś bliżej nieokreślone emocjonalne zrywy. Niestety, to może prowadzić tylko do utopii. A nawet wprost do dyktatury politpoprawności. Proponowana niekiedy „emocjonalna etyka” nigdy nie zastąpi mądrej aksjologii i moralności. To groźna ułuda.

W dodatku inspiruje się do tego dzieci.

To już jest czyste szaleństwo. Myślałem, że czas krucjat dziecięcych minął. Tymczasem teraz przywódcami zrywów mają być właśnie dzieci. To naruszenie kolejnego tabu, jak protestować bowiem przeciw dzieciom? Jak dzie-

ciom wytłumaczyć, że ktoś wyprowadza je na manowce, wykorzystuje?

Zostańmy jeszcze na chwilę przy Oldze Tokarczuk. W wykładzie noblowskim mówiła o narracji: „Świat jest tkaniną, którą przędziemy codziennie na wielkich krosnach informacji, dyskusji, filmów, książek, plotek, anegdot. Kiedy zmienia się ta opowieść – zmienia się świat. W tym sensie świat jest stworzony ze słów. [...] Ten, kto ma i snuje opowieść – rządzi”. Czy PiS ma opowieść na drugą kadencję?

W tej myśli też nie ma nic nowatorskiego. Ale ujęta jest zgrabnie, obrazowo. Od dawna mówi się o tym, że światem rządzi rywalizacja m.in. właśnie na narracje. Ideologiczne czy dotyczące np. interesów jakiejś wspólnoty politycznej. A my? Cóż, po to właśnie budujemy liczne nowe instytucje, by tę naszą narrację przedstawiać. Zgodnie z naszym, polskim, interesem.

Jak pan ocenia tę pracę? I czego ta narracja PiS przede wszystkim dotyczy?

Nie mamy łatwych warunków pracy [śmiech]. Polska jest bardzo osłabiona przez historię, pokiereszowana, podzielona, targają nią awantury. To konsekwencja wielu problemów, np. wycięcia elit, i to na kilku etapach polskiej historii. Z finałem w PRL, gdzie także były mordowane lub wyrzucane z kraju. Do tego doszedł jeszcze rok 1989, „okrągły stół” i jego zatruty owoc. Nie da się budować wspólnoty politycznej bez aktu założycielskiego, który uporządkowałby podstawy aksjologiczne. Mamy olbrzymie, wieloletnie zaniedbania w polityce wizerunkowej, zmarnowany czas „rozwoju zależnego” w III RP, a do tego potężnego wewnętrznego i zewnętrznego przeciwnika. Nasza narracja jest po prostu taka, że chcemy odzyskać Polskę i system wartości, który będzie nas łączył, a nie dzielił. Tymczasem dziś trzeba tłumaczyć panu Czarzastemu, że Armia Czerwona Polski nie wyzwalała. To klimat rodem z PRL. Bo tego niechcianego peerelowskiego dziedzictwa – jak mawiają terapeuci – nie przepracowaliśmy.

Olga Tokarczuk jest krytyczna wobec rządu PiS. Czemu środowisko artystyczne jest na wojnie z rządem?

To prawda, że pewna część tego środowiska jest na wojnie, głośno wyraża swoje niezadowolenie. A przecież przywróciliśmy 50 proc. uzysku, mamy gotową ustawę, która reguluje status artysty z punktu widzenia ubezpieczeń. Teraz przecież większość artystów nie ma stałych dochodów ani emerytur. Zwiększyliśmy nakłady na kulturę o 40 proc. w ciągu czterech lat!

Skąd więc ta wojna?

Pewnie jest wiele powodów. Natomiast wrogie nastawienie artystów do władzy nie jest wcale wynikiem tego, co się akurat dzieje w obszarze kultury, ponieważ nie zrobiliśmy nic, co mogłoby uderzyć w warunki pracy tego środowiska. Przeciwnie. Ono ma pełną wolność twórczą. Każdy artysta może się realizować. Co więcej, to środowisko ma większe możliwości niż kiedyś, także dlatego, że społeczeństwo jest zamożniejsze i oczekuje bogatszej oferty kulturalnej. Poza tym przejęliśmy na współprowadzenie 13 instytucji kultury i kilkanaście muzeów, a to znaczy po prostu dodanie pieniędzy z budżetu centralnego plus możliwość uzyskania dotacji celowych na różne zadania i inwestycje. Chodzi tu np. o zespoły Mazowsze i Śląsk, Filharmonię Rzeszowską, Łódzką, Szczecińską, Łomżyńską, warszawski Teatr Polski itd. A także nowe festiwale, konkursy muzyczne, inwestycje, zachęty do produkcji filmowych itp., itd. Możliwości tworzące są więc o niebo większe niż przed 2015 r.

Głównym powodem niechęci jest więc po prostu polityka, inny światopogląd, inne interesy polityczne, utrwalone przez lata koneksje towarzyskie, zobowiązania, życiorysy, presja kultury globalnej, uleganie liberalnym mediom i modom oraz szantażowi politpoprawności. W skrócie: powodem tej nienawiści jest zbudowanie po 1989 r. zamkniętego systemu interesów III RP, który zdominowały „elity” postkomunistyczne, liberalne i lewicowe. Gdy ten świat w 2015 r. nagle się zawalił, przyjęto – jako najbardziej z ich punktu widzenia skuteczną wobec nowej demokratycznej władzy – taktykę nienawiści, inwektyw i epitetów. Taktykę opozycji totalnej. Wykluczającej i dehumanizującej przeciwnika.

Jak dyskutować np. z argumentami wyrażonymi przez panią Olę Tokarczuk, że PiS to totalitaryzm, a opozycja to demokracja. To po prostu stoi w sprzeczności z faktami i zdrowym rozsądkiem. Jest właśnie przykładem obraźliwej, wykluczającej inwektywy. Nie wiem właściwie, czy pani Tokarczuk zdaje sobie z tego sprawę.

Środowisko artystyczne ma pretensje o to, co się dzieje w teatrach.

Osobiście czuję się odpowiedzialny tylko za jeden zły wybór: w Teatrze Starym w Krakowie. Co do reszty – albo nie miałem wpływu, albo to tzw. środowisko samo bojkotowało czy niszczyło jakąś instytucję, jak np. Teatr Polski we Wrocławiu, gdzie pan Lupa wycofał z repertuaru swoje sztuki zrobione przecież za publiczne pieniądze. Zresztą bojkot dotyczył też Starego Teatru. Jeśli ktoś chce tylko niszczyć, wybijając dziury w łajbie, która się nazywa Polska, a robi to, bo stracił na nią wpływ, więc woli ją zrujnować, to cóż ja mogę na takie zachowanie poradzić?

Chętnie bym z panią Olgą Tokarczuk porozmawiał, bo w wielu sprawach wyraźnie się różnimy mimo podobnych doświadczeń. Zaprosiłem noblistkę do ministerstwa. Zobaczymy

Nie widzi pan żadnej możliwości porozumienia z liberalnymi elitami?

Nie wiem, na czym miałyby ono polegać. Ja zawsze jestem gotowy do dialogu, ale jak mam rozmawiać z kimś, kto tej rozmowy nie chce, tylko kwestionuje podstawowe zasady demokracji? Wszyscy artyści mają w Polsce pełną wolność twórczą. Nikt nikogo nie ogranicza. Czasem skutkuje to takimi skandalami jak „Kłątwa” w Teatrze Powszechnym. Ale to akurat teatr miejski, na który nie mam żadnego wpływu. Taka jest rzeczywistość, choć jest to przykre. Ciężko zresztą o czymś takim dyskutować na płaszczyźnie sztuki, bo tu w grę wchodzi raczej prowokacja ideologiczna czy polityczna. Opozycja narzuciła taktykę totalitarną i zagarnęła do niej także swoich zwolenników z obszaru sztuki i kultury, a to przestrzeń, w której dzięki negacji można spektakularnie zaistnieć. Liczy się awantura, skrajne emocje, nienawiść. Ktoś robi to nieestety celowo, żebyśmy się w Polsce tak mocno dzielili przez nienawiść. Bo tego później nie da się już posklejać.

Wprowadziliśmy ustawę o zachętach finansowych dla produkcji audiowizualnej, wprowadzamy też ustawę o zachętach dla producentów gier komputerowych, zwiększyliśmy rynek podwójnie, jeśli chodzi o dostęp do środków publicznych. To zmiany rewolucyjne. Nikt wcześniej tego nie zrobił. Narracja o wysadzaniu w powietrze kultury, o szkodzeniu jej, jest po prostu nieprawdziwa. A co nasi oponenci zrobili dla kultury, gdy rządzi? Skasowali ulgi podatkowe dla twórców. Nawet słynnego jednego procentu budżetu przez osiem lat nie osiągnęli.

Jakie są zasoby kulturowe konserwatystów? Czy prawica będzie kiedyś miała taką siłę, by stać się mainstreamem?

Nie da się odpowiedzieć na to pytanie bez cofnięcia się do historii. Po 1989 r. w Polsce nastąpił sojusz środowisk postkomunistycznych (które z totalitarnych zgrabnie przekształciły się w liberalne) z liberalnymi zwycięzcami transformacji. Ten sojusz zaważował Polskę. Cudem w 2015 r., praktycznie bez żadnych zasobów instytucjonalnych, udało się to odwrócić. Oczywiście więc prawica nigdy mainstreamem nie była, choć próbowała zabierać głos. Jacek Kurski mówił niedawno w wywiadzie dla „Sieci”, że jest gotowy na pomysły i projekty, ale tych po prostu brakuje. Ja się pod tymi słowami podpisuję. Choć w tej dziedzinie mogę wskazać kilka sukcesów mojego resortu, np. projekt „Młody Piłsudski”, w który TVP chętnie się zaangażowała. Film „Niepodległość” był także projektem ministerstwa, z telewizją Polsat. Nie ma wątpliwości co do tego, że stworzyliśmy twórcom duże pole do działania. Zrobiliśmy też np. wystawę sztuki wizualnej dla twórców o „odmiennej wrażliwości”, kuratorem był Piotr Bernatowicz. To była bardzo udana wystawa, ale artystów było raptem kilkunastu. To najlepiej odzwierciedla zasoby, o które pani pyta. Te środowiska są wąskie, małe, przez lata niszczone.

Wspólnie z władzami Warszawy ogłosił pan konkurs na budowę pomnika Bitwy Warszawskiej. Miałby on***być gotowy na 100. rocznicę bitwy. A tymczasem projekt jest spóźniony.***

Zająłem się tym tematem już w roku 2016. Rozmawiałem z radnymi Warszawy, by znaleźć jakiś kompromis. Problem polega na tym, że właścicielem terenu jest miasto. Wtedy nie było tam partnera do rozmowy. Natomiast dla nas priorytetem była budowa pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej. Nie mieliśmy możliwości zbudowania samodzielnie pomnika roku 1920, a nie podobały mi się – z wielu powodów trudne do realizacji – pomysły, by ulokować go w Wiśle. Po drodze była też nasza walka o ratowanie Muzeum Techniki w Pałacu Kultury. Przy tej okazji spotkałem się z wiceprezydentem Warszawy Michałem Olszewskim. I wtedy zaproponowałem, by razem zbudować pomnik Bitwy Warszawskiej i ulokować go na placu na Rozdrożu. I stał się cud. Rada Warszawy w listopadzie 2017 r. przyjęła jednogłośnie stanowisko w sprawie budowy pomnika we wspomnianej lokalizacji. Niestety, trzy kolejne kampanie wyborcze nam nie sprzyjały. Projekt utknął. Teraz udało się znów ruszyć z miejsca. Wszystkie strony pracują racjonalnie i wygląda na to, że powinno się udać dotrzymać terminu.

A co z Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, które miało być filią Muzeum Wojska Polskiego?

W podziale obowiązków ten projekt przypadł do realizacji kolegom z MON. Do tego miał pecha. Było dużo obiektywnych trudności. Będzie realizowany w wersji skromniejszej, ale prawdopodobnie na rocznicę Bitwy Warszawskiej nie zdążymy.

A kiedy zostaną zakończone prace nad Muzeum Historii Polski na Cytadeli w Warszawie? Od lat działa administracja, a samego muzeum nie ma.

To największa inwestycja muzealna w historii Polski i najważniejsze polskie muzeum. Ruszyliśmy je praktycznie z niebytu. Od 2018 r. trwa budowa. Otwarcie w 2021 r., ale może być opóźnienie, bo to bardzo skomplikowany projekt. Dzisiaj to gigantyczny plac budowy, angażuje ogromne środki, ale też trzeba trudnych, szczegółowych uzgodnień między wykonawcami, projektantami, inwestorem. Co kilka tygodni spotykam się ze wszystkimi stronami. Na takich budowach, podobnie jak to było w Sulejówku, czasami minister musi podejmować decyzje o szerokości desek szalunkowych czy kolorze betonu architektonicznego [śmiech].

Co się więc przez ostatnie cztery lata udało?

Chyba dużo. Tworzymy nowe instytucje kultury (np. Instytut Literatury, Narodowy Instytut Ochrony Polskiego Dziedzictwa za Granicą „Polonika”, Instytut Architektury i Urbanistyki), wzmacniamy instytucje regionalne, skutecznie prowadzimy politykę historyczną, efektywne działania restytucyjne wobec utraconych w czasie wojny dzieł sztuki, wprowadziliśmy finansowe zachęty dla produkcji filmowej, przygotowaliśmy ustawę dotyczącą poprawy sytuacji materialnej ludzi kultury. Znacząco – o 40 proc. – zwiększyliśmy wydatki na kulturę. Kupiliśmy kolekcję Czartoryskich, przygotowujemy



Fot. Andrzej Wiktor

budowę Międzynarodowego Centrum Muzyki w Żelazowej Woli i Europejskiego Centrum Filmowego „Camerimage” w Toruniu. Poza tym realizujemy rozbudowę sieci muzeów w Polsce na niespotykaną wcześniej skalę.

Jakie to muzea?

Np. Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku, które będzie gotowe na rocznicę Bitwy Warszawskiej. Gmach już stoi. To 24 tys. mkw. I to też był bardzo trudny projekt, z wieloma potknięciami po drodze, ale się udało. Mamy także Muzeum Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej. Przebudowaliśmy tam i rozbudowaliśmy dawny dom rodziny Ostrowskich – Pileckich. To pierwsze w Polsce muzeum poświęcone postaci rotmistrza. Od grudnia 2018 r. współprowadzimy Muzeum Treblinka. Mało kto wie, że to był oddział muzeum regionalnego w Siedlcach. Powstają też nowe muzea, np. Muzeum Kresów w Pałacu Lubomirskich w Lublinie. Właśnie została przedstawiona wstępna koncepcja wystawy. Wspominałem wcześniej o Narodowym Muzeum Techniki w Warszawie. Uratowaliśmy przed likwidacją tę jedną z najbardziej popularnych placówek muzealnych w Warszawie. Obecnie przygotowujemy otwarcie przestrzeni edukacyjnej oraz szykujemy się do budowy nowej siedziby. W styczniu udostępniemy gotowe już Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie. Do Muzeum Narodowego w Kielcach włączyliśmy jako nowy oddział Muzeum Regionalne w Wiślicy, opiekuna bezcennych relikwów romańskich. W ramach Muzeum Narodowego w Krakowie otworzyliśmy właśnie Muzeum Książąt Czartoryskich, gdzie będzie można oglądać zakupioną przez państwo polskie kolekcję. Uratowaliśmy przed rozbiórką i komercjalizacją budynek dawnego hotelu Cracovia na potrzeby utworzenia nowoczesnego oddziału muzeum poświęconego architekturze i designowi. Współfinansujemy też budowę Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Podpisaliśmy właśnie umowy o współprowadzeniu od

2020 r. Muzeum Okręgowego w Sandomierzu i Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. Budujemy Muzeum Pamięć i Tożsamość w Toruniu. Dofinansowaliśmy adaptację Przestrzeni Muzealnej Witolda Gombrowicza we francuskim mieście Vence nieopodal Nicei. A to jeszcze daleko nie wszystko. Tak, że trochę jednak się udało. 

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

40/119/F

Wygrani, przegрани 2019

*Kogo w polskiej
polityce w mijającym
roku można uznać
za zwycięzcę, a kogo
za pokonanego?*



STANISŁAW JANECKI

W polskiej polityce wygrana nie zawsze jest bezwzględnym sukcesem, a przegrana niekwestionowaną klęską. Najważniejsze są oczywiście sukcesy formalne: wygranie powszechnych wyborów, objęcie ważnej funkcji państwowej czy przewodzenie partii. Jednak i tacy zwycięzcy odnotowują porażki na mniej ważnych polach, a przegrani miewają pojedyncze sukcesy. Gdyby

być ścisłym w ocenie polskich polityków w 2019 r., powinny istnieć cztery kategorie: wygrani wygrani, wygrani przegrani, przegrani przegrani i przegrani wygrani. To jednak zajęłoby za dużo miejsca i zbyt relatywizowało sukcesy i klęski. Dlatego praktyczniej jest mówić tylko o wygranych i przegranych, choć ich zwycięstwa i porażki bywają zrelatywizowane lub mają w sobie elementy o przeciwnych znakach. Albo to, co

jest zwycięstwem osobistym, niekoniecznie przekłada się na sukces formacji, instytucji, programu czy tych, którzy konkretnych polityków i partie wspierali. Łatwiej klasyfikować zwycięzców i pokonanych w roku wyborczym, a 2019 r. taki był: odbyły się wybory europejskie oraz do Sejmu i Senatu. Jak zatem wygląda polska polityka w 2019 r. w podziale na wygranych i przegranych?

Jarosław Kaczyński **WYGRANI**

Przed nim i wyborami w 2015 r. oraz w 2019 r. żadnej partii (ugrupowaniu startującemu z jednej listy) w III RP nie udało się uzyskać samodzielnie bezwzględnej większości. W obu wypadkach ugrupowanie kierowane przez niego zdobyło 235 mandatów w Sejmie, choć w 2019 r. zdobyło aż 43,59 proc. głosów, czyli o 6,01 pkt proc. lepszy wynik niż w 2015 r. (PO zaczynała w 2011 r. drugą kadencję, mając wynik o 2,33 pkt proc. gorszy niż w 2007 r.). W 2019 r. PiS pobiło nawet rekord wszystkich wyborów parlamentarnych w III RP: na jego listy głosowało 8 051 935 wyborców (wcześniej najwięcej wyborców – 6 701 010 głosowało w 2007 r. na PO). PiS pobiło też rekord, gdy chodzi o wybory europejskie: nigdy wcześniej w III RP żadne ugrupowanie nie dostało prawie 6,2 mln głosów i nie odnotowało wzrostu w stosunku do poprzednich wyborów aż o 13,6 proc. Twarzą sukcesów w 2019 r. był sam Jarosław Kaczyński, bardzo aktywny w obu kampaniach, nigdzie nie chowany, a wręcz eksponowany. Jedyną skazą na jego sukcesach w 2019 r. jest opozycyjna większość w Senacie, choć formalnie PiS wybory do Senatu wygrało (48 mandatów wobec 43 Koalicji Obywatelskiej). Sukcesem jest też awans do czołówki w rankingach zaufania, z czym wcześniej różnie bywało. Ewenementem jest też to, że największe triumfy Jarosława Kaczyńskiego święci po blisko 30 latach obecności w czołówce polskiej polityki, gdy wielokrotnie był w ostatnich latach wypychany na polityczną emeryturę, bezwzględnie atakowany i przypisywano mu czarną legendę.

Mateusz Morawiecki

Tempo i błyskotliwość jego politycznej kariery praktycznie od zera (Beata Szydło była jednak w polityce dobrze zakorzeniona) można porównać tylko z Jerzym Buzkiem w 1997 r., choć były premier po czterech latach rządzenia w krajowej polityce nie miał już czego szukać. Mimo braku zaplecza w PiS obecny premier szybko stał się osobą numer 2, w 2019 r. znacząco powiększając swój wpływ na tworzenie i kształt rządu. Jego pozycja jest znacznie silniejsza niż koalicyjnych liderów: Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina. I to on wysuwa się na czoło ewentualnych następców Jarosława Kaczyńskiego na szefa partii, choć wciąż brakuje mu czegoś w rodzaju własnej frakcji. Zaufanie Jarosława Kaczyńskiego zdobył jako ten, który nie uznaje konkretnych zadań za niemożliwe i szybko kładzie na stole dowody spraw załatwionych. I stał się twarzą (wizytówką) rządzącej opcji za granicą, dobrze sobie radząc na europejskich i światowych salonach czy w zagranicznych mediach. A jego rząd bije kolejne rekordy, gdy chodzi o wzrost dochodów, wzrost eksportu i nadwyżki w handlu zagranicznym, poziom bezrobocia, wysokość płac, spadek wysokości długu i deficytu.

Włodzimierz Czarzasty

Jeszcze w 2018 r. był szefem partii schyłkowej, z której uciekali młodszy działacze, (np. Krzysztof Gawkowski do Wiosny) i tylko czekano, aż SLD wyzionie ducha. Był przez liderów Wiosny i Partii Razem niemiłosiernie krytykowany, ale na wszelkie zaczepki i obelgi reagował uśmiechem oraz dobrym słowem. Na koniec 2019 r. doprowadził do połączenia SLD z Wiosną i jest niekwestionowanym liderem lewicowej reprezentacji w parlamencie. Znowu ma pieniądze na działalność, wzmocnił się kosztem innych ugrupowań lewicowych, a zmiana nazwy partii (Nowa Lewica) zaciera jej

postkomunistyczny rodowód. W efekcie lewica Czarzastego zbliża się w sondażach do Koalicji Obywatelskiej ma szansę wyprzedzić ją w funkcji największego ugrupowania opozycyjnego. Lider zachował wizerunek tego, kto może się porozumieć z każdym, jest elastyczny i wprawdzie wygłasza czasem „komunistyczne” deklaracje, lecz nie wpływają one na jego koncyliacyjność.

Władysław Kosiniak-Kamysz

W VIII kadencji Sejmu musiał walczyć o istnienie klubu parlamentarnego i gdyby nie przejście Michała Kamińskiego, klub PSL stałby się kołem. Co najmniej od roku jest niekwestionowanym liderem partii i jej nadzieją na przyszłość, wzmocnionej sojuszem z Unią Europejskich Demokratów oraz ruchem Kukiz '15. Zmienił oblicze partii z chłopskiej na chadecką. PSL znowu jest samodzielnym podmiotem, a jego lider od prawie roku jest wymieniany jako mający najwięcej zalet opozycyjny kandydat na prezydenta, jeśli nie w tym rozdaniu, to w następnym. Przeszedł pozytywną przemianę jako mówca, nie obraża politycznych przeciwników, zbudował wizerunek polityka przewidywalnego, umiarkowanego i odpowiedzialnego – jedynego takiego po stronie opozycji. Umiejętnie „gumkuje” swój udział w podniesieniu wieku emerytalnego oraz przejściu ponad 150 mld zł z OFE. Na jego korzyść działa to, że jest lekarzem – bardziej z serialu „Na dobre i na złe” niż rzeczywistym.

Adrian Zandberg

Jego Lewica Razem osłabła, choć zachowała polityczną samodzielność, ale sam lider się wzmocnił. Zyskał ważną trybunę do głoszenia swoich poglądów – Sejm, czego brakowało mu w ostatnich czterech latach, przez co jego polityczna kariera się zatrzymała. Jako dobry mówca jest liderem sejmowej lewicy, gdy chodzi o najważniejsze

wystąpienia. Prezentuje socjalną wrażliwość oraz łatwe rozwiązania, zwłaszcza w służbie zdrowia i kwestii emerytur, sprytnie maskuje, że jest zdecydowanym przeciwnikiem kapitalizmu, a zwolennikiem jakiejś nowej wersji socjalistycznej (komunistycznej?) utopii. Na jego korzyść działa retoryczna sprawność, dzięki której zyskuje popularność i uznanie, a jednocześnie pomaga mu ona ukrywać negatywne konsekwencje proponowanych zmian oraz przemiany całego społeczeństwa wskutek wprowadzenia lewicowej inżynierii społecznej.

PRZEGRANI

Donald Tusk

Przewodniczący Rady Europejskiej do 30 listopada 2019 r. był przez ostatnie pięć lat obecny w polskiej polityce i próbował na nią wpływać tak, jak przez wcześniejsze kilkanaście lat. Wszelkimi sposobami, a często wbrew liderowi PO Grzegorzowi Schetynie. Rekompensował sobie w ten sposób porażki w funkcji najważniejszego urzędnika UE na takich polach, jak: brexit, uchodźcy, relacje z USA, zerwany traktat TTIP, izolacja Turcji od UE i odpychanie od niej Bałkanów Zachodnich, unia dwóch prędkości i dwóch statusów, wojny Komisji Europejskiej z państwami członkowskimi, niepewność i strach zamiast stabilności i bezpieczeństwa. Chciał sobie to zrekompensować najpierw statusem pierwszego polityka polskiego, a więc także lidera opozycji, a potem prezydenta Polski. Mając jednak kompleks porażki z Lechem Kaczyńskim w 2005 r., bał się, że wyborów nie wygra także z jego „ucznem” Andrzejem Dudą, co potwierdzały różne badania oraz robione specjalnie dla niego analizy. Zamiast przedłużyć swój status „wielkiego polityka europejskiego” jako prezydent RP, został mało znaczącym w politycznej hierarchii szefem Europejskiej Partii Ludowej. I autorem mało błyskotliwej książki („Szczerze”), której promocja zastępuje mu kampanię prezydencką: w gronie przyjaciół i zwolenników, a więc bez trudnych pytań i nieprzyjemnych konfrontacji. Z dawnej wielkości zostały tylko przechwałki, że jeszcze wszystkim

pokaże, np. w wyborach prezydenckich w 2025 r., choć ucieczka od konfrontacji z Andrzejem Dudą udowodniła, że jest już bardzo blisko politycznej emerytury.

Grzegorz Schetyna

Jako lider największej partii opozycyjnej przegrał trzy kolejne wybory, choć zachował status zarówno PO, jak i swojego przywództwa. Za wszelką cenę próbował wzmocnić Platformę, tworząc Koalicję Obywatelską i Koalicję Europejską. Miał przeciwko sobie Donalda Tuska oraz wewnątrzpartijną opozycję, a w różnych okresach także liberalno-lewicowe media (tylko czasem koniunkturalnie go wspierające). Poległa jego koncepcja opozycji totalnej, nie dała pożądanых rezultatów strategia „ulica i zagranica” (niekontrolowanej „ulicy” się bał). Robił wszystko, żeby zostać naturalnym kandydatem na premiera, ale pod koniec 2019 r. jest od tego dalej niż kiedykolwiek. Od około pół roku walczy już tylko o przywództwo w PO, starając się w różny sposób osłabić bądź „związać” rywali (jak w wypadku Borysa Budki i funkcji szefa klubu parlamentarnego dla niego) lub sprawdzić siłę swego zaplecza (jak w prezydenckich prawyborach). Nie miał nawet dość siły, by przeprowadzić w partii czystki, które pomogłyby mu zachować władzę.

Robert Biedroń

Do tego polityka najbardziej pasują słowa Chochola z „Wesela” Wyspiańskiego: „Miałeś, chamie, złoty róg, miałeś, chamie, czapkę z piór: czapkę wicherniesie, róg huk po lesie, ostał ci się ino sznur, ostał ci się ino sznur”. Roztrwoniał cały polityczny kapitał szybciej i efektywniej niż Ryszard Petru. Miał być liderem całej lewicy, a nawet całej opozycji, szefem największej opozycyjnej partii, kandydatem na prezydenta RP i prezydentem. Jest „tylko” eurodeputowanym, jego Wiosna przestała istnieć, rozpuszczając się w SLD, choć już przed zjednoczeniem była politycznym nieboszczykiem. Wybrał wygodne, prywatne życie zamiast walki o lewicowe ideały oraz cele programowe, stając się najbardziej zawiedzioną nadzieją w polityce ostatniej dekady. I przy okazji kompletnie zawodząc, a nawet zdradzając środowiska LGBT, które widziały

w nim kogoś w rodzaju irlandzkiego premiera Leo Varadkara.

Katarzyna Lubnauer

Miała być dowodem na to, że tylko kobieta jest w stanie poradzić sobie z kłopotami, odbudować partię i nadać jej polityce nowy impet. Była w stanie odsunąć od władzy w Nowoczesnej Ryszarda Petru, ale partia pod jej przywództwem już tylko dryfowała i znikała, tracąc jakąkolwiek programową wyrazistość. Najpierw zdradzili ją ci, z którymi spiskowała przeciwko Petru, potem sama musiała za nimi podążyć do PO, choć jej partia formalnie nadal istniała. Straciła przywództwo w masie upadłościowej po Nowoczesnej na rzecz Adama Szłapki, przyznając się do niemocy i organizacyjnej bezzadności. Zawiodła kobiety, zawiodła liberalów, zawiodła lewicę. Z Robertem Biedroniem może rywalizować w konkursie na największą polityczną klapę roku.

Małgorzata Gersdorf

Tylko formalnie nie jest politykiem, od co najmniej dwóch i pół roku robi bowiem wiele, by politykiem się stać, choć formalnie jest „tylko” najważniejszym sędzią w Polsce. Powtórzyła drogę Andrzeja Rzeplińskiego z sądu (trybunału) do upolitycznienia. To ona dała zielone światło sędziom do politycznej aktywności, mimo zakazu istniejącego w art. 178 pkt 3 konstytucji, uczestnicząc w politycznych wiecach latem 2017 r. Także za granicą, gdzie była fetowana i nagradzana (np. w Niemczech) tylko formalnie występowała jako I prezes Sądu Najwyższego, w rzeczywistości głosząc polityczne manifesty. Sąd Najwyższy stał się swego rodzaju centrum politycznej opozycji: ze względu na jego ustrojowe usytuowanie, znaczenie wyroków oraz nastawienie wielu sędziów. Ona sama stała się jednym z liderów opozycji, przez niektóre środowiska wskazywanym jako najlepszy kandydat na prezydenta. Działalność sędziów SN oraz aprobaty dla różnych akcji sędziów sądów powszechnych doprowadzały do coraz większego chaosu w wymiarze sprawiedliwości. I mogą doprowadzić do pata w wyłanianiu nowego I prezesa SN, gdyż jej kadencja upływa w kwietniu 2020 r.



PZU to nie tylko ubezpieczenia.
To przede wszystkim ludzie,
na których możesz liczyć.

PZU. Możesz na nas polegać



Polskość wciąż jest atrakcyjna

Pytam: jeśli armia sowiecka miałyby nam przynieść wolność, to dlaczego pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się w Polsce powojennej dopiero w roku 1991? Mówienie w tym kontekście o wyzwoleniu jest powrotem do propagandy z czasów PRL, ale nie ma nic wspólnego z prawdą

*Michał Karnowski rozmawia z **dr. Jarosławem Szarkiem**, historykiem, autorem książek, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej*

Najpierw lider SLD Włodzimierz Czarzasty twierdzi, że Sowieci nas wyzwolili, bo „dali nam wolność od Niemiec i od Niemców, od faszystów”, a później dokładnie to samo powtarza ambasador Federacji Rosyjskiej w Polsce Siergiej Andriejew. I dodaje, że kiedy słyszy, iż radzieccy żołnierze nie mogli przynieść wolności krajom europejskim, ponieważ sami jej nie mieli, to „wyzwołuje to u niego poczucie obrzydzenia”. Dla-

czego takie tezy znowu, właśnie teraz, wracają?

Jarosław Szarek: One nigdy nie zniknęły. Przy każdej okazji, poprzednio była to rocznica podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow, znajdzie się ktoś, kto coś takiego powie, najczęściej z powodów politycznych. Ale choćby powtarzano to tysiąc razy, to nie uda się zmazać podstawowej prawdy, że wkracząc do Polski, armia sowiecka kończyła straszliwą, nieludzką okupa-

cję niemiecką, ale nie przynosiła Polakom wolności.

Zwolennicy zacytowanej wyżej tezy zapytają: to co przynosiła?

Kolejne zniewolenie. Jak ono wyglądało, możemy zobaczyć w setkach miejsc kaźni, w których mordowano polskich patriotów, często bohaterów walki z Niemcami. I przeważnie działo się to w tych samych miejscach, które właśnie opuścili kaci niemieccy.



Fot. Andrzej Wiktoria

sza literatura. Często wraca do mnie wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Na rozwiązanie Armii Krajowej”. To wstrząsające strofy: „Za dywizję wołyńską, nie kwiaty i wianki / Szubienica w Lublinie. Ojczyste Majdanki. / Za sygnał na północy, bój pod Nowogródkiem / Długi urlop w więzieniu. Długi i ze skutkiem. / Za bój o naszą Roszę, Ostrą Bramę, Wilno / Sucha gałąź lub zsyłka na rozpacz bezsilną. [...] Za wyroki na katów, za celny strzał Krysta / Jeden wyrok: do tury. Dla wszystkich. Do czysta! Za Warszawę, Warszawę, powstańcze zachcianki / Specjalny oddział śledczy: »przyłożyć do ścianki«”.

Wspaniały, za mało znany poeta. Słyszałem, że Instytut Pamięci Narodowej wyda jego utwory.

Precyzyjnie mówiąc, wydamy ich omówienie, w rozpoczętej właśnie serii wydawniczej Literatura i Pamięć. Przez wieki literatura nas kształtowała. To ona, gdy nie mieliśmy państwa i byliśmy w niewoli, wyrażała nasze marzenia o niepodległej, prowadziła do czynu. Duża część tego dorobku została zapomniana, część świadomie wymazywali komuniści, nie przywróciła ich III RP. Dlatego zbieramy to w pewną całość, która opowie poprzez dzieła literackie o historii, o tym, jak literatura kształtowała pokolenia, jak pozwoliła przetrwać niewolę. Chcemy, aby nauczyciele, uczniowie, studenci odkrywali literaturę poprzez historię, a historię przez literaturę. Ponadto w czasie, gdy jesteśmy świadkami ideologicznej destrukcji języka, jego wulgaryzacji, chcemy wracać do czystych źródeł. Pierwszy tom przypomniał poezję Jana Polkowskiego, jednego z najważniejszych poetów i świadków końca XX w., drugi Józefa Piłsudskiego jako pisarza, człowieka, któremu siłę dawał – królom równy – Słowacki. Trzeci to „Dzieje najnowsze w literaturze polskiej. Szkice o współczesnej poezji i prozie”, a w nim m.in. Kazimierz Wierzyński, Józef Mackiewicz, Józef Czapski, Marek Nowakowski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Antoni Libera, a także współcześni Andrzej Stasiuk, Wojciech Wencel i Olga Tokarczuk.

Od lewa do prawa. Co tu jest wspólnym mianownikiem?

To, że w tych utworach odbija się historia Polski, ta z lat 1917–1989, której badaniem i popularyzacją zajmuje się Instytut Pamięci Narodowej.

Wiele z tych „ojczystych Majdanków”, o których pisał Kazimierz Wierzyński, dopiero dziś odkrywamy. Rozsiane po całej Polsce piwniczne katorzenie ujawniają swoje tajemnice. Ale także w sercu Warszawy, w byłym areszcie i więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Oproceedzał mnie ostatnio po tym miejscu wspaniały organizator powstającego tam Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych, człowiek wielkiej wiedzy i miłości do Polski, dyrektor Jacek Pawłowicz. Zachowane niemal bez zmian cele, okrutne karcery wielkości szafki szkolnej i jeszcze wyłożone szkłem, miejsca, gdzie katyńską metodą w tył głowy strzelano do bohaterów, zapomniane jamy grobowe, do których ich wrzucano – już dzisiaj robi to ogromne wrażenie. Tam powinna powstać placówka, która będzie kształtowała pokolenia, promieniowała na cały świat. W kręgu osób zainteresowanych często pojawia się postulat, by IPN przejął to miejsce, podjął się prowadzenia tego muzeum, które dziś jest w gestii Służby Więziennej. Czy to możliwe?

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych jest naszym naturalnym partnerem, z którym współpracujemy od początku jego powołania, i to nie tylko dzięki Jackowi Pawłowiczowi, który doskonale rozumie wagę tego miejsca – sam zresztą w latach 80. XX w. był tam więziony. Wiele lat pracował w IPN, a jego rola w przywróceniu pamięci choćby tylko o rtm. Witoldzie Pileckim jest nie do przecenienia. Mury więzienia przy Rakowieckiej, gdzie zamordowano setki najlepszych synów Polski, gdzie rtm. Pilecki powiedział, że „Oświęcim to igraszka”, są naszą narodową relikwią. Natomiast w dokumentach przechowywanych w IPN jest zapisana historia tego strasznego miejsca. Obecnie ustawa uniemożliwia Instytutowi prowadzenie muzeów, ale możemy

Armia sowiecka była narzędziem w rękach Stalina, przychodziła po to, by odebrać Polsce niepodległość, a na jej gruzach zainstalować komunistyczne rządy. Nie jest to jakieś nasze wyjątkowe doświadczenie, ale również innych narodów Europy Środkowej i Wschodniej. Zapytam jeszcze inaczej: jeśli to była taka wolność, to dlaczego pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się w Polsce powojennej w roku 1991?

I to w październiku.

Dlatego mówienie o wyzwoleniu jest powrotem do propagandy z czasów PRL, ale nie ma niczego wspólnego z prawdą. Tysiące dokumentów, świadectw ofiar, opracowań historyków, badań archeologicznych dowodzą, czym był komunizm narzucony Polsce po 1944 r. Mówi o tym także na-

tworzyć placówki edukacyjne i taki charakter będzie miało centrum na warszawskiej Pradze przy ul. Strzeleckiej 8, kolejne miejsce na mapie czerwonego terroru, które zamierzamy otworzyć 1 marca 2020 r.

Dawna katownia NKWD.

Tak, pracownicy IPN kilkanaście lat za biegali, by to miejsce zachować, i to się udało, a będzie można je zobaczyć już za dwa miesiące. Na ścianach nadal są napisy więzionych i katowanych tam ludzi reprezentujących różne struktury i odłamy polityczne Polskiego Państwa Podziemnego. Jeden z zachowanych napisów: „Śmierć naszym wybawieniem”, świadczy o tym, jak traktowano tam więzionych, a byli to ludzie, których wcześniej nie zlamало pięć lat walki z niemieckim okupantem. Jeszcze jeden głos, czym było „wyzwolenie”. Kolejne przeżające miejsce pamięci, z którym blisko współpracujemy, to willa Jasny Dom w warszawskich Włochach. Również inskrypcje i napisy na ścianach, tym razem ofiar Informacji Wojskowej. Czyli straszliwy trójkąt śmierci: muzeum przy Rakowieckiej, katownia na Strzeleckiej, areszt we Włochach. Miejsca, które każdy licealista powinien odwiedzić. Przejście niemal po śladach rtm. Pileckiego, z jego celi do piwnicy, gdzie został zamordowany, mówi więcej niż setki przeczytanych stron książek.

Mówi pan o młodziźnie – czy mamy szansę ją pozyskać dla sprawy polskiej?

Chodzi raczej o to, aby jej nie stracić dla polskiej sprawy, aby pozostała wierna kulturowemu dziedzictwu stworzonemu przez pokolenia Polaków, aby dołożyła do niego kolejny element, aby była zdolna nieść Polskę w przyszłość, aby była zdolna zmierzyć się z wyzwaniem, przed jakimi kiedyś stanie. Żeby było to możliwe, musi znać to dziedzictwo i je rozumieć. I w odniesieniu do XX w. robi to IPN. Jeżeli uda nam się ukształtować kilka tysięcy tak wrażliwych młodych ludzi, to staną się oni kiedyś niepodległościową elitą na-

rodu. Dlatego taką wagę przykładamy w IPN do działań edukacyjnych – to szczególnie misja Instytutu – stąd tak duża nasza aktywność w tej dziedzinie, wśród młodzieży i nauczycieli, w kraju i wśród rodaków za granicą, dlatego powstały wszystkie nasze „Przystanki historia”. Szukamy języka, który młodzież najlepiej rozumie. Stąd tak liczne publikacje, komiksy, gry planszowe, filmy, audiobooki, konkursy, wyprawy do miejsc, w których działa się historia.

Kilkanaście lat pracownicy IPN zabiegali, by to miejsce zachować, i to się udało, dawną katownię na warszawskiej Pradze przy ul. Strzeleckiej 8, kolejne miejsce na mapie czerwonego terroru, będzie można zobaczyć już za dwa miesiące

To ta góra książek na pana biurku?

To akurat dorobek zaledwie ostatnich kilkunastu miesięcy. Przyniosłem, żeby pokazać, co robimy, a to tylko jeden z elementów naszej działalności, obok poszukiwań bohaterów, budowy upamiętnień... i ponad 200 książek rocznie, a to jedna z ostatnich: „Represje za pomoc Żydom na okupowanych ziemiach polskich w czasie II wojny światowej, tom I”. Rzecz w obecnych czasach bezcenna dla historyków, dziennikarzy, wszystkich zainteresowanych historią.

Podjęcie tej bitwy o prawdę o polskim losie w czasie II wojny światowej było jednym z wielkich oczekiwań Polaków, które znalazły wyraz w zmianie roku 2015. Jak ocenia pan stan tej walki?

Tak jednoznaczny przekaz antytotalitarny i antykomunistyczny, z jakim wystąpili przywódcy Niemiec i Sta-

nów Zjednoczonych na obchodach 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej w Warszawie, opisujący dzieje Polski od paktu Ribbentrop-Mołotow po Jana Pawła II i Solidarność, podkreślający znaczenie wartości, w imię których prowadziliśmy walkę, wartości spajających nasz naród i dających nam siłę, jeszcze kilkanaście lat wcześniej nie byłby możliwy. To pokazuje, że wysiłek państwa polskiego, determinacja i konsekwencja przynoszą efekty.

Dzisiaj w Polsce nie usuwa się nauki historii ze szkół, docenia się znaczenie pamięci i tożsamości, nie chce się stawiać pomników agresorom, nie sprowadza się lewackich bojówek bijących grupy rekonstrukcyjne, nie promuje się różowych baloników zamiast flagi narodowej.

A aktywni, propatriotyczni Polacy trochę się nie rozeszli? Nie poszli do innych zadań? Narzekał na to w niedawnym wywiadzie twórca Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci” Arkadiusz Gołębiewski.

Czytałem. Miał rację. Część społeczników, którzy organizowali rocznice, upamiętnienia, podjęła inne zadania, niektórzy uznali, że skoro teraz rządzi obóz niepodległościowy, to on się tym zajmie i nie jest konieczny nasz wysiłek. A to tak nie działa. Bez oddolnej aktywności nie przekazemy polskości kolejnym pokoleniom. Władze państwowe, instytucje wiele mogą, ale mam wrażenie, że dzisiaj, jak trafnie opisywał to prof. Zybertowicz, nasze archipelagi polskości się rozrosły, ale to jeszcze nie kontynent.

A zagranicą? Napawa wielkim smutkiem, jak wiele jest świadomie produkowanych kłamstw, jak te nawalnice powracają. Ostatnio nawet przy okazji przyznawania Nagrody Nobla usłyszeliśmy, że mamy tradycje „kolonizatorskie” i „antysemickie”. Jak z tym walczyć?

Skolonizował nas niestety, a szczególnie nasze elity, komunizm. I to bardzo głęboko. Istotą polskości jest wolność, przesłanie, że nie zgodzimy się na obcy dyktat. To doświadczenie kształtujące nas przez wieki. Z niego wyrósł system

demokracji szlacheckiej, z zapisanymi w przywilejach gwarancjami wolności, zawierane unie, które ten system rozszerzały na innych, a wraz z nim niosły dalej ówczesną kulturę „europejską”, potem Konstytucja 3 maja z przesłaniem „wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów”, XIX-wieczne „Za naszą i waszą wolność”, aż po Solidarność. Nie wszyscy nasi sąsiedzi dzielali to przesłanie i płaciliśmy wysoką cenę za chęć bycia wolnymi, ale właśnie to przyciągało do nas innych, nie zabrakło przecież takich, którzy przybyli nas podbijać, a ich wnuki stawały się Polakami. I to nie dla naszych wad, których nam nie brakuje, które niejedno nieszczęście na nas sprowadziły, o których tyle mówili prymas Wyszyński i Jan Paweł II, ale to nie one przyciągały ku Polsce. Opo- wieść o polskim „kolonializmie” i „antysemityzmie” z pewnością zostanie entuzjastycznie przy- jęta w tych stolicach, które zostały zbudowane na pokoleniach eks- ploatacji kolonii lub w których in- stytucjonalnie wspierano III Rze- szę Niemiecką w zagładzie Żydów. Ale przecież dzisiaj fakty wydają się nie mieć większego znaczenia, więc można powiedzieć wszystko.

Wszystko można też dziś powiedzieć o relacjach polsko-żydowskich. Jaka tu jest rola IPN? Wielkie brawa zebraliście za szybką reakcję na kolejne książki ze środowiska tzw. polskiej szkoły badania Holocaustu, która nie brzydzi się nawet preparowaniem cytatów i materiałów źródłowych. Wykazał to w serii precyzyjnych artykułów na łamach tygodnika „Sieci” dr Piotr Gontarczyk.

Niedługo wydamy jego książkę na ten temat. Wcześniejsza praca dr. Tomasza Domańskiego „Korekta obrazu?...” spełniła swoją funkcję, wskazała na poważne braki w pracy „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Mimo upływu blisko dwóch lat od jej ukazania się dr Tomasz Domański jako jedyny tak bardzo dogłębnie ją zrecenzował. Wykazał, że niektórzy autorzy tych prac po prostu fałszują źródła. Wydaje się, że to nie do przy-

jęcia w świecie nauki. IPN jest zawsze otwarty na merytoryczną dyskusję, wymianę naukowych argumentów. Tworzymy dla niej wolną przestrzeń. Nigdy w naszej publikacji nie znalazły się inwektywy, sformułowania obraźliwe wobec polemistów. Niestety z drugiej strony to tak nie działa. Mam na biurku pozytywną recenzję książki „Dalej jest noc...” w jednym z pism naukowych. Dwie pierwsze strony autor poświęca na krytykę premiera, prezydenta, prezesa rządzącej partii politycznej, a potem następują zachwyty nad „Dalej jest noc...”. I to ma stempel naukowości, zostało zrecenzowane.

Dzisiaj już widzimy, że tzw. salon polskości nam nie obroni. Musimy zrobić to sami, musimy kolejne pokolenia wciągać do tego zadania

Szukające, że tak wielu polskich historyków, wiele uczelni, wydziałów, milczy, gdy zakłamuje się prawdę o polskiej historii w czasie wojny. Dlaczego?

Na zjeździe historyków kilka miesięcy temu ta kwestia w ogóle się nie pojawiła. Środowiska akademickie wyraźnie nie chcą dotykać złożonej tematyki polsko-żydowskiej. Sposób, w jaki został potraktowany dr Tomasz Domański, nie zachęca do pójsicia jego śladem. Są tematy, które zapewnią szybką ścieżkę kariery naukowej, ale dla IPN tym kryterium będzie zawsze prawda.

Dlaczego tak wiele wysiłku jest wkładane w te próby wrobieńia Polaków w sprawstwo niemieckiej zbrodni Holocaustu? O co tu chodzi?

Zaledwie przed kilkudziesięciu laty III Rzesza Niemiecka dokonała zagłady całego narodu, mordując miliony niewinnych, bezbronnych kobiet, dzieci. Nikt nie ma wątpliwości co do zła, jakiego dokonano. A ucze-

niczyli w tym rodzice, dziadkowie dzisiaj żyjących. Ogromny ciężar na sumieniu, nie każdy jest gotów się z nim zmierzyć. Stąd ucieczka, próba podzielenia się tym złem z innymi. I to się próbuje realizować już od wielu lat.

Najbardziej smuci, że tak wielu Polaków oklaskuje paszkwile na Polskę. Skąd to się bierze?

Dokładnie przed ćwierć wiekiem Zbigniew Herbert powiedział, że po- grążamy się w semantycznej zapaści. Zdradców nie nazywamy zdrajcami, dobra dobrem, a zła złem. Uciekamy od prawdy. Przestrzegał, że jeżeli ten proces nie zostanie zatrzymany, to jako społeczeństwo zidiociejemy. Dzisiaj to się dzieje, zbieramy owoce naszych słabości, zaniedbań sprzed lat. Dzisiaj już widzimy, że tzw. salon polskości nam nie obroni. Musimy zrobić to sami, musimy kolejne pokolenia wciągać do tego zadania. Piękne, oddolne w setkach miejsc, obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości to źródło optymizmu, że to się uda. Polskość wciąż jest atrakcyjna dla kolejnych pokoleń i będzie, przecież „we- wnętrznego ognia sto lat nie wyziębi”, a Instytut Pamięci Narodowej zadba, aby dalej płonął.

Optymistyczne jest w tym obrazie także to, że zapotrzebowanie na atrakcyjny propolski przekaz jest również ogromne. Wielki sukces „Niezwycięzonych”, także w języku angielskim, jest tu dowodem. IPN nie mógłby dać tego więcej?

I dajemy, bo jeżeli mówimy tylko o tym wąskim – filmowym – zakresie naszej aktywności, to trzeba wymienić „Paszporty Paragwaju” pokazywane nie tylko w kraju, ale za granicą, m.in. w Waszyngtonie, Hadze, Jerozolimie, a za kilkanaście tygodni premiera ich drugiej części. W opowieści o naszych dziejach nie zabraknie determinacji. Przed nami rok wolności, gdy przy- pomnimy, jak w 1920 r. zatrzymaliśmy komunizm, a w 1980 stworzyliśmy Solidarność, aby go pokonać. Tego powiewu polskiego ducha nadal po- trzebujemy.



Botschaft
der Bundesrepublik Deutschland
Warschau



Niemcy i Polska: Chcemy wspólnie kształtować przyszłość w oparciu o prawdę historyczną

Niemcy i Polska są strategicznymi partnerami. Mamy wspólną losów: jeśli dobrze wiecie się Polsce, nam także dobrze się wiecie i odwrotnie. Bezpieczeństwo Polski jest także naszym bezpieczeństwem – pisze w tekście nadesłanym do naszej redakcji

Rolf Nikel, ambasador Republiki Federalnej Niemiec w Polsce

Niemcy i Polska są z sobą blisko powiązane. Nasza długa wspólna historia doświadczyła i wzlotów, i bolesnych upadków. Polska przeżyła fazy okrutnych zbrodni niemieckich, z których powodu do dzisiaj jeszcze odczuwamy ogromny wstyd. Tak, to właśnie Niemcy w imieniu Niemiec przysporzyli Polakom i wielu innym ludziom niewysłowionych cierpień. Po wsze czasy ponosimy za to pełną odpowiedzialność historyczną. A Polacy byli tymi, którzy w heroiczny sposób stawili opór agresorowi. Te fakty są prawdą historyczną. Również ten wstrząsający rozdział naszej wspólnej przeszłości kształtuje nasze relacje do dzisiaj.

Ale były też momenty wielkiej wspólnoty, z której powodu słusznie możemy się czuć dzisiaj szczęśliwi. Odważne Polki i odważni Polacy przeciwstawili się komunistycznemu aparatowi repre-

sji, stając się źródłem inspiracji dla ruchu obywatelskiego w byłej NRD. Trzydzieści lat temu to znów ci szlachetni i prawi Polacy pomagali w zaopatrzeniu uciekinierów z NRD i umożliwieniu ich wyjazdu na Zachód.

Bez tego podwójnego wkładu ze strony naszych polskich przyjaciół nie byłby możliwy upadek żelaznej kurtyny i w jego następstwie zjednoczenie Niemiec. Dziękuję, Polsko, za odwagę i zaraźliwe dążenie do wolności. Dziękuję, Polsko, za tę inwestycję w naszą wspólną europejską przyszłość.

Niemcy odwzajemnili to zaufanie, popierając przystąpienie Polski do Unii Europejskiej i do NATO. Dzisiaj Niemcy i Polska są sojusznikami i partnerami w obydwu tych organizacjach i wspólnie pracują nad przyszłymi rozwiązaniami na rzecz bezpieczeństwa i dobrobytu na naszym kontynencie.

Niemcy są dzisiaj dla Polski zdecydowanie najważniejszym partnerem handlowym. Polska natomiast jest dzisiaj szóstym najważniejszym partnerem handlowym Niemiec, tuż za Włochami, ale już przed Wielką Brytanią. Nasz handel zagraniczny z Polską jest np. dwukrotnie większy niż z Rosją. Z czterema krajami Grupy Wyszehradzkiej Niemcy mają większą wymianę handlową niż z naszym największym partnerem handlowym – Chinami. Podobnie jest w relacjach inwestycyjnych: każdego roku Niemcy są jednym z najważniejszych inwestorów zagranicznych w Polsce, polskie firmy inwestują w Niemczech coraz liczniej.

Polsko-niemieckie stosunki gospodarcze i wspólna przynależność do rynku wewnętrznego Unii Europejskiej przyczyniły się bardzo istotnie do niezwykle pozytywnego rozwoju gospo-

darczego Polski. Polska gospodarka to dzisiaj symbol dynamiki, kreatywności i wydajności. Niemcy zawsze popierały ten kierunek rozwoju i z zadowoleniem go przyjmowały. Mogą być państwo bardzo dumni z tego, co zostało osiągnięte!

Dzięki dłoni podanej nam przez naszych polskich przyjaciół proces polsko-niemieckiego pojednania jest dzisiaj tak bardzo zaawansowany, że zazdroszczą nam tego na całym świecie: czy to na Bałkanach, czy to na Półwyspie Koreańskim. Kto by trzydzieści lat temu pomyślał, że do roku 2019 w wydarzeniach zorganizowanych przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży weźmie udział trzy miliony młodych ludzi, że będzie istniało 650 partnerstw miast, 1500 kooperacji szkół wyższych oraz aktywna współpraca między społeczeństwami obywatelskimi obydwu krajów?

Niemcy i Polska są strategicznymi partnerami. Mamy wspólnotę losów: jeśli dobrze wiedzie się Polsce, nam także dobrze się wiedzie i odwrotnie. Bezpieczeństwo Polski jest także naszym bezpieczeństwem.

Niemieccy i polscy żołnierze są wspólnie symbolem bezpieczeństwa Polski i nienaruszalności granic NATO. Żołnierze niemieccy wspólnie z innymi sojusznikami wzmacniają wschodnią flankę NATO. W roku 2019 ponownie przejęliśmy kierownictwo sił szybkiego reagowania NATO. Uczestniczymy aktywnie w misji „Baltic Air Policing” nad Bałtykiem. Jesteśmy państwem gospodarzem nowego dowództwa Joint Support and Enabling Command utworzonego w Ulm, które będzie odgrywać zasadniczą rolę w koordynowaniu strategicznego przemieszczania się w ramach obrony Sojuszu. Jesteśmy jednym z państw wiodących w Afganistanie. Prowadzimy działania NATO na Morzu Egejskim.

Niemcy nieustannie zwiększają swoje inwestycje w obronność. Nasz budżet obronny jest rekordowo wysoki. Sięgając dzisiaj wysokości 50 mld euro, w ciągu ostatnich pięciu lat wzrósł o 45 proc. W 2020 r. osiągniemy nieco ponad 1,4 proc. PKB. Kanclerz federalna Angela Merkel dała jasno do zrozumienia, że Niemcy są zdetermi-

nowane, by osiągnąć dwuprocentowy cel do 2031 r.

Niemcy stoją dzisiaj zdecydowanie u boku Polski. Wspólnie stawiamy czoła wyzwaniom coraz bardziej zglobalizowanego i zdigitalizowanego świata. Niemcy zawsze znacząco popierały sankcje nałożone przez Unię Europejską na Rosję i ich przedłużenie w związku jej agresją na Ukrainie. Z zadowoleniem przyjmujemy także stałą rotacyjną obecność dodatkowych żołnierzy amerykańskich w państwa kraju.

Duża liczba wzajemnych, wysokich rangą wizyt świadczy o bliskości naszych krajów. Od objęcia urzędu minister

Nawet w tych obszarach, w których reprezentujemy niekiedy odmienne stanowiska, jak np. w zakresie polityki migracyjnej, jest o wiele więcej punktów zbieżnych, niż wielu osobom się wydaje

spraw zagranicznych Heiko Maas w żadnym innym kraju nie był tak często jak w Polsce. Niedawna wspólna wizyta premiera Mateusza Morawieckiego i kanclerz federalnej Angeli Merkel w byłym niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau potwierdza, jak bliskie są nasze stosunki, tak samo jak wizyta prezydenta federalnego Franka-Waltera Steinmeiera z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej i ministra spraw zagranicznych Heiko Maasa z okazji 75. rocznicy Powstania Warszawskiego.

Wspólnie pracujemy w formacie Inicjatywy Trójmorza nad wzmocnieniem infrastruktury we wschodniej części Unii Europejskiej, w ramach tzw. Procesu Berlińskiego – nad przybliżeniem państw Bałkanów Zachodnich do Unii Europejskiej, a także w ramach Partnerstwa Wschodniego. Wspólnie z Polską chcemy dalej usprawniać Unię Europejską, tak by miała kondycję na miarę

XXI w. i potrafiła sprostać jego nowym wyzwaniom. W kontekście tych wszystkich rozważań jesteśmy przekonani, że tylko proces o charakterze inkluzywnym pchnie Europę jako całość do przodu. Polska należy do rdzenia tej Unii. Co do tego nie może być żadnych wątpliwości.

Nawet w tych obszarach, w których reprezentujemy niekiedy odmienne stanowiska, jak np. w zakresie polityki migracyjnej, jest o wiele więcej punktów zbieżnych, niż wielu osobom się wydaje: obydwa nasze kraje chcą wzmacniać granice zewnętrzne Unii Europejskiej, zwalczać przyczyny uchodźstwa i przemytników oraz wspierać kraje pochodzenia i kraje tranzytu uchodźców.

Tak dużo łączy dzisiaj nasze kraje. W obliczu globalnych wyzwań jesteśmy zdani na polsko-niemieckie partnerstwo w NATO i w Unii Europejskiej. Żaden z naszych krajów w pojedynkę nie jest w stanie poczynić postępów w walce z terroryzmem i ze zmianami klimatu, w kwestiach takich jak globalizacja i cyfryzacja. Właśnie dlatego, że mamy za sobą tak zmienne koleje historii, która kryje w sobie także najciemniejsze rozdziały, wyciągnęliśmy wnioski: tylko zjednoczeni możemy bronić wartości, o które często musiało walczyć i za które musiało cierpieć wielu Polaków.

Wartości gwarantujące „nigdy więcej”, na których opiera się nasz ład to: pokój, wolność, demokracja, praworządność i przestrzeganie praw człowieka.

Dla nas, Niemców, to wielkie szczęście, że możemy dzisiaj żyć z Polakami jako równoprawnymi partnerami w zjednoczonej Europie. Droga wiodąca od gardzącego człowiekiem terrorku wobec sąsiada poprzez pojednanie, aż po równoprawną przyjaźń może wzbogacić skarbnicę doświadczeń europejskiej integracji w krytycznym punkcie jej rozwoju: to, co wspólne, jest ważniejsze, niż to, co dzieli.

Z myślą o pogłębianiu integracji europejskiej nadszedł już czas, by zbuzzyć zalegające w umysłach przeszkody i mury. Mając świadomość naszej przeszłości, chcemy wspólnie z Polską angażować się na rzecz tego oraz na rzecz przyszłości Europy.

Rolf Nikel

Walczymy o konkrety, a nie nastroje

To kraje starej UE coraz częściej prowadzą politykę, która osłabia Europę, czego nie można zarzucić Polsce – mówi **Konrad Szymański**, minister ds. europejskich, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Panie ministrze, po co wydzielamy sprawy europejskie z MSZ? Co nie działało w dotychczasowym modelu?

Konrad Szymański: To żadna rewolucja, raczej potwierdzenie stanu faktycznego. A ten, po przyjęciu traktatu lizbońskiego, jest taki, że polityka unijna przeniosła swój ciężar do Rady Europejskiej. Aby przygotować polskie stanowisko na posiedzenie Rady, trzeba zebrać informacje z wielu resortów – nie tylko z MSZ, a nawet nie przede wszystkim z MSZ. Nie mniej ważne, zwłaszcza w ostatnich latach z polskiego punktu widzenia, są sprawy związane z rolnictwem, energią, gospodarką i wieloma innymi politykami. Wzmocnienie bezpośredniego zaplecza premiera było więc koniecznością.

Przyjeżdża do Polski szef MSZ Niemiec rozmawiać o sprawach unijnych. Z kim ma się spotkać? Z Jackiem Czaputowiczem? Z panem? Z ministrem odpowiedzialnym za konkretne aspekty unijnej polityki?

Zazwyczaj szefowie MSZ państw UE rozmawiają o polityce zagranicznej UE, ewentualnie o polityce sąsiedztwa, bezpieczeństwa czy rozszerzenia. MSZ zachowuje tu główną rolę. Jeśli pojawiają się inne tematy, zapewne przepływ informacji z każdego zakątka polskiej administracji.

Jest jeszcze jeden zarzut ministra Waszczykowski, który pisze o tym, że „europejska dyplomacja Szymańskiego” zawiodła w sprawie procedury z artykułu 7. Może faktycznie można było tutaj być bardziej skutecznym.

W sprawie tak kluczowej jak art. 7 działa cały rząd, a nie poszczególne resorty czy wiceministrowie. Każdorazowe założenia procesowe przed TSUE są przyjmowane przez cały skład Rady Ministrów, bo przed Trybunałem staje kraj, a nie resort. Nie ma tym bardziej czegoś takiego jak dyplomacja poszczególnych ministrów. Jest jedna polska dyplomacja, która powinna pracować na rzecz całego rządu. Tylko tyle i aż tyle.

Czy pana zdaniem nowe rozdanie w Brukseli to dla Polski więcej szans, czy zagrożeń?

Premier Mateusz Morawiecki zbudował nowe otwarcie przy okazji końca kadencji poprzednich władz. Wzięliśmy aktywny udział w tworzeniu nowego układu personalnego – a taka zmiana to zawsze szansa na pozytywną korektę, która byłaby dobra i dla Polski, i dla całej UE. Początek rozmów i dotychczasowe robocze kontakty z KE i Radą są bardzo konstruktywne, lepsze niż dotychczas, nieobciążone zaskońciami i opozycyjnymi emocjami – zwłaszcza w przypadku przewodniczącego Rady Europejskiej – i to jest zmiana na lepsze. Ale do pełnej oceny potrzeba czasu – nam nie zależy na zmianach nastrojów, ale na interesach, konkretach.

Z rządu pobrzmiwają nadzieje, że w nowej kadencji PiS trzeba się będzie dogadać. Jest w tej nadziei coś prawdziwego, czy to raczej myślenie życzeniowe?



ROZMOWA
Fijołka



Fot. Andrzej Wiktor

W przypadku Polski wszyscy straciliśmy dużo czasu i energii na całkowicie niepotrzebne próby przekazywania dobrych rad, a czasem wręcz otwartej krytyki, co nie pomagało, nie pomaga i pomagać nie będzie. Każdy, kto widzi problem Europy nieco szerzej, powinien ostrożniej podchodzić do przemian politycznych: i to zarówno tych we Francji czy w Holandii, jak i w Czechach czy Polsce. Tymczasem mimo 15 lat po akcesji to się nie dzieje, a oczekiwania wobec nas są inne, bywają wręcz paternalistyczne. To duży błąd.

Rozpoczynający się rok to kwestia przede wszystkim negocjacji budżetowych. Pierwsze propozycje KE, wzmocnione korektą ze strony prezydencji fińskiej, nie napawają jednak optymizmem.

Po 18 miesiącach rozmów jesteśmy w punkcie zero, tracąc sporo czasu. Niektóre stolice w Unii powinny zrozumieć, że Polska nie zgodzi się na budżet niesprawiedliwy dla naszego kraju, jak i całego regionu. Rozumiemy obiektywne argumenty: jak utratę środków za sprawą brexitu, rozumiemy, że jesteśmy jako Polska coraz bogatsi i rola bezpośrednich transferów musi maleć. Rozumiemy też nowe cele UE, ale na dziś te wszystkie czynniki stworzyły projekt budżetu, który jest nieakceptowalny. Polska chce przejść do konstruktywnej fazy rozmów i tego oczekujemy przede wszystkim od nowego przewodniczącego Rady Europejskiej.

Proszę pozwolić zrozumieć naszym czytelnikom: z czego wynikają te różnice w ocenie priorytetów unijnych? Dlaczego jedni chcą ograniczonego budżetu, a inni nie?

Wpływa na to cała gama czynników – zachodnia Europa, bez komunizmu po wojnie, swoje potrzeby rozwojowe, jak choćby dotyczące infrastruktury, zrealizowała już jakiś czas temu. W czasie gdy zaufanie do UE spada w niemal wszystkich krajach starej UE, łatwo puścić oko do populistycznej części opinii publicznej. Czynią tak, wymachując błękitnym sztandarem UE, a nawet rozliczając z europejskości kraje Europy Środkowej.

Drugim czynnikiem jest bezprecedensowy przechyl opinii publicznej, zwłaszcza w starej UE, w kierunku angażowania olbrzymich środków na ochronę klimatu i środowiska.

Jak Polska podchodzi do tych nowych priorytetów?

Wiele z tych problemów jest realnych, rzutujących na poziom życia także Polaków. Rząd Beaty Szydło, a później Mateusza Morawieckiego może być dumny np. z programu Czyste Powietrze, który jest najbardziej ambitnym programem środowiskowym i klimatycznym Polski po 1989 r.

Mówi pan o populistycznym wydzwieńku argumentacji państw Zachodu, ale argumentem populizmu szermują właśnie te kraje.

Utarło się w europejskiej debacie pastwić nad populizmem antyeuropejskim, co bywa rytualnym zajęciem, szukaniem kozła ofiarnego.

Zwał jak zwał, ale te postulaty partii antyunijnych i z polskiego punktu widzenia nie są przesadnie sympatyczne.

Zgoda. Ta często przywoływana fala populizmu antyeuropejskiego budzi czasem instynktowną sympatię publicystów w Polsce, bo często uderza w polityków, których polska opinia publiczna nie lubi. Jednak trzeba pamiętać, że ta fala buntu przynosi także negatywne konsekwencje.

Jakie?

Ograniczenie budżetu, zastopowanie rozszerzenia UE, obruszanie konsensu polityki wobec Rosji, protekcjonizm gospodarczy na wspólnym rynku. Negatywne konsekwencje są oczywiste i tutaj synergii z polskimi interesami brak. Ale populizm ujawnia się także pod sztandarem unijnym. Jak inaczej niż populizmem nazwać postawę tych partii i państw, które podsuwają UE kosztowne nowe zadania do wykonania i słowem nie mówią o źródłach finansowania?

Pierwsze kontakty z nową przewodniczącą Komisji Europejskiej czy przewodniczącym Rady Europejskiej napawają optymizmem w tym zakresie?

Nasze interesy budżetowe są szerokie i dlatego perspektywa kompromisu jest wciąż daleka. Na pewno te negocjacje budżetowe są historycznie najtrudniejsze dla całej UE – nigdy wcześniej nie było tak dużej nieufności do projektu europejskiego – ten trend dziś nie dotyczy tylko Europy Środkowej.

Te różnice zawsze były.

Tak. Nawet mapa interesów jest taka sama, ale ograniczenia polityczne stolic są dziś bezprecedensowe. Dodatkowym elementem jest osłabienie polskiej pozycji przez nieuczciwą krytykę, a czasem oszczerstwa, płynące także z Polski, które musimy prostować przez ostatnie cztery lata. To nie pomaga. Politycy opozycji, którzy dziś próbują krytykować polski rząd za fińskie czy komisyjne propozycje cięć, powinni pamiętać, że podobne problemy były w UE zawsze. Część opozycji bierze jednak pełną odpowiedzialność za nasilenie tej presji. Na pewno to zamieszanie nie może prowadzić do rozbrojenia tylko naszej strony. Jedność jest ważna, ale nie możemy jej naiwnie celebrować bez względu na to, co się za nią kryje. Jest inaczej. Czasem trzeba umieć powiedzieć „nie”.

Taka jedność to przyjemny obrazek.

Może i tak, ale okraszony dużą niedojrzałością i naiwnością. Jedność w UE jest bardzo ważna, ale dla każdego państwa członkowskiego, nawet dużo mniejszego niż Polska, jest ważna treść tej jedności. Jedność w UE nie może być celem samym w sobie. Jest wartością tylko wtedy, gdy wspólne unijne działania choćby na poziomie zadowalającym realizują interesy wszystkich krajów. Wezwania do rozbrojenia i uznania, że będziemy jedynym krajem nieprowadzącym własnej polityki, bo jedność jest najważniejsza, są bezsensowne i nie przyniosą żadnego efektu.

To nie Polska blokuje dziś ambicje UE w tych wszystkich trudnych sprawach, jakie mamy na agendzie. Wręcz przeciwnie. To Polska zabiega o ambitny budżet, aktywną politykę na Bałkanach Zachodnich czy ofensywny rozwój wspólnego rynku. To nieprawdopodobny paradoks narracyjny, który nad Wisłą, niestety, wciąż się przyjmuje – zbyt mocno wciąż wierzymy, że państwa starej UE zawsze wiedzą lepiej i nie chcemy przyjąć do wiadomości, że to właśnie te kraje często prowadzą politykę, która osłabia Europę. Polska we wszystkich tych sprawach zachowuje się bardzo ambitnie i proeuropejsko.

Największym wyzwaniem przy budżecie będą sprawy transformacji energetycznej?

Polityka klimatyczna jest obecnie najtrudniejszym i najbardziej skomplikowanym problemem wspólnoty. Przerzucanie na kraje UE całej odpowiedzialności za konieczne zmiany i powiedzenie w zasadzie wprost: macie to zrobić do 2050 r. i koniec, to droga donikąd. Takiego porozumienia nie będzie – w czerwcu wprowadziliśmy cztery filary do konkluzji Rady i muszą być one przełożone dziś na konkret.

Polityka klimatyczna jest obecnie najtrudniejszym i najbardziej skomplikowanym problemem wspólnoty. Przerzucanie na kraje UE całej odpowiedzialności za konieczne zmiany i powiedzenie niemal wprost: macie to zrobić do 2050 r. i koniec, to droga donikąd

Powiedzmy sobie wprost: za przełożeniem na konkret tych spraw czają się duże pieniądze. I chodzi o wypracowanie takich furtek w budżecie, które ułatwią nam tę transformację. Mogą to być bezpośrednie transfery finansowe, mogą być elementy innego finansowania inwestycji, które – co zastrzegam – i tak nas czekają. Polska będzie musiała dokonywać olbrzymich inwestycji, włącznie z energetyką, więc te koszty to nie tylko koszty polityki klimatycznej UE, lecz także koszty naszych własnych narodowych planów transformacji. Ale są też koszty dodatkowe i tu porozumienie jest zależne od tego, czy ten poziom obciążeń będzie po prostu sprawiedliwy.

Zmieńmy temat. Jaki wpływ na polskie sprawy może mieć nowa funkcja Donalda Tuska – tym razem w roli szefa Europejskiej Partii Ludowej?

Rola Donalda Tuska w EPP ma charakter partyjny, więc nie chcę jej komentować, bo to nie nasza sprawa – ani jako rządu, ani jako partii. Czasem miałem wrażenie, że Donald Tusk byłby szczęśliwy, gdyby polskiego premiera nie musiał oglądać nawet w Radzie Europejskiej. Pewnie nie byłby więc zachwycony, by PiS, czy inna partia Zjednoczonej Prawicy, była w EPP [śmiech].

Jeśli mowa o byłym już przewodniczącym Rady Europejskiej, to padały zarzuty, że to polski rząd blokuje rozmowy z Tuskiem. Po tych czterech latach z hakiem możemy podsumować ten okres trudnej współpracy.

Jedno można powiedzieć jasno – ta współpraca nie była owocna. Jeśli ktoś jednego dnia próbuje robić skomplikowane akrobacje, by zachować pozory neutralności, a jednocześnie kopnąć premiera własnego kraju, który nazajutrz siedzi przy tym samym stole, to niszczy to efektywną współpracę. Na tym tle podoba mi się, jak wyglądają pierwsze tygodnie współpracy z następcą Tuska – Charles'em Michелеm i jego zespołem. Nawet jeśli uznamy, że są między nami różnice, co jest naturalne, to te kontakty nie są trudne z definicji, bo nie ma tych opozycyjnych, krajowych emocji, które często brały górę u przewodniczącego Tuska.

Tusk strzela sobie w kolano

Rok temu zdemaskowano w Rosji oszustwo – supernowoczesny robot okazał się człowiekiem przebranym za maszynę. Dziś zdemaskował się Donald Tusk – narcyz przebrał się za polityka i męża stanu – wszystko wyznał na piśmie w nieudanej książce „Szczerze”

Nie przybywajcie do Europy. Nie wiercie przemysłnikom. Nie ryzykujcie swoich pieniędzy i życia” – takimi słowami raczył Tusk uchodźców w Turcji i tego typu przemówienia miały – zdaniem autora „Szczerze” – zmieniać świat i pokonywać największe globalne kryzysy. A pamiętacie państwo kryzys w Katalonii? Demonstracje i zamieszki wokół postulatów o oderwanie się tego regionu od państwa hiszpańskiego nie schodziły z czołówek największych gazet, a problem separatyzmu był dyskutowany także na szczytach Unii Europejskiej. Tusk również spotkał się wtedy z premierem Hiszpanii i oto, jak podsumował nieznośne napięcie narodowościowe na Półwyspie Iberyjskim: „Proszę go o powstrzymanie się od użycia siły [...]. Całe moje doświadczenie życiowe uczy mnie, że przemoc nigdy nie prowadzi do dobrych rozwiązań – tłumaczę spokojnie”. Nie do uwierzenia – czy naprawdę unijny biurokrata myślał, że oświeci szefa hiszpańskiego rządu pierwszym lepszym komunalem i w ten sposób powstrzyma rozlew krwi w Barcelonie? A może polityk z Madrytu miał być oczarowany „życiowym doświadczeniem” brukselskiego urzędnika? Naiwność opowieści Tuska tak zaskoczyła lewicowo-liberalnych komentatorów, że nawet ich nie stać na pozytywne recenzje dzienników. A właściwie niby-dzienników, bo książka nie była spisywana dzień po dniu, a jedynie taką udaje.

JASNOWIDZ

Pod datą 6 kwietnia 2017 r. czytamy: „To niewiarygodne, co on zrobił. Pięć goli w dziewięć minut! Lewandowski w meczu z Wolfsburgiem wszedł z ławki rezerwowych, by ustanowić rekord



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

wszech czasów. Nie wierzyłem własnym oczom”. Byłoby to dla dawnego lidera PO dość typowe, gdyby nie fakt, że opisywany mecz rozegrano... 22 września 2015 r., a więc półtora roku wcześniej. Są i inne przesłanki wskazujące, że książka była pisana w pośpiechu w roku 2019, a nie mozolnie przez pięć lat. Rzadko kiedy dziennik pisze się w czasie teraźniejszym (większość autorów dzienników na koniec dnia pisze: zrobiłem, zjadłem, powiedziałem, a nie „robię, jem, mówię”), a tak jest w „Szczerze”.

A poza tym nasz liberał twierdzi, że przewidział wiele politycznych karier z większą precyzją niż Nostradamus. I tak oto Tusk pierwszy zrozumiał, że Macron zostanie prezydentem (zanim ten w ogóle ogłosił swoją kandydaturę), że Trump wygra wybory, że Kijowski jest podejrzany, że Saryusz-Wolski opuści PO, a Bronisław Komorowski zakończy prezydenturę na pierwszej kadencji. Były premier przekonuje także, że od początku był sceptyczny wobec projektu Angeli Merkel o przyjmowaniu emigrantów!

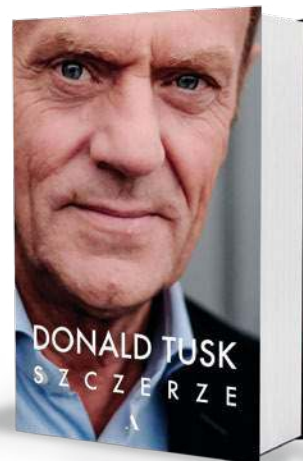
BRUKSELSKI ARYSTOKRATA

Polacy dobrze znają protekcyjny ton Tuska, ale teraz polski liberał potraktował z politowaniem także światowych przywódców. Były szef Rady Europejskiej twierdzi, że pouczał Trumpa, trudnymi pytaniami przypierał do muru Putina, rozgryzł Erdoğan, a liderów

państw Europy zachwycił swoimi przemówieniami. Wobec Timmermansa okazuje jednak inne uczucia: „Bardzo go szanuję za jego twarde stanowisko w sprawie praworządności i szczerą sympatię [sic! – red.] do Polski”.

Mirosław Skowron z „Super Expressu” zwrócił na antenie telewizji wPolsce.pl uwagę na niepokojąco częste w tych pseudodziennikach wzmianki o różnego rodzaju alkoholach, a internauci przecierali oczy ze zdumienia nad pretensjonalnymi opisami wakacji: „Siedzę w słońcu na tarasie, w dole plaża, [...], czytam tę historię i oglądam reprodukcje obrazów Kokoschki, a z telefonu puszczam V symfonię Mahlera. Popijam powoli malwazję. Dawno nie czułem się tak szczęśliwy”.

Wielu europejskich konserwatystów od lat bije na alarm, że polityczne kariery w Brukseli często zamieniają ludzi w jakiś nowy typ nomenklatury, oderwanej od rzeczywistości pseudoarystokracji, która każe orkiestrze „Titanica” grać do samego końca. Donald Tusk potwierdza te obawy jak żaden inny polityk. Z takim przywództwem wspólnota Zachodu nie ma szans na wyjście z kryzysu. 



M

jak magia noworoczna

Dr Hanna Karp, medioznawca



Swiat współczesnych reklam, filmów, hollywoodzkich seriali, typiący na nas z cyfrowych ekranów przenika myślenie, niesie przekazy, utwierdza w przekonaniu, że rzeczywistość w znacznym stopniu jest uzależniona od nieokreślonych, ukrytych i tajemnych sił niedostępnych dla nauki. Narracja mediów kieruje nas często w stronę szukania metod poprawy własnego samopoczucia, zdrowia, losu. Popycha w świat tajemnych energii, nadzwyczajnych mocy, u których korzeni tkwi myślenie magiczne i zachowania nieracjonalne. I choć pozornie wydawać by się mogło, że to tylko zabawa, jednak, gdy zdamy sobie sprawę ze skali zjawiska, przestaje być zabawnie.

Wtedy odsłoni się przed nami – już w realu – ogrom organizowanych kursów, praktyk, różnego rodzaju usług edukacyjnych czy dziedzin z tzw. kultury alternatywnej, związanej z głęboką ekologią, paramedycyną, parapsy-

chologią, rozrywką, właściwie każdą dziedziną życia. Poczynając od terapii, przez sztukę projektowania wnętrz, ale też sztukę oddechu lub troski o siebie i o swoją rodzinę czy wyboru i zakupu zapachu olejku do aromaterapii, po akcesoria feng shui (notabene, są już takie akcesoria dla psów i kotów).

Uliczne ogłoszenia w całym kraju oferują zaproszenia do spędzenia wolnego czasu na różnego rodzaju ezoterycznych targach, festiwalach, ale też kursach organizowanych zresztą w bardzo zacnych przybytkach kultury, np. pałacach i pałaczkach czy gmachach ośrodków wyższych uczelni, na uniwersytetach i politechnikach.

EZOTERYCZNY KAMUFLAŻ

Często uczestnicy ezoterycznych warsztatów nie zdają sobie sprawy, w czym realnie biorą udział. Ezoteryzm lubi kamuflaż. I to zarówno jeśli chodzi o język, jak i praktykę. Tu magia rzadko kiedy

nazywa się magią. Jest za to dużo pseudonaukowych teorii. Pseudopsycholog mówi o terapii i zdrowiu, podczas gdy tak naprawdę porusza sprawy z zakresu religii, duchowości itp. Liczy się jednak to, że wyklada osoba, która posługuje się jakimś stopniem naukowym lub dyplomem uczelni. Wielu praktyków ezoteryzmu początkowo przyznaje się do katolicyzmu lub chrześcijaństwa. Według badań na gruncie polskim wśród praktykujących ezoteryzm 98 proc. deklaruje wychowanie w religii katolickiej. Symptomatyczne jest jednak i to, że osoby takie po pewnym czasie dystansują się wobec Kościoła i co ciekawe, także do tradycyjnej rodziny. Jeszcze więcej przyjmuje wrogie postawy wobec samej religii („bo dzielą”), praktyk religijnych i samych osób duchownych. Zaznacza za to przynależności do bliżej nieokreślonego „duchowego kościoła”, podkreśla obecność w „Wielkiej Rodzinie Wszechświata”, a o osobach duchownych mówi coś w rodzaju „nie

potrzebują pośredników w swoim rozwoju ducha i ciała”.

Często też następuje rezygnacja z chrześcijaństwa czy katolicyzmu na rzecz buddyzmu, jogi, medytacji transcendentalnej itd. Osoby takie są przekonane, że „Kościół jest potrzebny, ale tylko na początku drogi” oraz że „modlić się mogą w każdym kościele”, gdyż są „otwarcie na wszystkie religie i kościoły”. Inni potrafią łączyć swoją przynależność do Kościoła i jego praktyk z udziałem w ezoterycznych kursach. Wtedy w mieszkaniu prezentują np. zarówno akcesoria feng shui, jak i symbole wiary katolickiej.

MAGICZNY RYNEK

Istnieje cały rynek usług edukacyjnych, kursów, warsztatów, szkoleń, festiwali itp. Znaczne obszary to szara strefa. Prowadzi się uzdrawianie np. przez energetyzację ciała za pomocą kul energetycznych, wzmacnia biopole stymulatorem energii, używa się diagnozę z tęczówki oka lub ochrania przed szkodliwym promieniowaniem za pomocą różnych odpromienników itp. Mnóstwo sklepów sprzedaje urządzenia kumulujące leczniczą energię, talizmany, akcesoria psychotroniczne, obrazy afirmacyjne, urządzenia pobudzające widzenie aury, zdolności parapsychiczne czy np. „kwantowy aktywator trzeciego oka”.

Ciekawe, że nikt specjalnie nie pragnie potwierdzić skuteczności tych wszystkich cudownych urządzeń, nikt też specjalnie nie wnika w działanie uzdrawiającej tajemnej energii. Przyjmuje się za oczywiste, że sprawy są niemierzalne i nieweryfikowalne. Tylko czasem, gdy prasa opisuje nadużycia, ktoś postawi jakieś niewygodne pytania. Ale za chwilę temat znika.

Przemysł medialny zresztą ów magiczny biznes, przynoszący kolosalne zyski, nakręca. Żeruje na ludzkiej tęsknocie za wszechmocą i wszechwiedzą. Najpierw je odpowiednio rozbudza i podsycą, by następnie zaspokajać. Spójrzmy na komercyjny sukces i zyski choćby autorki serii o Harrym Potterze. Są całe kanały telewizyjne, portale in-

ternetowe, vlogi na YouTube, wydawnictwa książkowe, prasa analogowa, cyfrowa, które doskonale prosperują, przedstawiając swoim odbiorcom wyłącznie komercyjną ezoterykę. W samej Polsce mówimy o miliardowych kwotach wartości tego rynku.

Komercyjna ezoteryka w Polsce jest oficjalną składową rynku usług. Jest tak niemal od ćwierćwiecza. Do-kładnie od 20 kwietnia 1995 r. Wtedy, w ramach walki z bezrobociem (sic!), uchwalono i opublikowano w dzienniku ustaw rozporządzenie o nowych zawodach, podpisane przez Leszka Millera, ówczesnego ministra pracy i polityki socjalnej. Z treści dokumentu wynika, że w Polsce magia, wróżby, czary to usługi wpisane do

Często uczestnicy ezoterycznych warsztatów nie zdają sobie sprawy, w czym realnie biorą udział. Ezoteryzm lubi kamuflaż

czynności oficjalnych kategorii zawodowych. Mają one swoje numery w klasyfikacji zawodów i opis związanych z nimi czynności. Legalne jest też przyuczanie do tych „zawodów”, co znaczy, że istnieje oficjalna „magiczna” edukacja zawodowa. Za sprawą kuriozalnego rozporządzenia Polska zmieniła się w krainę czarów. Dlatego należałoby przede wszystkim zapytać o model prawa tworzonego w Polsce po 1989 r. Wynika bowiem, że na cuda i magię postawiono tu od co najmniej 25 lat.

Z całym ezoterycznym bazarem od jakiegoś czasu zaczęli robić porządek Włosi, wzięto się za to także w Niemczech. Tam prawnicy wyszukiwali anonsy fikcyjnych usług wróżbiarsko-uzdrowicielskich, traktując sprzedających jak zwykłych oszustów. Jednak to dopiero początek. Czy będą oczekiwane efekty tych działań?

TAJEMNY ŚWIAT I REALNE PIENIĄDZE

Zwłaszcza że do gry włączeni są celebryci, ludzie show-biznesu, kultury, mediów, świata mody, ale też polityki, którzy ulegają fascynacji ezoteryką i propagują ją w mediach na różne sposoby. Michail Gorbaczow np. jest od wielu lat zwolennikiem Inicjatywy Religii Zjednoczonych (United Religions Initiative – URI). To organizacja, która dąży do utworzenia duchowego odpowiednika Organizacji Narodów Zjednoczonych, mającego łączyć w sobie „wszystkie religie, sposoby wyrażania duchowości i pierwotne tradycje”. Inicjatorzy tego ruchu wzywają do od dawania czci wspólnemu bogu w imię zasady, że wszystkie religie są równie prawdziwe, a na szczycie owej góry wierzeń stoją „ezoteryczni wyznawcy każdej religii”, którzy „intuicyjnie czują, że są wtajemniczeni na najwyższym poziomie wraz z ludźmi wyznającymi wszystkie inne religie”. Organizacja ma pieniądze na szerzenie swoich pomysłów. Jednym z jej zwolenników jest np. George Soros oraz niektórzy bardzo bogaci senatorowie partii demokratycznej z USA.

Cała przewrotność bazarowego okultyzmu nie tkwi nawet w nadużyciach materialnych i podatkowych, lecz w jego przekazie i przesłaniu. Medytacje z aniołami i delfinami, ezoteryczne praktyki seksualne, pomiar właściwości parapsychicznych, praktyki wróżebne jako część diagnostyki stanu psychicznego i duchowego, to działania z góry akceptowane. Ci, którzy je wykonują, nie potrzebują na nic dowodów. Każdego, kto neguje ich potrzeby, uznają za wroga. Nieopanowana potrzeba kosmicznych przewodników, boskich energii, głosów i opiekunów przypomina fanatyzm, stan uwiedzenia lub narkotyczny głód. Warto to widzieć i obserwować, by nie pozwolić się mamie różnym magicznym łowcom. A od władzy ustawodawczej żądać zmiany panującej legislacji, legitymizującej seanse jasnosłyszenia, leczenie energiami, wróżenie z fusów herbaty czy sprzedaży magicznych zaklęć i czarów.



Wariant izraelski

Czy jeśliby nie doszło do „historycznego porozumienia” z Rosją (na co mało wskazuje), Ukraina wybierze „wariant izraelski”? Odgrodzi się od Donbasu murem na wzór tego, który rozgranicza tereny autonomii palestyńskiej od Izraela. I zajmie się przede wszystkim odbudową gospodarki i reformowaniem kraju, a do kwestii reintegracji wróci za kilka lat, kiedy rachunek sił będzie bardziej korzystny dla Kijowa

Kiedy kończyły się paryskie rozmowy w ramach tzw. formatu normandzkiego na Bankowej, gdzie mieści się w Kijowie siedziba ukraińskiego prezydenta, słychać było najprawdopodobniej westchnienie ulgi albo, inaczej rzecz ujmując, odgłos spadającego kamienia. Spadł on z serca zgromadzonym tam manifestantom, wezwanym wspólnie przez trzy największe opozycyjne frakcje w Radzie Najwyższej skupiające zwolenników byłego prezydenta Poroszenki, byłej premier Julii Tymoszenko oraz Światosława Wakarczuka. Obawiali się oni, że młody i niedoświadczony ukraiński prezydent, naciskany przez tandem prezydenta Francji i kanclerz Niemiec, chcących porozumienia z Moskwą, ustąpi pod ich presją i przekroczy „czerwone linie”, za którymi rozciąga się przestrzeń zdrady ukraińskiego interesu narodowego.

Nic takiego się nie stało, a nawet więcej, w zgodnej opinii międzynarodowych ekspertów i obserwatorów Zelenski pora-



MAREK BUDZISZ

dził sobie w Paryżu nadspodziewanie dobrze, co wielu skłoniło do typowania wyniku pojedynku Kijów–Moskwa na remis ze wskazaniem na zwycięstwo Ukrainy. Za największy sukces ukraińskiej dyplomacji uznać trzeba nie to, co zapisano w porozumieniu kończącym spotkanie, choć nie można lekceważyć wymiany jeńców, trwałego zawieszenia ognia czy rozdzielenia walczących stron w trzech

kolejnych punktach, ale deklarację niemieckiej kanclerz, która powiedziała, że „porozumienia mińskie nie są wykute z kamienia”. To jest obecnie istota sporu między Rosją a Ukrainą i oto w istocie toczy się gra.

ROSJA: DROGA DO UTRATY WSZYSTKIEGO

Kijów jest zdania, że porozumienie to trzeba napisać na nowo, a Moskwa, wręcz przeciwnie, że warunkiem jakiegokolwiek postępu jest literalne wdrożenie zapisów sprzed pięciu lat.

Władimir Putin na konferencji prasowej kończącej szczyt zagroził nawet, że próba renegotjacji tych zapisów może doprowadzić „do utraty wszystkiego”. Kijów jest zaś zdania, że najpierw musi odzyskać kontrolę nad wspólną granicą, a dopiero potem można przeprowadzić w tzw. republikach ludowych Doniecka wybory, bo w przeciwnym razie nie będą one ani wolne, ani demokratyczne, a porozumienie w gruncie rzeczy doprowadzi do tego, że Moskwa uzyska trwały wpływ na wewnętrzną politykę Ukrainy.

Już po szczycie normandzkim Putin jeszcze zaostriżył rosyjskie stanowisko, mówiąc, że przekazanie Kijowowi granicy może doprowadzić „do drugiej Srebrenicy”, zapominając przy tym, że masakry w bośniackiej miejscowości dokonali ówcześni sojusznicy Moskwy, których zresztą Kreml nadal wspiera. W Kijowie słowa te odebrano jako jednoznaczne zakreslenie granicy, której Rosja nie zamierza przekroczyć.

Do opinii publicznej dociera też coraz więcej informacji i ocen na temat przebiegu paryskich rozmów. Rzecznik Kremla Pieskow powiedział mediom, że „nie osiągnięto historycznego porozumienia”, wiceminister spraw zagranicznych Andriej Rudenko ujawnił, że „momentami rozmowy były bardzo nerwowe, a uczestnicy podnosili głos”. Tę ostatnią opinię potwierdza wypowiedź Zelenskigo na konferencji prasowej, kiedy ubolewał, że nie był w stanie poruszyć w trakcie spotkania kwestii Krymu, bo 45 minut zajęła bardzo nerwowa rozmowa na temat przerywania wymiany ognia i wymiany jeńców.

Pawło Klimkin, były ukraiński minister spraw zagranicznych, w artykule napisanym już po szczycie paryskim, stwierdził, że „postawa Rosji, jeśli idzie o kwestię przekazania kontroli nad wspólną granicą Kijowowi, zawsze była żelazobetonowa”. Innymi słowy, trudno liczyć na postęp, raczej mamy pat. Nie jest to zresztą wielkie zaskoczenie dla uważnych obserwatorów, bo już w październiku w wywiadzie dla Agencji TASS Aleksiej Czesnokow, rosyjski politolog i bliski współpracownik nadzorującego „republiki ludowe” Donbasu Władisława Surkowa, powiedział wprost, jakie są intencje Moskwy. Po pierwsze, jego zdaniem, podpisanie przez Kijów zgody na tzw. formułę Steinmeiera to dopiero pierwszy, dobry, ale wcale nie jedyny i wcale nie najważniejszy krok w kwestii Donbasu. W jego opinii nie ma jeszcze powodów do radości, bo formuła Steinmeiera stanowi dopiero opisanie procedury wprowadzenia specjalnego statusu prawnego dla tzw. republik ludowych – ługańskiej i donieckiej. Równie ważne, a może nawet ważniejsze niż kwestie proceduralne jest to, w jaki sposób nowe ustawodawstwo Ukrainy w tym względzie będzie skonstruowane.

I tu rosyjski politolog i kremlowski doradca ma sporo do powiedzenia. Otóż, jego zdaniem, jednym z istotnych problemów jest dalsze funkcjonowanie „milicji ludowych” obydwu „republik”, a to przecież już dziś kilkadziesiąt tysięcy ludzi pod bronią. Podobnie szczegółowych regulacji wymagać będą kwestie, w jaki sposób będzie nauczany na wschodzie Ukrainy język rosyjski i jak wymierzana będzie sprawiedliwość. I przynajmniej te trzy sprawy, ale w praktyce zapewne sporo więcej, wymagają rozmów władz z Kijowa z „władzami” z Ługańska i z Doniecka. I to jest wyraźny postulat Rosji,

która od dawna to powtarza i z czego nie zamierza rezygnować – rozmowy muszą być toczone na tym właśnie szczeblu. A to w praktyce oznacza uznanie przez Kijów władz w zbuntowanych prowincjach jako partnera do rozmów.

Czesnokow mówi otwarcie – Kijów jeszcze nie zrozumiał, że żadnego przekazania kontroli nad rosyjsko-ukraińską granicą ukraińskim wojskom nie będzie. Kontrola ma być przekazana „milicjom ludowym” po tym, jak zostaną one uznane przez Kijów i zalegalizowane, co będzie też oznaczać, jego zdaniem, formalne wypełnienie przez Moskwę porozumień mińskich. „Warto być realistą” – konkludował Czesnokow. „Ukraina w ostatecznym rachunku będzie miała raczej symboliczną, a nie realną suwerenność nad Donbasem. Nie powinna liczyć na cokolwiek więcej. Więcej od realizacji porozumień mińskich nie może się spodziewać”.

UKRAINA: MUR, A POTEM ZOBACZYMY

Po paryskim szczycie nie ma powodów, aby sądzić, że Ukraina i prezydent Zelenski zgodzą się na taką formułę porozumienia z Rosją. Ale jeśli tak jest, to pojawia się pytanie, jaki jest plan B Kijowa.

Otwarcie o tym, co Ukraina może i zamierza zrobić, jeśli by nie doszło do „historycznego porozumienia” z Rosją, mówił w trakcie konferencji w brytyjskim Chatham House Andrij Jermak, główny obecnie architekt polityki zagranicznej administracji Zelenskigo. Otóż wówczas, jak po-

REKLAMA



Zarabiaj stałą kwotę przez cały rok
delektując się nadmorskim klimatem!

Solny Resort znajduje w spacerowej
odległości od brzegu morza
i piaszczystej plaży zaraz przy
Międzynarodowej Trasie Rowerowej
R10.



✉ biuro@solnyresort.pl

☎ +48 728 747 600

www.solnyresort.pl

38/12/19/F

wiedział, Kijów wybierze „wariant izraelski”. Odgrodzi się, również fizycznie, budując na granicy z Donbasem mur, na wzór tego, który rozgranicza tereny Autonomii Palestyńskiej od Izraela. Zajmie się swoimi sprawami, czyli odbudową gospodarki i reformowaniem kraju, a do kwestii reintegracji wróci za kilka lat, kiedy rachunek sił będzie bardziej korzystny dla Ukrainy.

Jeśli uważnie przeczyta się artykuł Wołodymira Zelenskigo zamieszczony niedawno w brytyjskim tygodniku „The Economist”, to w gruncie rzeczy przebiega z niego podobny sposób myślenia i formułowania podstawowych zadań dla kraju. „W 2019 r. – pisze Zelenski – Ukraińcy postanowili, że potrzebują nie rozmów o reformach, ale rzeczywistych reform. Nie wojny z korupcją, która nie ma końca, ale zwyciężenia jej”. W efekcie nastąpiła tektoniczna zmiana w ukraińskiej polityce i do władzy doszli ludzie, których jedynym zadaniem i mandatem jest „pchnąć sprawę” do przodu, zagwarantować, że kraj wreszcie zacznie się rozwijać. Realistycznie oceniając możliwości własnego kraju, prezydent Ukrainy pisze, że brak jest perspektywy, iż uda się w krótkim czasie odbudować jego potencjał gospodarczy czy militarny, tak aby móc się równać z największymi graczami. Nie pozwala zresztą na to ani potencjał ludnościowy, ani narastające przez lata zaniedbania. Ale jest, zdaniem Zelenskigo, jedna dziedzina, w której Ukraina może zostać liderem w skali świata. Chodzi o tempo zmian, głębokość reformowania własnej gospodarki i determinację w realizacji rynkowej rewolucji. Warunkiem koniecznym tej rewolucji jest pokój zawarty na warunkach ukraińskich. Jest on potrzebny przede wszystkim po to, aby zamykając ten etap historii kraju, móc całą energię społeczną skoncentrować na zmianach, rozwoju, pościgu za rozwiniętym i uciekającym Ukrainie światem. I te zmiany, rozpoczęte w 2019 r., jeszcze w przyszłym roku mają przyspieszyć.

Trudno jednak posądzać ukraińskiego prezydenta o nadmierny optymizm w kwestii Donbasu i wierę, że cudownym zrządzeniem losu uda się wdrożyć w życie „ukraińskie warunki” pokoju w Donbasie. Chyba że rozumieć je nieco inaczej, niżli się to na pierwszy rzut oka wydaje. W wywiadzie dla amerykańskiego tygodnika „Time” pytany o to, czy ufa Putinowi, Zelenski, uchylając się od odpowiedzi wprost, odpowiedział, że „generalnie nikomu nie ufa”, a wcześniej mówił, iż przeprowadzenie wyborów w Donbasie zakłada nie tylko dobrą wolę ze strony Ukrainy, lecz również udowodnienie przez Rosję, że takim przebiegiem procesu pokojowego „jest bardzo silnie zainteresowana”. Mówił też, że tak długo,

jak jest prezydentem, nie pozwoli, aby na Ukrainie zwyciężył pogląd „wyznawany przez niektóre gorące głowy”, aby zajęte przez Moskwę tereny „odbić z bronią w rękę”. Z kolei w artykule dla „The Economist”, pisząc o pokoju, sprowadza go w gruncie rzeczy do zaprzestania wzajemnych ostrzałów na linii rozgraniczenia.

TURBOPRZYSPIESZENIE

Obraz, jaki można rekonstruować na podstawie wypowiedzi Zelenskigo, jest następujący: Ukraina będzie rozmawiać o pokoju w Donbasie, ale nie o kapitulacji, federalizacji kraju i de facto uzależnieniu sytuacji wewnętrznej od decyzji zapadających na Kremlu. Jeżeli niemożliwe okaże się przyłączenie donieckich „republik ludowych” do macierzy, to przynajmniej trzeba osiągnąć trwale zawieszenie broni, nie rezygnując z prób rewindykacji własnych terenów, jednak rzeczywiste działania odsuwając na lepsze czasy. Dziś należy myśleć o tym, aby te lepsze czasy nadeszły, aby skończył się czas ukraińskiej smuty i państwo odbudowało swe możliwości. Zdaniem Zelenskigo i jego ekipy bez turboprzyspieszenia reform wewnętrznych nie da się tego zrobić. I na tym trzeba skoncentrować wysiłek całego narodu.

Czy osiągnie się to, budując na granicy mur, tak jak dowodził w Londynie Andrij Jermak, czy raczej wprowadzając na obszar republik ludowych, w tym przede wszystkim na granicę, międzynarodowe siły rozjemcze OBWE, o czym w wywiadzie dla telewizji Hromadske mówił niedawno Aleksiej Reznikow, przedstawiciel Ukrainy w mińskiej grupie

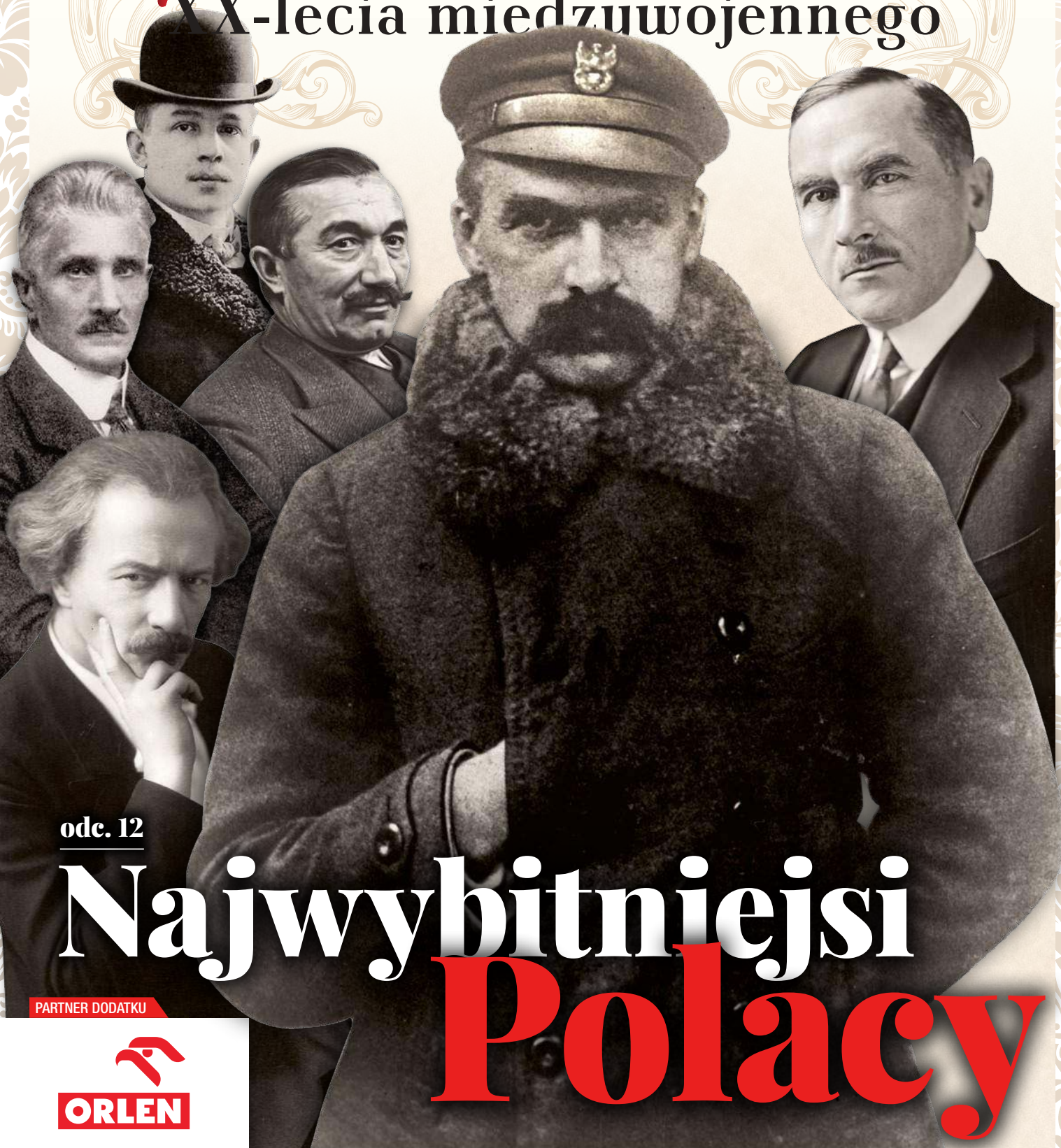
kontaktowej, jest w gruncie rzeczy pytaniem o rozwiązania techniczne. Kluczowe jest to, by Ukraina przestała myśleć i żyć wojną oraz marzeniami o odzyskaniu utraconych terenów, a zajęła się reformami.

Co ciekawe, podobny pogląd zaczyna się pojawiać również wśród liberalnych zwolenników Ukrainy za oceanem. Aleksander Motyl na łamach „Foreign Policy” niedawno napisał, że ewentualna reintegracja Donbasu będzie dla Ukrainy przedsięwzięciem niezwykle trudnym, czasochłonnym i kosztownym. A przy tym, nawet jeśli się uda, oznaczać będzie przyłączenie na powrót do kraju elementów na wskroś prorosyjskich, mogących niekorzystnie wpływać na prozachodnie i europejskie cele polityki gospodarczej i wojskowej Kijowa. Patrząc na to z tej perspektywy, amerykański politolog ukraińskiego pochodzenia zastanawia się, czy gra jest warta świeczki. I prowokuje w tytule swojego eseju: „Nadszedł czas, aby Ukraina zgodziła się na odejście z Donbasu”.

Za największy sukces ukraińskiej dyplomacji trzeba uznać nie to, co zapisano w porozumieniu kończącym grudniowe spotkanie w Paryżu, ale deklarację niemieckiej kanclerz, która powiedziała, że „porozumienia mińskie nie są wykute z kamienia”

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego



odc. 12

Najwybitniejsi Polacy

PARTNER DODATKU



ORLEN

Droga Naczelnika

Nie da się opisywać II Rzeczypospolitej bez wymienienia co najmniej kilkakrotnie nazwiska najważniejszej postaci polskiego międzywojnia. Ojciec niepodległości, jednoosobowa dominująca siła polityczna, człowiek, którego słowo znaczyło przed 100 laty niemal wszystko. Pomimo wielu kontrowersji związanych z Józefem Piłsudskim (1867–1935) możemy być pewni jednego – bez niego II RP by po prostu nie było. Pryncypialny, trudny w kontaktach, szorstki w przyjaźniach, bezwzględny wobec przeciwników, na pierwszym miejscu zawsze stawiający ojczyznę



Józef Piłsudski pochodził ze szlacheckiej rodziny, a jego rodzice mieli pokaźny majątek na Wileńszczyźnie. Nietrafione decyzje biznesowe spowodowały jego niemal całkowity przepadek, więc przyszły Naczelnik Państwa późne dzieciństwo spędził nie w szlacheckim dworku, lecz pośród wileńskich ulic. Rodzice byli polskimi patriotami do szpiku kości i takie też wartości zaszczipiali swojemu licznemu potomstwu, a Józef wraz ze starszym bratem Bronisławem już jako nastolatki buntowali się przeciwko rusyfikacji panującej w szkołach. Niesforni bracia związali się z rosyjską organizacją rewolucyjną, a w związku z zamachem na życie cara trafili na zsyłkę. Józef wrócił z Syberii do Wilna po pięciu latach i szybko związał się ze środowiskiem socjalistów, angażując się w działalność Polskiej Partii Socjalistycznej. Redagował „Robotnika” i akcentował potrzebę walki o niepodległość Polski, co przysporzyło mu przeciwników w szeregach mniej patriotycznie nastawionych kolegów z partii. Przełom wieków przyniósł Piłsudskiemu zmianę stanu cywilnego (i związaną z tym zmianę wyzna-

nia z katolickiego na protestanckie), kolejne aresztowanie i podróże po świecie, podczas których starał się załatwić wsparcie dla sprawy polskiej. W 1904 r. walecznie nastawiony socjalista zaczął działać w Organizacji Bojowej PPS, która miała metodami terrorystycznymi podkopywać władzę rosyjską za polskich ziemiach, a później stanął na czele rozłamowej PPS – Frakcji Rewolucyjnej, w ramach której przeprowadził sławną rabunkową akcję pod Bezdanami.

Piłsudski główną przeszkodę na drodze do niepodległości widział w Rosji, więc rozpoczął współpracę ze służbami Austro-Węgier. W 1908 r. powołał do życia Związek Walki Czynnej we Lwowie, a w 1912 r. został głównodowodzącym ruchu strzeleckiego. W obliczu wybuchu I wojny światowej Piłsudski zarządził mobilizację i zorganizował w Krakowie I Kompanię Kadrową, która stała się zalążkiem Legionów Polskich, oraz działającą na terenie wszystkich zaborów tajną Polską Organizację Wojskową. Nieporozumienia z politykami polskich władz administracyjnych doprowadziły do krótkotrwałego wycofania się Komendanta z działań wojennych, ale już pod

koniec 1916 r. został członkiem Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie. Zmiana sytuacji na frontach i odmowa złożenia przez żołnierzy Legionów przysięgi na dotrzymanie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier poskutkowało pozostawieniem Piłsudskiego od lipca 1917 r. w niemieckiej niewoli w Magdeburgu. Rok później chaos towarzyszący rewolucji listopadowej pozwolił na uwolnienie polskiego dowódcy, który 10 listopada 1918 r. wylądował na dworcu w Warszawie. Nazajutrz warszawska Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu zwierzchnictwo nad Wojskiem Polskim, a ten przystąpił do tworzenia pierwszego rządu niepodległego państwa na bazie istniejącego od kilku dni Tymczasowego Rządu Ludowego RP w Lublinie. Chwilę później Komendant został tymczasowym Naczelnikiem Państwa, a miano to stało się kolejnym z jego licznych pseudonimów.

W pierwszych latach istnienia II RP Piłsudski jako Naczelnik musiał się mierzyć z całym mnóstwem problemów. Ciągłe negocjacje z siłami pravicowymi, mającymi kontrolę nad terenami odzyskiwanymi spod zaboru niemieckiego oraz będącymi reprezentacją państwa na Zachodzie, walki z Ukraińcami, ustalanie statusu Wilna czy w końcu kluczowa wojna z bolszewikami sprawiły, że jego autorytet był stale podkopywany, a on sam niejednokrotnie oskarżany o brak rozważy, awanturnictwo czy wręcz zdradę. Kryzysy parlamentarne tylko pogłębiały niechęć Naczelnika do kształtu polskiej demokracji i ku ogólnemu zdziwieniu nie zdecydował się on kandydować w końcu 1922 r. na stanowisko prezydenta, który według konstytucji marcowej miał mieć ograniczone kompetencje. Dzierżący od końca 1920 r. tytuł marszałka Piłsudski coraz bardziej oddalał się od polityki, a zamordowanie prezydenta Gabriela Narutowicza, przejęcie władzy przez endecję i przepychanki nad apolitycznym statusem wojska odsunęły go od niej niemal całkowicie. Zamieszkał w Sulejówku z Aleksandrą Szczerbińską, którą poślubił po śmierci swojej żony w 1921 r., a z którą już od 15 lat łączyły go zażyłe stosunki – para miała dwie córki. Ale charakter Marszałka

nie pozwalał mu na porzucenie myśli o wyleczeniu chorej demokracji młodego państwa. W maju 1926 r. wyruszył na czele wiernych mu wojsk do Warszawy i zaryzykował wojnę domową, do której na szczęście nie doszło. Zakończony sukcesem zamach stanu życiem przypłaciło 379 osób, przeciwnicy Marszałka z kręgów wojskowych wylądowali w więzieniu, a ze swoich funkcji ustąpili prezydent Stanisław Wojciechowski i premier Wincenty Witos. Tym samym w II RP skończyła się demokracja, a Piłsudski dzierżył odtąd nieformalnie pełnię władzy w państwie.

Każdy kolejny rząd sanacji, czyli piłsudczykowskiemu ruchowi oczyszczenia państwa, był posłuszny Piłsudskiemu, którego słów z uwagą słuchał także prezydent Ignacy Mościcki. Do władzy doszli kompani Marszałka z czasów legionowych, w państwie wykształciła się nowa elita, a system nosił znamiona autorytarne. Z pewnością Piłsudski miał swoje racje, bo przewrót majowy był reakcją na stacjonującą w kraju w otchłań politycznej anarchii, ale, nie bacząc już na kompletne bezprawie wybranego rozwiązania, przymioty organizacyjne i moralne współpracowników Marszałka okazały się zbyt niskie, aby zakładana sanacja mogła dojść do skutku. Piłsudski toczył otwartą wojnę z parlamentem, aż w końcu zdecydował się na rozwiązanie siłowe, wsadzając swoich przeciwników po-

litycznych w 1930 r. do twierdzy brzeskiej i przeprowadzając zmanipulowane w związku z tym wybory. Cztery lata później utworzono miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej, gdzie przetrzymywano bez wyroków komunistów, nacjonalistów i przedstawicieli mniejszości narodowych. W tym czasie Piłsudski usunął się już w cień i skupił na zarządzaniu wojskiem, a stan jego zdrowia stale się pogarszał. Znany wcześniej z ingerowania we wszystkie sprawy państwowe, pod koniec życia nie interesował się nawet zbyt świeżo uchwaloną konstytucją kwietniową. Józef Piłsudski zmarł na raka 12 maja 1935 r. Dzień jego pogrzebu był pierwszym od lat momentem, kiedy zwaśnieni rodacy się zjednoczyli. Przynajmniej na krótką chwilę.

Michał Muzyczuk

Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi. A niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale bardzo kosztownym

Jestem żołnierzem. Kocham żołnierkę i byłem tym, któremu los pozwolił w wielkiej wojnie światowej, gdy wielkie, olbrzymie państwa rzuciły na kartę miliony ludzi, miliardy pieniędzy, cały przepych nowoczesnej techniki, któremu los dał szczęście, żem nie miał w imieniu Polski zginąć w tym tłumie, żem wzniósł ubogi, maleńki domek żołnierza polskiego i nad nim postawił i wywiesił sztandar polski

Gdy myślimy o polskim nacjonalizmie, pierwszym skojarzeniem jest postać Romana Dmowskiego (1864–1939). Autor „Myśli nowoczesnego Polaka” wychował się w Warszawie, gdzie już od czasów szkolnych konspirował w niezgodzie na wszechogarniającą rusyfikację. Jednak z doświadczeń życia pod rosyjskim zaborem wysnuł zupełnie inne wnioski niż jego największy polityczny oponent Józef Piłsudski



Polak nowoczesny

Dmowski szybko piął się w hierarchii najpierw Związku Młodzieży Polskiej „Zet”, a później Ligi Polskiej, którą przekształcił w Ligę Narodową. Za swoją patriotyczną działalność został wydalony z Warszawy, ale już po chwili uaktywnił się we Lwowie, tworząc Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne i redagując „Przegląd Wszechpolski”. Drogę do niepodległości widział nie w „takytyce czynu” uprawianej przez socjalistów, lecz na drodze negocjacji z rosyjskim zaborcą. Uzyskana w ten sposób autonomia miała się w końcu przekształcić w niepodległość i powstanie polskiego państwa narodowego. Głównego wroga dla polskich dążeń upatrywał w Niemczech, dzięki czemu endecja zdobyła znaczne wpływy polityczne pod zaborem pruskim. Sam Dmowski był deputowanym do rosyjskiej Dumy, a jego ugodowe względem cara stanowisko było powodem oskarżeń o zdradę i agenturalność. Po wybuchu I wojny światowej jasno opowiedział się po stronie rosyjskiej w walce z Niemcami, tworząc Komitet Narodowy Polski i wysnuwając wizję słowiańskiego braterstwa.

Okres wojennej zawieruchy Dmowski spędził głównie w zachodniej Europie, gdzie zabiegał o wsparcie różnych państw dla sprawy polskiej. Dzięki jego niewątpliwym

talentem negocjacyjnym utworzony w 1917 r. w Lozannie Polski Komitet Narodowy stał się reprezentacją Polaków wobec państw Ententy, a Józef Haller miał możliwość sformowania we Francji kilkudziesięciotysięcznej Błękitnej Armii, która stała się zalążkiem polskiego wojska. Po porozumieniu z Piłsudskim Dmowski został głównym przedstawicielem odrodzonej Polski na konferencji pokojowej w Paryżu, gdzie w brawurowy sposób przedstawił polskie dążenia terytorialne oparte na wymyślonej przez siebie idei inkorporacyjnej zakładającej polonizację wszelkich włączonych do państwa terenów. Po powrocie do kraju osiadł w okolicach Poznania i stamtąd kierował ruchem narodowym, który stał się dominującą siłą polityczną w Polsce. Po przewrocie majowym założył Obóz Wielkiej Polski i Stronnictwo Narodowe, a w latach 30. z niesmakiem patrzył na podziały w ramach jego obozu politycznego i powstanie Obozu Narodowo-Radykalnego. Nigdy się nie ożenił, był ponoć beznadziejnie zakochany w pierwszej żonie swojego arcyrywa, Józefa Piłsudskiego. Zmarł na zapalenie płuc na Podlasiu na początku 1939 r., a jego pogrzeb stał się wielką narodową manife-

Naród jest jedyną w świecie naszej cywilizacji postacią bytu społecznego, obowiązki względem narodu są obowiązkami, z których nikomu z jego członków nie wolno się wyłamywać: wszyscy jego synowie winni dla niego pracować i o jego byt walczyć, czynić wysiłki, ażeby podnieść jego wartość jak najwyżej, wydobyć z niego jak największą energię w pracy twórczej i w obronie narodowego bytu

stacją, na której nie pojawili się przedstawiciele obozu piłsudczykowski.

Poglądy Dmowskiego dziś są co najmniej kontrowersyjne, w swoich czasach nie były niczym niezwykłym. Niechęć do Żydów i mniejszości narodowych, marzenia o wielkiej katolickiej Polsce, hasło prymatu narodu, fascynacja włoskim wydaniem faszyzmu, bezlitosny realizm polityczny czy dyskusyjna postawa wobec równouprawnienia – to wszystko oczywiście prawda, ale niewątpliwie tezy Dmowskiego były podyktowane jego dążeniem do stworzenia i ugruntowania silnego, mogącego bronić swojej niepodległości, państwa. Co ciekawe, przez całe życie, mimo wskazywania ważnej roli religii i Kościoła w tożsamości narodu, miał wobec Boga stosunek obojętny. Nawrócił się niedługo przed śmiercią.

Michał Muzyczuk

Jestem Polakiem – to słowo w głębszym rozumieniu wiele znaczy. Jestem nim nie dlatego tylko, że mówię po polsku, że inni mówiący tym samym językiem są mi duchowo bliżsi i bardziej dla mnie zrozumiali, że pewne moje osobiste sprawy łączą mnie bliżej z nimi niż z obcymi, ale także dlatego, że obok sfery życia osobistego, indywidualnego znam zbiorowe życie narodu, którego jestem częścią, że obok swoich spraw i interesów osobistych znam sprawy narodowe, interesy Polski jako całości, interesy najwyższe, dla których należy poświęcić to, czego dla osobistych spraw poświęcić nie wolno

Wyklęty Ślązak

Przez wiele lat II Rzeczypospolitej Wojciech Korfanty (1873–1939) był persona non grata – jawnie skonfliktowany z Józefem Piłsudskim, odżegnujący się od narodowców, zażenowany sanacyjnymi porządkami na „swoim” Górnym Śląsku, oskarżany o dyskredytujące przestępstwa, apodyktyczny i krnąbrny. A jednak jeden z najzdolniejszych polityków w polskich dziejach nigdy nie przestał być wierny swojej wizji państwa, a niedawne odsłonięcie pomnika wyklętego niegdyś Ślązaka nieopodał warszawskich Łazienek przywraca należne mu miejsce w historii

Korfanty urodził się u szczytu bismarckowskiego kulturkampfu w górniczej rodzinie w Siemianowicach, a robotnicza proveniencja w drugiej połowie XIX w. na Górnym Śląsku przeważnie oznaczała używanie wasserpólnisch, czyli śląskiej odmiany języka polskiego, oraz głęboką religijność. Był wrogiem germanizacji od najmłodszych lat, a po powrocie ze studiów w Berlinie i we Wrocławiu prowadził katowickiemu ruchowi sokolniczemu. Współpracując z narodowymi działaczami z Wielkopolski, związał się z endecją i trafił do więzienia za antyniemieckie artykuły w redagowanym przez siebie „Górnoślązaku”. Żeby wziąć ślub, musiał jechać do Krakowa, bo za swoje poglądy odmówił mu go bytomski proboszcz. Korfanty odnosił wielkie sukcesy polityczne na zdominowanym dotychczas przez niemiecką katolicką partię Centrum Górnym Śląsku, dostając się jako reprezentant polskiego żywiołu do pruskiego Landtagu i niemieckiego Reichstagu. W niemieckim

Gdyśmy tu walczyli o każdą pięćdziesiątą ziemi polskiej, która więcej jest warta niż całe powiaty na Rusi, odpowiedzialni sternicy naszego państwa szukali szczęścia i sławy pod Kijowem, by później bronić Polski przed bolszewikami aż pod bramami Warszawy. Niemcy zaś ludności Górnośląskiej co dzień obwieszczali o upadku Warszawy, ryczeli nam pod oknami: „Finis Poloniae” (koniec Polski), a setkami i tysiącami marek polskich oblepiali narożniki ulic i dyskretne lokale w restauracjach. W takich warunkach zdobywaliśmy Górny Śląsk dla Polski

parlamencie nie gryzł się w język, a do legendy przeszło jego przemówienie z października 1918 r., w którym postulował przyłączenie do odradzającej się Rzeczypospolitej wszystkich ziem niemieckich z ludnością polską.

Największą aktywnością Korfanty wykazał się w trakcie walk o granice. Najpierw był członkiem Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu w trakcie trwania powstania wielkopolskiego, a później przybył na rodzimą ziemię i walczył o jej przyłączenie do Polski. Pełnił funkcję polskiego komisarza plebiscytowego na Śląsku, a jego zdolności agitacyjne przeszły do legendy. Wobec niekorzystnego dla Polski przebiegu górnośląskiego plebiscytu w maju 1921 r. stanął jako dyktator na czele III powstania śląskiego, dzięki któremu wschodnia część Górnego Śląska z większością przemysłu trafiła w granice II RP. W trakcie powstań śląskich Korfanty był wielokrotnie krytykowany przez podkomendnych za zbyt mało radykalne posunięcia militarne, ale polityk wiedział, że na szeroko zakrojoną pomoc ze strony polskiego wojska uwikłanego w wojnę z bolszewikami nie ma co liczyć. Śląsk ciążył bardziej w stronę wielkopolskiej opcji politycznej niż tej war-

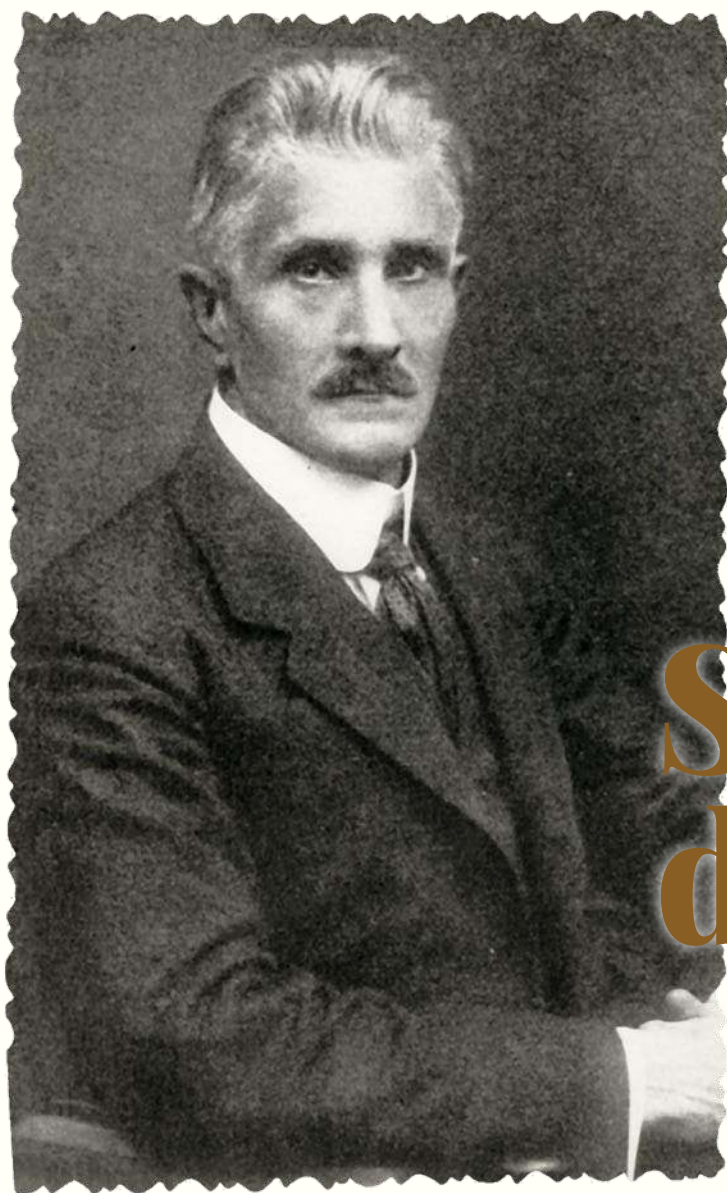
*Cud nad Wisłą uratował Polskę od zguby,
cud nad Odrą dał Polsce Śląsk. Cudu
nad Wisłą i cudu nad Odrą nie stworzył
żaden dyktator, żaden mocarz, który wziął
odpowiedzialność za losy narodu, ale duch
narodu, jego solidarność narodowa, duch
obywatelski i poczucie odpowiedzialności
każdego obywatela*



szawskiej, a skoncentrowanie przez Piłsudskiego wysiłków wojskowych na Kresach Wschodnich było jednym z powodów niechęci Korfantego i Marszałka.

Korfanty został przywódcą polskiej chadecji i bliskim współpracownikiem Kościoła, ale wiedział, że w Warszawie wiele nie ugra. Na Górnym Śląsku zaangażował się w działalność biznesową. Dobre czasy musiały minąć wraz z przewrotem majowym i pełnieniem funkcji wojewody przez lojalnego sanatora i adwersarza z czasów powstań Michała Grażyńskiego. Nienawiść i krewkość obu polityków doprowadziły do brutalnych polemik na forum autonomicznego Sejmu Śląskiego i regionalnej prasy, a także oskarżenia Korfantego przed warszawskim sądem marszałkowskim o malwersacje finansowe. Część zarzutów została potwierdzona, co nadszarpięło autorytet Ślązaka, ale sanacja przedobrzyła, zamykając go w 1930 r. w twierdzy brzeskiej. Korfanty stał się na Górnym Śląsku synonimem ucisku regionu ze strony warszawskiej władzy i zawodu z porządków panujących w odrodzonym państwie, co tylko potwierdził jego przymusowy wyjazd do Czechosłowacji w 1935 r. w obawie przed aresztowaniem. Wrócił po czterech latach i od razu trafił do więzienia. Niektórzy wierzą, że w celi został otruty – zmarł chwilę po zwolnieniu. 20 sierpnia 1939 r. odbył się w Katowicach jego pogrzeb. Uczestniczyły w nim rzesze Ślązaków, dla których postępowanie Warszawy wobec Korfantego było symbolem stosunku stolicy do całego regionu.

Michał Muzyczuk



Polscy socjaliści z początku XX w. w większości nie byli internacjonalami, odżegnywali się od komunizmu w bolszewickim wydaniu i mieli głęboko patriotyczne zapatrywania. Ich przywódcą był Ignacy Daszyński (1866–1936), człowiek do reszty poświęcony sprawie polskiej i jednocześnie sprawie polepszenia robotniczego losu

Socjalista do końca

Daszyński pochodził z urzędniczej rodziny pracującej dla Austro-Węgier i najmłodsze lata spędził nieopodal zamku w Zbarażu, gdzie w połowie XVII w. broniły się polskie siły przed kozacko-tatarskim najazdem. Patriotycznie nastawiony od wczesnego dzieciństwa tułał się po różnych szkołach na terenie Galicji i coraz mocniej interesował się warunkami życia robotników, do których było mu coraz bliżej z racji pogarszającej się sytuacji finansowej. Swój czas dzielił między Kraków i Lwów, skąd kontrolował socjalistyczny ruch sformalizowany w Socjalno-Demokratycznej Partii w Galicji, która już niebawem uzyskała przymiotnik „polska”. Był wielokrotnie

Polska musi być ludową lub upadnie; kto chce Polski silnej, ten podda się ludowi polskiemu. Szlacheckie czy kapitalistyczne rządy w Polsce są niemożliwe, a próba ich utworzenia wywołać musi wojnę domową

zatrzymywany przez zaborcze służby, którym nie podobały się publikowane w prasie artykuły autorstwa Daszyńskiego. W 1897 r. dostał się do austriackiego parlamentu i w tym samym czasie ożenił się z krakowską aktorką Marią Paszkowską, z którą żyli wspólnie przez niemal 40 lat. Daszyński miał realny wpływ na politykę Wiednia. Dzięki swoim umiejętnościom potrafił za pomocą robotniczych manifestacji oddziaływać na poczynania władz centralnych. Mimo że początkowo był przeciwnikiem rozwiązań siłowych, przed I wojną światową bliżej związał się ze środowiskiem Józefa Piłsudskiego i podzielił jego przekonanie o Rosji jako głównej przeszkodzie na drodze do niepodległości. Podczas wojny zasiadał w polskich władzach na terenie Galicji i wspierał ruch legionowy, stopniowo przechodząc na pozycję wroga wobec Austro-Węgier, aż jesienią 1918 r. trafił do Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

W listopadzie 1918 r. stanął na czele lubelskiego Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej grupującego socjalistów i ludowców, który wysuwał dość radykalne postulaty społeczne. Podporządkował

swój gabinet Piłsudskiemu, który widział w Daszyńskim pierwszego polskiego premiera, ale jego osoba była nie do zaakceptowania przez prawą stronę sceny politycznej. Wspólnie z Jędrzejem Moraczewskim i Bolesławem Limanowskim stali się liderami polskich socjalistów, zjednoczonych w jednolitą Polską Partię Socjalistyczną. Daszyński miał wpływ na kształt konstytucji marcowej i założył

Rozpatrując ten szal nacjonalizmu, ze strachem patrząc na przyszłe wojny, które on wywołać może, równie okrutne i bezmyślne, jak były wojny religijne i dynastyczne, przychodzimy do skromnego przekonania, że wady parlamentu nigdy nie są gorsze od wad systemów nieparlamentarnych albo antyparlamentarnych. Czy faszyzm, czy bolszewizm, czy monarchizm zmartwychwstały na gruzach dawnych tronów to są rzeczy tak groźne i ciężkie, że parlament wobec nich jest ostoją dla masy

Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, które przez lata krzewiło oświatę wśród robotników. Mimo pierwotnego wsparcia udzielonego Piłsudskiemu podczas przewrotu majowego później Daszyński stanął w opozycji wobec dawnego politycznego towarzysza. Gdy został marszałkiem Sejmu, starał się w jakiś sposób załagodzić pogłębiający się konflikt sanacji z parlamentem, nie pozwalając na dyktando wojska w Sejmie, ale sprawa była już wtedy przegrana. Daszyński był inicjatorem powstania Centrolewu i wspierał aresztowanych przeciwników władzy. Wielu jego kolegów z PPS złamało się i wsparło sanacyjne porządki, ale on pozostał nieugiętym ideowym socjalistą.

Pogarszający się stan zdrowia nie pozwalał mu w latach 30. na głębsze zaangażowanie się w bieżącą politykę. Swój czas dzielił między leczenie i wspieranie opozycji. Odszedł jako nawrócony katolik pod koniec 1936 r., a w ostatniej drodze na ulicach Krakowa towarzyszyły mu tysiące robotników, o których prawa walczył przez cały okres swojej politycznej działalności. Niejednokrotnie sięgał przy tym po środki, takie jak masowe strajki i demonstracje, które w II RP przynosiły nierzadko krwawe żniwo. Ale w młodym państwie, bez tradycji demokratycznych, jasne i klarowne pokazanie żywiołu milionów ludzi stanowiących jedną trzecią społeczeństwa było konieczne, jeśli chciało się cokolwiek załatwić. Daszyński pozostał im wierny do końca.

Michał Muzyczuk

Siła auto

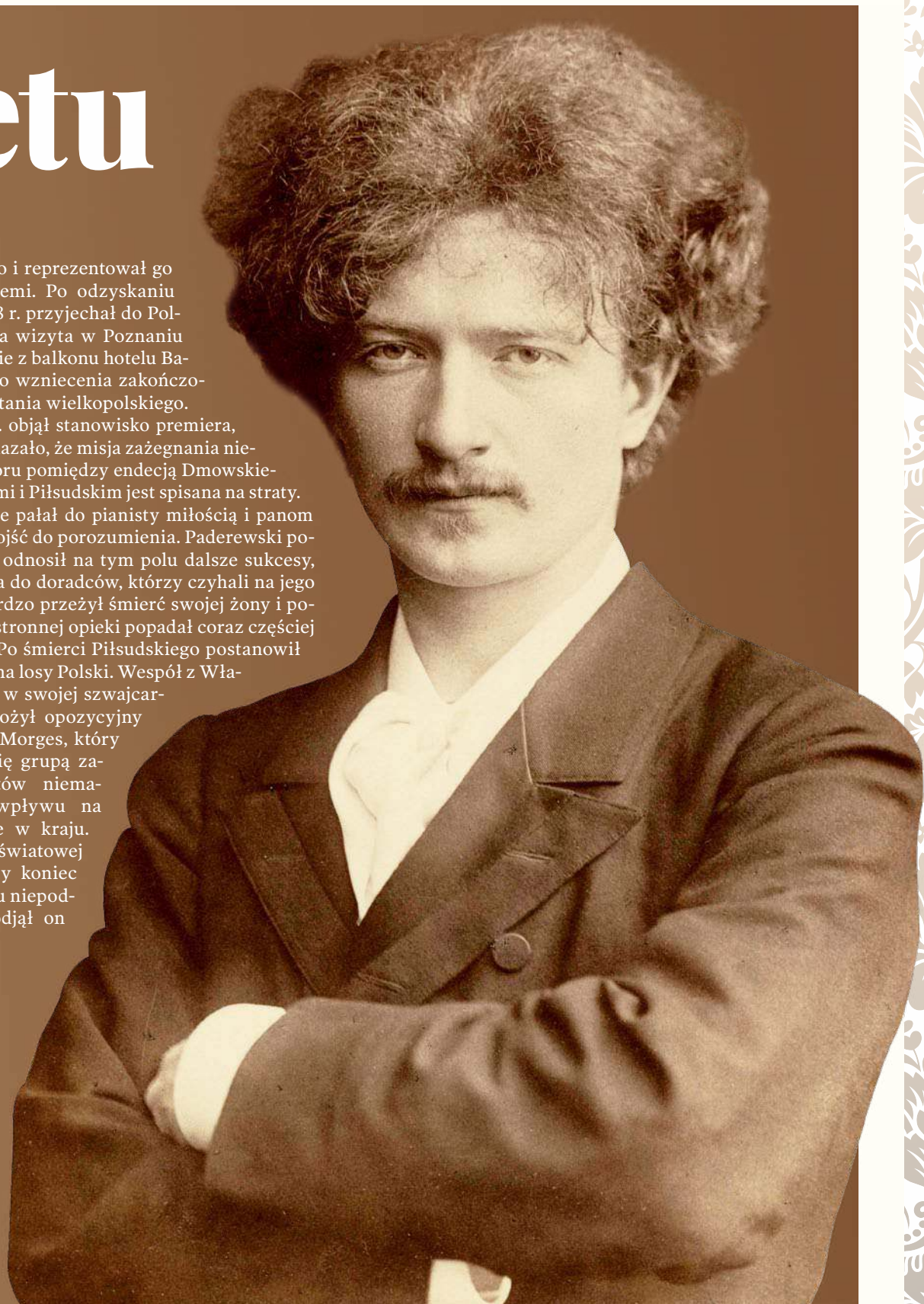
Myśląc o pierwszych latach odrodzonej Polski jedynym człowiekiem, którego powszechny autorytet dorównywał Józefowi Piłsudskiemu, wydaje się Ignacy Paderewski (1860–1941). U progu niepodległości był osobą, która niczego nikomu nie musi udowadniać i może, opływając w luksusy, żyć na Zachodzie, nie przejmując się losem ojczyzny. A jednak się przejął i jego zasługi dla młodego państwa są absolutnie niepodważalne

Rodzina Paderewskiego mieszkała na Kresach Wschodnich, a kult Polski i powstań narodowych był w niej obecny na co dzień. Szybko ujawnił się wielki talent muzyczny Ignacego, który szlifował najpierw w Warszawie, a później podróżując po Europie. Stopniowo zyskiwał coraz większe uznanie, a po niezwykle udanej trasie po Stanach Zjednoczonych stał się gwiazdą światowego formatu. Wszyscy moi tamtych czasów chcieli na własne uszy się przekonać, jak gra mistrz fortepianu. Kobiety go kochały – zabijały się o pukiel włosów z efektownej fryzury mistrza, dzięki Helenie Modrzejewskiej, wspaniałej aktorce, zarobił pierwsze prawdziwe pieniądze, a jego przyszła żona Helena Górską porzuciła z miłości do niego swojego męża. Zresztą Helena Paderewska to też barwna postać, która jako żona rozchwytywanego polityka zachowywała się w sposób co najmniej kontrowersyjny i chciała wpływać na wszelakie poczynania męża. Paderewski nie zapominał o korzeniach – wspierał działania dążące do przywrócenia Polski na mapę, a podczas I wojny światowej podjął wielkie dyplomatyczne wysiłki zmierzające do osiągnięcia tego celu. Nawiązał kontakt z prezydentem USA Thomasem Woodrowem Wilsonem, którego przekonywał do swojej koncepcji zakładającej stworzenie wielkiego państwa złożonego z Polski, Litwy, Polesia i Galicji. Porozumiał się z Komitetem Narodowym Polski

rytetu

Romana Dmowskiego i reprezentował go na amerykańskiej ziemi. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. przyjechał do Polski, a jego grudniowa wizyta w Poznaniu i słynne przemówienie z balkonu hotelu Bazar były impulsem do wzniesienia zakończonego sukcesem powstania wielkopolskiego.

Na początku 1919 r. objął stanowisko premiera, ale dość szybko się okazało, że misja zażegnania nierozwiązywalnego sporu pomiędzy endecją Dmowskiego a siłami lewicowymi i Piłsudskim jest spisana na straty. Zresztą Marszałek nie pałał do pianisty miłością i panom było bardzo trudno dojść do porozumienia. Paderewski poświęcił się muzyce i odnosił na tym polu dalsze sukcesy, ale nie miał szczęścia do doradców, którzy czyhali na jego pokąźny majątek. Bardzo przeżył śmierć swojej żony i pozbawiony jej wszechstronnej opieki popadał coraz częściej w stany depresyjne. Po śmierci Piłsudskiego postanowił raz jeszcze wpłynąć na losy Polski. Współ z Władysławem Sikorskim w swojej szwajcarskiej posiadłości założył opozycyjny wobec sanacji Front Morges, który w zasadzie okazał się grupą zasłużonych emigrantów niemających większego wpływu na wypadki zachodzące w kraju. Wybuch II wojny światowej oznaczał dla pianisty koniec marzeń o zachowaniu niepodległej Polski, ale podjął on



*Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego,
Mickiewicza. Nie zabroniono nam Chopina.
A jednak w Chopinie tkwi wszystko, czego
nam wzbrani: barwne kontusze, pasy
złotem lite, posępne czamarki, krakowskie
rogatki, szlacheckich brzęk szabel,
naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi
zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże
cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki,
modlitwy serc stroskanych, niewoli ból,
wolności żal, tyranów przekleństwo
i zwycięstwa radosna pieśń*

jeszcze jeden wysiłek jako przewodniczący emigracyjnej Rady Narodowej RP, w której zasłynął z podniosłego przemówienia okraszonego słowami: „Nie zginie Polska, nie zginie, lecz żyć będzie po wieki wieków w potęgę i chwale – dla Was, dla nas i dla całej ludzkości”. Poszukując środków na działalność wojenną, podróżował po Stanach Zjednoczonych, gdzie dopadło go zapalenie płuc, z którego już się nie wyleczył. Odszedł jako wielki mąż stanu, który jednak odbił się od polskiej rzeczywistości politycznej. Okazała się ona zbyt brutalna i bezwzględna dla artysty, który nosił w sercu ideę Polski czystej i nieskalanej. Nie przystawał do wojen na górze, ulicznych burd i niewybrednych ataków, na których od zarania dziejów opiera się polityka. Nie był może wielkim politykiem, ale z pewnością jednym z największych patriotów swoich czasów.

Michał Muzyczuk

*Po długich latach niewoli Ojczyzna się
odradza. Odbudować się musi na tych
samyh podstawach, na których tu pierwsza
budowa poczęta została. Żadne najmądrzej
zorganizowane stronnictwo Ojczyzny
odbudować nie zdoła. Do tego dzieła trzeba
zdolności i zgody wszystkich, miłości i siły,
wiary i zaparcia samego siebie, do tego
potrzeba wszystkich sił i wszystkich serc
zespołu*

Chłop z kr

W państwie, w którym trzy czwarte ludności mieszka na wsi, a grubo ponad połowa żyje z rolnictwa, silna polityczna reprezentacja chłopska jest koniecznością. Miano niekwestionowanego przywódcy ruchu ludowego przez całe lata II RP zasłużenie dzierżył Wincenty Witos (1874–1945), ideał, do którego przewodzący ludowcom politycy dążą od dekad. Jak potomek biednej chłopskiej rodziny spod Tarnowa stał się trybunem ludowym?



wi i kości

Historia iście hollywoodzka – w rodzinie nikt nie umiał pisać ani czytać, wokół panowała słynna galicyjska nędza, ale dzięki zaoszczędzonym środkom udało się 10-letniego

Wincentego posłać do szkoły, której zresztą z powodu braku pieniędzy nie ukończył. Wtedy ujawniła się potęga samokształcenia, dzięki której Witos w kolejnych latach dążył do poprawy chłopskiej doli. Piął się w hierarchii Stronnictwa Ludowego, dla którego głównym przeciwnikiem były siły konserwatywne, a w 1908 r. został wybrany na wójta rodzinnych Wierchosławic oraz posła do galicyjskiego Sejmu. Później Witos trafił do wiedeńskiego parlamentu, po czym pokłócony z kierownictwem partii założył swoje własne stronnictwo – PSL „Piast”, które w programie miało zapisane dążenie do utworzenia niepodległej Polski. Po wybuchu I wojny światowej przywódca ludowców trafił do krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Większość wojny minęła wśród galicyjskich polityków na wzajemnych przepychankach, aż w końcu 28 października utworzono Polską Komisję Likwidacyjną z Witosem jako przewodniczącym. Później był członkiem radykalnego Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

W odrodzonym państwie Witos krążył nieustannie wokół szczytów władzy, a największy sprawdzian przyszedł dla niego w lipcu 1920 r., gdy stanął na czele Rządu Obrony Narodowej mającego ochronić Polskę przed bolszewicką katastrofą. PSL „Piast” stało się główną polską siłą centrową, wspierając jednym razem socjali-

stów, a innym endeków. Fiaskiem zakończył się sławetny rząd Chjeno-Piasta z 1923 r. z Witosem jako premierem, który upadał w niesławie związanej z tragiczną sytuacją gospodarczą, krwawymi rozruchami społecznymi czy polaryzacją nastrojów politycznych. Niewątpliwie osiągnięciem ludowców i Witosą było uchwalenie reformy rolnej w 1925 r. (poprzednia, przegłosowana pięć lat wcześniej, okazała się fikcją), choć jej efekty były mocno ograniczone. Ostatni raz na czele gabinetu wójt Wierchosławic stanął w przededniu przewrotu majowego, zresztą w owym czasie premier miał podobne zdanie o kondycji polskiej

demokracji jak Piłsudski. Obalony Witos występował przeciw sanacji i zjednoczył ludowców w Stronnictwie Ludowym, a udział w opozycyjnym Centrolewie przypłacił pobylem w twierdzy brzeskiej i wyrokiem skazującym w procesie brzeskim. Udał się na emigrację do Czechosłowacji i współpracował z Front Morges, kierując z zagranicy wielkimi chłopskimi strajkami.

Witos wrócił do kraju w marcu 1939 r., po czym trafił na krótko do aresztu. Dzień przed niemiecką agresją zmarła jego żona, a w trakcie wojny przebywał kolejno w niewoli niemieckiej, swoim majątku w Wierchosławicach i w niewoli rosyjskiej. Nie skorzystał z propozycji kolaboracji z żadnym z okupantów, choć w 1945 r. był w teorii członkiem komunistycznej Krajowej Rady Narodowej. Pod koniec życia Witos był człowiekiem bardzo wątłego zdrowia, zmarł na zapalenie płuc parę miesięcy po zakończeniu wojny.

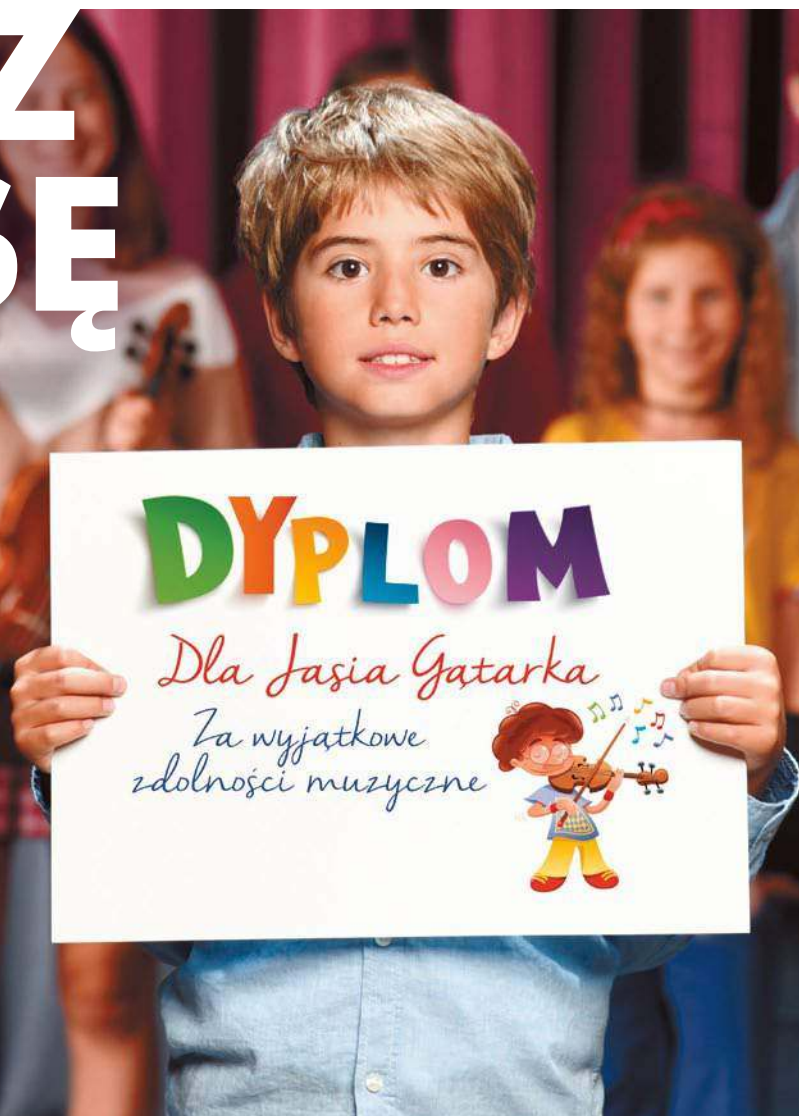
Jego następcą, Stanisław Mikołajczyk, nie zdołał uchronić spuścizny poprzednika i już niebawem niezależny ruch ludowy przestał istnieć. Witos był bez wątpienia ludowcem z krwi i kości, żyjącym na roli i z roli, zawsze chętnym do wysłuchania chłopskich postulatów, a dzięki swojej pozycji starającym się je w trudnych warunkach II RP przeforsować na najwyższych szczeblach władzy. Chłopi w międzywojniu nie mieli łatwego życia, ale ich głos był poprzez Witosą słyszalny, a oni sami zostali dzięki niemu świadomymi polskimi obywatelami.

Michał Muzyczuk

***Chłop zachował w najgorszych
chwilach ziemię, religię i narodowość.
Te trzy wartości dały podstawę
do stworzenia państwa, bez nich nie
moglibyśmy go mieć***

***Gdyby zaszła taka potrzeba, musimy
podjąć walkę na śmierć i życie,
bo lepsza nawet śmierć niż życie
w kajdanach, lepsza śmierć niż podła
niewola. Precz z małodusznością,
precz ze zwątpieniem. Ludowi,
który jest potęgą, wątpić nie wolno
ani rezygnować nie wolno! Trzeba
ratować Ojczyznę, trzeba jej oddać
wszystko – majątek, krew i życie,
bo ta ofiara stokrotnie się opłaci, gdy
uratujemy państwo od niewoli i hańby***

ROBISZ ZAKUPY DAJESZ SZANSE



#DobryKierowca

**Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
PROGRAM STYPENDIALNY DLA DZIECI
Z RODZINNYCH DOMÓW DZIECKA**

Fundacja ORLEN od 2001 roku wspiera kilkaset Rodzinnych Domów Dziecka, fundując stypendia, programy edukacyjne oraz wyjazdy wakacyjne dla ich wychowanków.

Dowiedz się więcej na:
www.dobrykierowca.orlen.pl



ORLEN

2020

Pietrzak
zdradza nam
swoj nowy
pomysl

Rybińska wylicza
najbardziej
absurdalne
pomysły lewicy

Rokita prognozuje,
kto wygra wybory
prezydenckie
w Polsce i USA

Narbutt ujawnia,
jak ukradziono
klejnoty warte
miliard euro

SIECI

Na Nowy Rok



Rok Rafaela, Dudy, Trumpa i Beethovena



Czym będą żyły Polska, Europa i świat w 2020 r.? Oto zestawienie wydarzeń, które nas czekają, i prognoz, jakie będą ich skutki



JAN ROKITA

Izbę Reprezentantów dotyczą „nadużycia władzy” i „utrudniania pracy Kongresu”, ale wroddzy Trumpowi demokraci nie zdecydowali się na zapowiadane wcześniej oskarżenie kryminalne. W procesie przed Senatem będzie to kluczowy argument republikanów w obronie głowy państwa. Można oczekiwać, że Senat uwolni prezydenta od obu zarzutów, co będzie oznaczać istotne wzmocnienie Trumpa przed jesiennymi wyborami.

W marcu będzie już można przewidzieć, kto zostanie rywalem Trumpa w wyborach. Do końca tego miesiąca Partia Demokratyczna rozstrzygnie bowiem swoje wewnętrzne wybory w przeszło połowie stanów. Jeśli do walki z Trumpem ostatecznie stanie wiekowa senator Elizabeth Warren albo młody „Mayor Pete” (czyli burmistrz Pete Buttigieg z Indiany) – czyli kandydaci partyjnej lewicy – to w listopadzie Trump poradzi sobie z każdym z nich z łatwością. Trudniej mu będzie, jeśli prawybyry wygra któryś z kandydatów centrowych: były wiceprezydent Joe Biden albo zwłaszcza miliarder Michael Bloomberg. Mało prawdopodobne, by nominację demokratów dostał ktoś spoza tej czwórki. Intuicyjnie stawiam na Bloomburga, ale dziś jest to jeszcze wróżenie z fusów.

Marzec będzie także czasem sprawdzenia własnych sił przez Emmanuela Macrona. We francuskich wyborach komunalnych prezydent chce bowiem doprowadzić do usunięcia socjalistki Anne Hidalgo z merostwa Paryża i zastąpić ją swoim protegowanym Benjaminem Griveaux. Rok 2020 zacznie się dla Macrona frontalnym konfliktem społecznym wokół reformy emerytalnej. Prezydent będzie dążyć do tego, aby jeszcze przed wakacjami przeforsować w Zgromadzeniu Narodowym unifikację branżowych systemów emerytalnych, których we Francji jest 42. Ale w ten sposób wypowiada wojnę liczny i uprzywilejowanym grupom zawodowym (np. nauczycielom czy kolejarzom). Głosowanie reformy będzie zapewne odłożone na czas po wyborach komunalnych, więc jeśli Macron przegra symboliczną batalię o Paryż, przeciwnicy rzucą mu się do gardła. Wówczas jeszcze wiosną trzeba się będzie spodziewać – kto wie, czy nie najsilniejszej – fali rewolty ulicznej w Paryżu i innych miastach. Z kolei upadek reformy oznaczać będzie nie tylko ośmieszenie Macrona w kraju, lecz i dolegliwe osłabienie Francji na arenie europejskiej. Tak więc również ambitne plany przebudowy

W Europie polityczny rok 2020 zacznie się od brexitu, który w końcu stanie się faktem. Zgodnie ze sławnym hasłem Borisa Johnsona: „Let’s get Brexit done”, z którym miażdżąco wygrał on grudniowe wybory. Co więcej, na przekór temu, co pisano w tysiącach komentarzy i analiz, brexit odbędzie się w sposób kontrolowany i na warunkach w miarę korzystnych dla Anglików. Tak więc Wielka Brytania kończy ponury rok politycznej smuty, którą zawdzięczała bodaj najgorszemu premierowi (Therese May) oraz najgorszej Izbie Gmin w ciągu ostatniego półwiecza. Miarą politycznej wielkości Johnsona będzie teraz to, czy w ciągu 2020 r. uda mu się przywrócić krajowi poczucie jedności („Let the healing begin” – to hasło premiera na nowy rok) oraz doprowadzić do korzystnych dla Brytanii umów handlowych z USA i UE. Finalizacja tej pierwszej w trakcie 2020 r. jest bardziej prawdopodobna niżli tej ostatniej, bo rozdrażniona Bruksela będzie zapewne nadal kopać pod Johnsonem dolki.

Za to świat będzie oczekiwać na wynik procesu Donalda Trumpa, jaki zapewne **w styczniu** zacznie się w amerykańskim Senacie. Dwa zarzuty postawione prezydentowi przez

Unii pod francuskie dyktando, jednoznacznie niekorzystne dla polskiego interesu, mogą wtedy wziąć w łeb. W każdym wypadku Francja pozostanie w tym roku najbardziej podmiowanym państwem UE (to zresztą nic nowego).

Kwiecień będzie w Europie miesiącem kultury: upływa bowiem 500 lat od śmierci Rafaela (w wieku 37 lat). A twórca florenckiej „Madonny della seggiola” to ktoś, kto zdefiniował nasze zachodnie pojmowanie idei piękna. Na największą wystawę dzieł Rafaela warto się będzie wybrać do rzymskich stajni papieskiego pałacu na Kwirynale, czyli jednej z najlepszych galerii wystawowych na świecie. Ale mniejsze wystawy odbędą się także w Urbino (miejscu narodzin artysty), Mediolanie, Londynie i Paryżu.

Wspominając chwałę swojego dawnego renesansu, Włochy będą się jednak pogrążać w podwójnym kryzysie: politycznym – z powodu niepopularnego lewicowego rządu, zwalczanego przez charyzmatycznego Matteo Salvinię, i ekonomicznym – z racji znów słabnącego PKB i nędznej konkurencyjności włoskiej gospodarki.

W maju się rozstrzygnie, kto na następne pięć lat zostanie prezydentem Polski. Są co najmniej trzy powody, aby prognozować, że nadal będzie to Andrzej Duda. Po pierwsze, w ciągu pierwszego półrocza będziemy obserwować nieustanne słabnięcie Platformy próbującej za wszelką cenę obalić swojego szefa, pogrążonej we frakcyjnych konfliktach, a na dodatek niszczonej od środka intrygami Tuska. Tymczasem wybory prezydenckie są w Polsce faktycznie wyborami partyjnymi, tak więc przewaga PiS będzie kluczowym elementem wyborczej siły Dudy. Po drugie, sukcesowi Dudy będzie sprzyjać jego natura „polityka grzybiarza”, który zwykł się schylać nie tylko po dorodnego prawdziwka, ale nawet po lekko nadpsutą opieńkę. W demokracji tego rodzaju pokora wobec elektoratu sprzyja zwycięstwu. Wreszcie po trzecie, atutem Dudy będzie znaczna liczba i rozproszenie kontrkandydatów. Jeśli dojdzie do drugiej tury (co całkiem możliwe, choć niekonieczne), to podzieleni zwolennicy poszczególnych kandydatów opozycyjnych będą mieć wielką trudność w zmobilizowaniu się do wspólnego głosowania. Ciągłe jest najbardziej prawdopodobne, że w hipotetycznej drugiej turze rywalką Dudy byłaby reprezentująca PO Kidawa-Błońska. Ale jeśli PO pogrąży się w sporach o władzę nad partią, a Kidawa-Błońska rychło się okaże wyraźnie zmęczona, to w pierwszej turze wygrać z nią może kandydat Lewicy, PSL albo niezależny Hołownia.

Niestety do czasu majowych wyborów rząd Morawieckiego nie będzie normalnie rządzić państwem, tylko każdego dnia uprawiać propagandę wyborczą. Polityczna normalność zacznie się w Polsce dopiero od czerwca.

Czerwcowy szczyt G7 nie odbędzie się w posiadłości Trumpa na Florydzie, ale być może w Camp David. Niewykluczone, że Trump doprosi na szczyt kilku przywódców spoza ścisłego siedmioosobowego klubu najbogatszych,

m.in. Putina. Ale nie to będzie mieć tym razem znaczenie. Protagonistami szczytu będą bowiem dwaj liderzy supermocarstw prowadzących z sobą polityczną wojnę o wpływy nad światem: Trump i Xi Jinping. Chociaż w końcówce 2019 r. oba kraje zawarły swego rodzaju minideal co do reguł wzajemnego handlu, to realnego zawieszenia broni w tym „sporze o świat” tak prędko nie będzie. Dlatego choć przed wyborami w USA pewnie nie dojdzie do zaostrzenia wojny handlowej, to kwestia karnych cel amerykańskich i chińskiego odwetu będzie centralnym problemem G7. Czarny scenariusz globalnej gospodarki w roku 2020 może bowiem oznaczać nie tylko słabnięcie światowej koniunktury, lecz także ryzykowny wzrost inflacji, który (jak mówią podręczniki ekonomii) bywa skutkiem wojen handlowych. Tymczasem słabe prognozy

PKB dotyczą zarówno Unii, USA, jak i Chin, a nieprzewidywalne mogą być także skokowe wzrosty cen ropy naftowej. Nic dziwnego, że biznes i bankierzy całego świata będą się z nadzieją i niepokojem przypatrywać wzajemnym relacjom Trumpa i Xi.

Z pewnością jednak rok 2020 nie odwróci wyraźnej zmiany polityki USA, które od czasu Trumpa postanowiły postawić tamę szybkiemu rozwojowi ko-

munistycznych Chin, nie tolerując nieuczciwej konkurencji ani kradzieży technologii. Rywalizacja Chin i Ameryki będzie w 2020 r. absolutnie pierwszoplanowym zjawiskiem na politycznej i gospodarczej mapie świata. Dotyczyć ona będzie także Polski, która nie będzie mieć innego wyjścia, jak zapomnieć o mirażach roztaczanych jeszcze niedawno przez PiS na temat wielkiej współpracy gospodarczej z Pekinem.

Listadowe wybory prezydenta i Kongresu USA będą momentem kulminacyjnym globalnej polityki roku 2020. Trump ma spore szanse, aby je wygrać, a jego przedwyborcza sytuacja jest pod pewnymi względami podobna do sytuacji Dudy w Polsce. Nadal będzie zaciekle zwalczany przez amerykańskie elity i wielkie media (CNN, NBC, „New York Times” czy „Washington Post”), a gwiazdy filmowe i literaci będą w walce z nim uciekać się do wszelkich metod (tak jak ostatnio De Niro oświadczający, iż prezydent „jest idiotą i ma krew na rękach”).

Podobnie jak Duda Trump stanie do wyborów w sytuacji ostrego rozpadu Amerykanów na dwa, mniej więcej równe liczebnie, ale zwalczające się na śmierć i życie partyjne plemiona. Nie będzie na jego korzyść działać również amerykańska gospodarka, słabnąca mimo trzykrotnych w roku 2019 obniżek stóp przez Rezerwę Federalną. Wyborczą siłą Trumpa będzie jednak konsolidacja republikanów wokół jego kandydatury, obalenie w Senacie impeachmentu oraz zaufanie, jakie nadal pokłada w jego polityce amerykańska prowincja. Wobec najsilniejszego (jak dotąd w sondażach) swojego rywala – Bidena – Trump będzie wysuwać zarzuty korupcyjne. To wszystko pozwala prognozować trudne i wahające się

Są co najmniej trzy powody, aby prognozować, że prezydentem nadal będzie Andrzej Duda

do ostatniej chwili zwycięstwo Trumpa. Ale tym razem wybory w USA, aż do chwili ogłoszenia pełnych wyników, mają szansę stać się prawdziwym dreszczowcem.

Również **w listopadzie** w Glasgow odbędzie się kolejny, już 26., światowy szczyt klimatyczny. Po fiasku szczytu maddryckiego z 2019 r., na którym Indie i Chiny zablokowały plan stworzenia globalnego systemu handlu emisjami gazów cieplarnianych, atmosfera wokół ocieplenia klimatu będzie się robić coraz bardziej nerwowa.

Symptomatyczna w tej mierze jest kariera szwedzkiej dziewczynki Greta Thunberg, która odmówiła chodzenia do szkoły, aby walczyć z politykami nieprzejmującymi się – jej zdaniem – klimatycznym zagrożeniem dla świata. I w krótkim czasie stała się globalną celebrytką, ważniejszą nawet od hollywoodzkich gwiazd filmowych. W roku 2020 będą się szerzyć coraz to liczniejsze przejawy tego rodzaju fanatyzmu klimatycznego, wywołując strach milionów zwykłych ludzi. Żaden demokratyczny rząd nie będzie w stanie uciec od presji wynikającej z tego strachu. W czerwcu, podczas Rady Europejskiej, Macron podejmie próbę zmuszenia Polski do przyjęcia reguły tzw. neutralności klimatycznej albo ukarania naszego kraju brakiem dostępu do funduszy transformacyjnych. Z kolei w listopadzie w Glasgow premier Johnson, sam sceptyczny wobec fali fanatyzmu klimatycznego, pragmatycznie zrobi jednak wszystko, aby doprowadzić do uzgodnienia w skali całego globu co najmniej lekko zastrzonych reguł klimatycznych (w stosunku do tego, co uzgodniono w Paryżu w roku 2015) oraz reguł światowego systemu handlu emisjami.

Rok 2020 kończyć się będzie w Europie pod znakiem muzyki, a to za przyczyną **grudniowego** 250-lecia urodzin Beethovena. Główne obchody odbędą się (co naturalne) w Bonn i Wiedniu, ale tak naprawdę będzie to trwające cały rok wielkie święto kultury niemieckiej. W kręgu liberalnej niemieckiej inteligencji „Appassionatę” (a bynajmniej nie opery Wagnera) uważa się za „najbardziej niemieckie dzieło muzyczne w historii”.

Można stawiać zakłady, czy w grudniu 2020 r., czyli w chwili kulminacji beethovenowskich obchodów, Angela Merkel będzie w nich uczestniczyć nadal w roli kanclerza. Podstawy jej rządu będą w tym roku coraz bardziej kruche, zważywszy na to, że nowe szefostwo koalicyjnej SPD otwarcie się opowiada za zerwaniem koalicji. Ale w polityce jedna rzecz to „opowiadać się za czymś”, a całkiem inna to zrobić. Jeśli lewica odesłałaby Merkel na emeryturę (co w każdej chwili teoretycznie może uczynić), to sama musiałaby się zmierzyć z perspektywą przegranych z kretesem wyborów i na dodatek wystąpienia potem w roli przystawki dla nowego „zielonego” kanclerza. Inaczej nie będzie się bowiem dało złożyć żadnego rządu. Ta perspektywa jest dla niemieckiej lewicy tak ponura, że całkiem możliwe, iż nadal będzie ona tolerować „mniejsze zło”, czyli rządy Merkel. Jednak kanclerz i tak przyjdzie się zmierzyć z uwiązaniem tego, co stanowiło dotąd o sile jej kraju: niemieckiego modelu gospodarczego. Liberalna niemiecka gospodarka omsknie się o recesję i będzie wymagać zastrzyków budżetowych (to całkowita nowość w Berlinie), niemiecki eksport zaś zetknie się z kłopotem

postępującej globalnej wojny celnej. To wszystko będzie mieć też spore znaczenie dla polskich wyników gospodarczych, bo jeśli nad Renem coś naprawdę tąpnie, to choćbyśmy robili nie wiem co, to i tak odbije się to tąpnięciem nad Wisłą.

* * *

Tymczasem premier Mateusz Morawiecki w roku 2020 będzie skazany na porzucenie dotychczasowej roli św. Mikołaja, który na każdą okazję ma dla nas, Polaków, nowe prezenty. Systemowy błąd popełniony przez rząd PiS polega na tym, że w szczycie koniunktury, miał oszczędzić trochę zaskórniaków, wydał wszystko, co miał, a nawet trochę więcej. Teraz, gdy koniunktura słabnie, nie będzie więc mógł jej pobudzić zastrzykami budżetowymi (jak właśnie zrobią w tym roku Niemcy), ale będzie musiał lekko zacisnąć pasa. Zaczną zatem rosnać restrykcje podatkowe wobec biznesu, a kontrole fiskusa zaostną jeszcze bardziej niż dotychczas. Pojawiają się nowe podatki, a dotychczasowe jawnie albo po cichu pójdą w górę. Z państwowych spółek rząd będzie wyciskać wysoką dywidendę. A wszystko po to, by ratować zagrożoną w 2020 r. (a najpóźniej w 2021 r.) tzw. regułę wydatkową, która nakazuje budżetowi nie wydawać ponad to, co wynika ze wzrostu PKB. Morawiecki będzie dokonywać cudów, aby to się udało, gdyż na dobrym stanie finansów stoi dziś reputacja Polski w świecie. Jednak jeśli nawet mu się uda, to i tak wszyscy odczujemy to w portfelach.

REKLAMA

wyberz

Radio Wnet



87.8 FM WARSZAWA 95.2 FM KRAKÓW

posłuchaj • zobacz • komentuj

3/12/19/F

Kolonialny kalafior, czyli absurdy lewicy

Czas jest rasistowski, dzieci są bezużyteczne, wegetarianizm ma wpływ na patriariat – aż trudno uwierzyć, że ktoś może wygłaszać takie sądy i na dodatek mieć tytuł naukowy. Ale to się dzieje. Zachodnie uczelnie są pełne propagatorów i wyznawców tego typu bzdurnych idei



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Poprawność polityczna i kultura woke w połączeniu z tzw. virtue signalling (odkrywanie rasizmu, homofobii, seksizmu etc. we wszystkim, w czym się da, i denuncjowanie tych, którzy się tych zbrodni dopuścili) na Zachodzie doprowadziły do zakotwiczenia się badań nad gender i rasizmem na uniwersytetach oraz entuzjastycznego poszukiwania ukrytego (czytaj: rasistowskiego, seksistowskiego, homofobicznego) znaczenia w najbardziej banalnych rzeczach i zachowaniach, jak mleko czy noszenie kółek w uszach. Wszystko może wywołać zgorszenie (trigger). Nawet nieświadomy rasizm czy seksizm stanowi tzw. mikroagresję, która usprawiedliwia makroreakcję (czytaj: histerię). Nie należy też przywłaszczać sobie cudzej kultury lub tylko jej elementów bez pozwolenia. Cultural appropriation to grzech regularnie piętnowany przez lewicowych wojowników na rzecz sprawiedliwości społecznej (spocial justice warriors). Oto kilka absurdalnych lewicowych pomysłów ostatnich lat.

Matematyka jest rasistowska

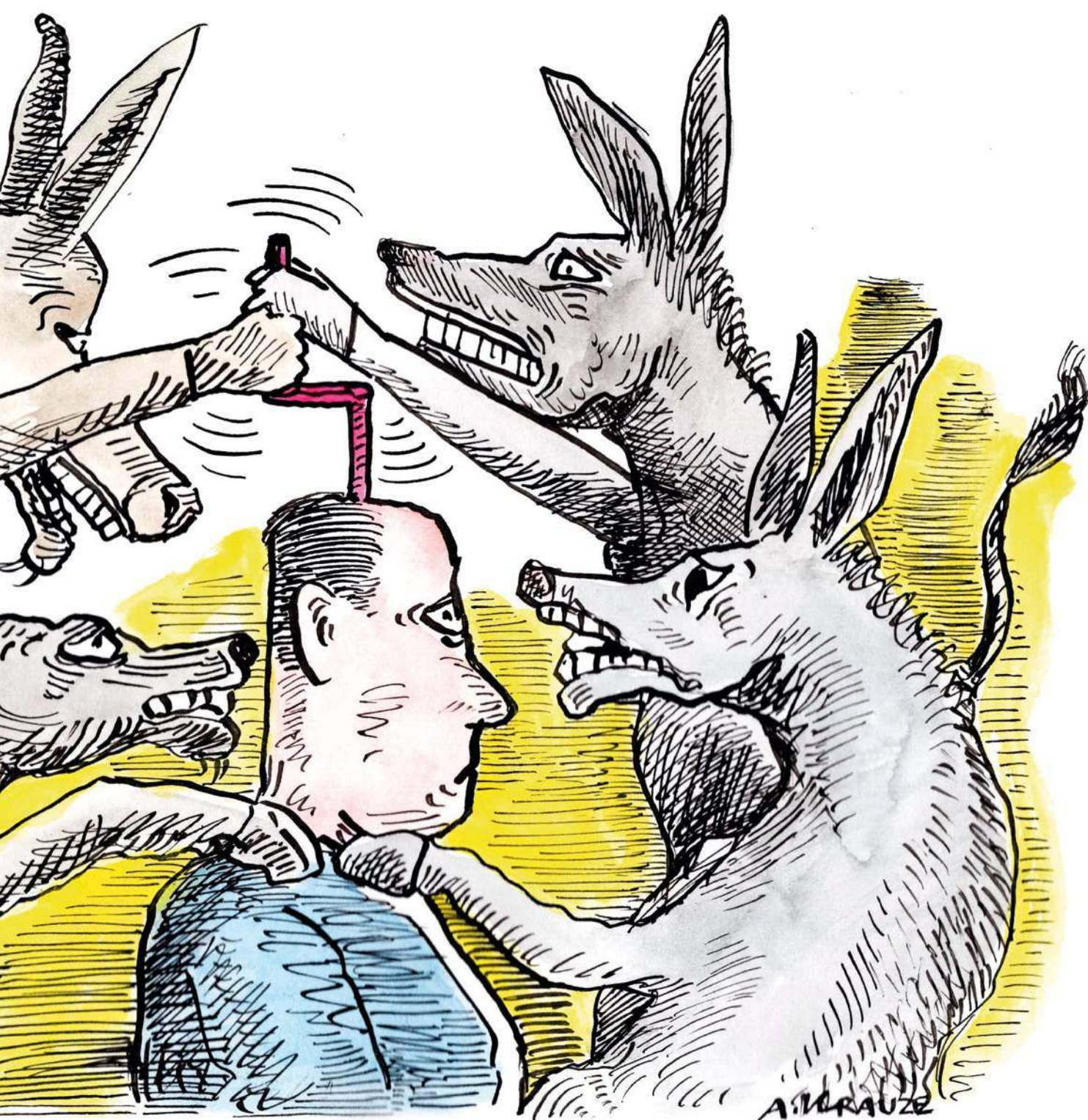
Anne DeLessio Parson, wykładająca socjologię na stanowym uniwersytecie w Portland, stwierdziła w wywiadzie ze stacją telewizyjną Fox News, że matematyka jest rasistowska, ponieważ służyła w przeszłości do „liczenia czarnych i brązowych ciał”, czyli niewolników przez białych kolonizatorów, a potem w formie statystyki do tego, by udowodnić, że czarni są gorsi od białych, bo mniej inteligentni albo bardziej skłonni do popełniania przestępstw. Dojście do tego wniosku zajęło jej – jak twierdzi – trzy lata. „Te rzeczy są ukryte. Myślimy, że coś jest zupełnie niewinne, a potem okazuje się, że to rasizm” – dodała. DeLessio Parson na co dzień bada geografii gender, np. wpływ wegetarianizmu na patriariat.

Podobnego zdania jest prof. Rochelle Gutiérrez, która wykłada matematykę na uniwersytecie w Illinois. Według niej twierdzenie Pitagorasa oraz liczba pi są rasistowskie, bo tworzą wrażenie, że „matematyka została wymyślona przez Greków i Europejczyków”. Dlatego sama stara się łączyć matematykę z gender i przypominać studentom o ucisku białego człowieka. Za oceanem rozpętała się prawdziwa debata nad rasistowskim wymiarem matematyki.

Do dyskusji wtrąciła się Brittney Cooper, znana krytyk kultury, która stwierdziła, że „czas jest rasistowski”. Czas został bowiem wymyślony przez

białych Europejczyków, dla których miał wartość pieniężną. Dla nich więc czas jest też linearny. Dla czarnych natomiast nie. Czarni mają „przeszłość, teraźniejszość i przyszłość”. A ponieważ przeszłość, teraźniejszość i przyszłość czarnych jest naznaczona rasizmem, czas jest także rasistowski. W konsekwencji na uniwersytecie Clemson w Karolinie Południowej studenci nie muszą być punktualni,





bo w niektórych kulturach czas jest „płynny”.

Organizacja Teach for America także wzięła sobie kwestię rasizmu w matematyce do serca i oferuje internetowy kurs pod tytułem „Uczenie sprawiedliwości społecznej poprzez matematykę”. Celem kursu jest uświadomienie studentom, „że matematyka była używana przez wieki do uciskania ludzi”. Czarnych i brązowych.

Kalafior jako symbol kolonializmu

Warzywo to warzywo, można by rzec. Otóż nie. Wschodząca gwiazda amerykańskich demokratów, propagatorka New Green Deal, zasiadająca w Izbie Reprezentantów Alexandria Ocasio-Cortez uznała, że uprawianie kalafiora w ogródkach komunalnych w Nowym Jorku to forma „ekologicznego kolonializmu”. Na filmiku na YouTube Ocasio-

-Cortez tłumaczy, że zamiast kalafiora powinno się uprawiać palmy yucca, bo kalafior to warzywo ludzi białych, którego czarni nie lubią „i nie potrafią nawet ugotować”. „Właśnie dlatego wielu kolorowych niechętnie uczestniczy w proekologicznych inicjatywach” – zaznaczyła. Na dodatek kalafior jest biały. To, że w Nowym Jorku panuje klimat raczej chłodny, a palmy yucca rosną na pustyni, nie ma tu oczywiście żadnego znaczenia.

Bezpłodność jest sexy, czyli antynatalizm

Hinduski filozof Raphael Samuel podał swoich własnych rodziców do sądu za to, że się urodził. Jak tłumaczy, przyszedł na świat wbrew swojej woli, a to stanowi naruszenie jego praw, w tym prawa do nieistnienia. Domagał się jednej symbolicznej rupii odszkodowania. Sąd wprawdzie odrzucił skargę, ale do Samuela dołączyli inni i tak się zrodził, a raczej odżył, antynatalistyczny nurt. Jak twierdzi „filozof”, chciał swoją akcją zareklamować „bezdzielną jako równouprawnioną alternatywę”. Jego zdaniem ludzka egzystencja jest bezsensowna, bo składa się ze „zobowiązań, wojen i bólu”. A do tego wielu musi żyć na niższym poziomie, niż by chciało. Człowiek niszczy planetę, jest więc całkowicie bezużyteczny.

Antynatalizm to wynalazek południowoafrykańskiego filozofa Davida Benatara, autora książki „Lepiej nigdy nie być. Krzywdą pojawienia się na świecie” („Better Never to Have Been: The Harm of Coming into Existence”). Benatar uważa aborcję nie tylko za dozwoloną, lecz wręcz wskazaną. Ludzie mają jego zdaniem prawo do śmierci, tak samo jak do życia. Raphael Samuel ma dziesiątki tysięcy fanów, którzy piszą mu w listach, jak bardzo żałują, że mają dzieci. Grupa antynatalistów na platformie Reddit liczy obecnie 45 tys. członków. Do tego należy dodać ruch Regretting Motherhood (żałowanie macierzyństwa), powstały po badaniu przeprowadzonym przez izraelską socjolog Ornę Donath i wydanym w 2017 r. w postaci książki. W międzyczasie powstały inne publikacje o podobnej tematyce, w tym Niemki Sarah Fischer pt. „Kłamstwo o szczęściu matki” („Die Mutterglück-Lüge”). Fischer argumentuje, że zamiast matką wolałaby być ojcem, bo wtedy mogłaby poświęcać dzieciom „20 minut dziennie”, a jej życie bez dzieci było „piękniejsze, łatwiejsze, wolniejsze”.

Kupa na chodniku i Martin Luther King jr.

Miasto Seattle było kiedyś symbolem muzyki grunge, teraz najwyraźniej aspiruje do bycia symbolem kultury woke. W 2017 r. rada miasta debatowała nad

czyszczeniem chodników z psiej kupy i moczu. Gazeta „The Seattle Times” przepytala z tej okazji kilku radnych i jeden z nich – Larry Gossett – stwierdził, że wolałby, by nie czyszczono ulic z ekskrementów węzłem z wodą, bo „byłoby to rasistowskie”. Mogłoby się kojarzyć bowiem z armatkami wodnymi, które były używane w latach 60. XX w. przeciwko członkom ruchu praw obywatelskich. Stanowiłoby więc mikroagresję. Martin Luther King jr. odwiedził miasto w 1961 r. i od tej pory liczne szkoły i parki zostały nazwane jego imieniem. Konia z rzędem temu, kto zrozumie, dlaczego radnemu psia kupa kojarzy się z członkami ruchu praw obywatelskich. Czy to aby niemycie chodników wodą jest właśnie rasizmem?

Małe krzeselka w żłobkach i przedszkolach są seksistowskie

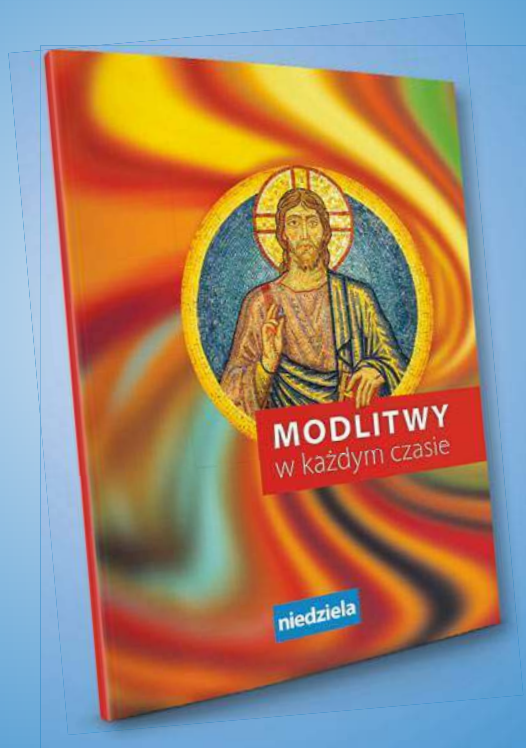
Prof. Jane Bone z Uniwersytetu Monasha w Australii opublikowała artykuł w piśmie „Contemporary Issues in Early Childhood”, w którym przekonuje, inspirowana „nowym feministycznym materializmem” i Jakiem Derridą, że meble mają znaczenie. Bone dowodzi, że „małe krzesło jest kontrowersyjnym i niejednoznacznym artefaktem, który jest uważany za pewnik we wczesnym dzieciństwie”. Małe krzesła zdaniem feministki z jednej strony hamują rozwój dziecka, a z drugiej są wyrazem stereotypowo sfeminizowanego miejsca pracy, skupionego na dzieciach i niepozwalającego wychowawcom się rozwijać i wyjść z ról płciowych. „Małe krzesło mówi kobietom pracującym w żłobkach i przedszkolach: nie usiądziesz. Masz pracować i jak kobiety w handlu, gastronomii, cateringu oraz w domu biegać za innymi, zamiast skupiać się na tym, co dla ciebie jest ważne” – przekonuje Bone. A ja myślałam, że krzesła w żłobkach są małe. bo dzieci są małe i nie są w stanie się wdrapać na większe. Ale ten punkt widzenia to zapewne wynik braku materialistyczno-feministycznej świadomości. Bone przetestowała wszystkie krzesła w Ikei pod kątem seksizmu i wynik nie był dobry. Wspieranie ruchu LGBT przez szwedzki koncern może więc nie wystarczyć.

Terapia dla studentów przerazonych myślą o wykładzie Shapiro

Konserwatywny, amerykański komentator polityczny, pisarz i prawnik Ben Shapiro w styczniu 2018 r. wystąpił na uniwersytecie w Connecticut. Shapiro jest znanym wrogiem snowflakesów (śnieżynek), czyli szlochających nad zwycięstwem Trumpa i wiecznie obrażonych (offended) przedstawicieli generacji milenialsów i pokolenia Z na uniwersyteckich kampusach. Napisał nawet o nich książkę, nad którą pracował 17 lat. Nic dziwnego więc, że perspektywa jego występu wywołała u nich przerażenie. Dlatego uczelnia postanowiła zaoferować im terapię. Profilaktycznie, zanim Shapiro zdążył się zjawić na kampusie. Uczelnia wysłała studentom e-mail, o następującej treści: „Rozumiemy, że nawet myśl o tym, że na kampusie może się pojawić osoba o poglądach wyrażanych przez pana Shapira może być niepokojąca, a nawet krzywdząca, dlatego chcieliśmy poinformować was o tym, jak tylko się o tym dowiedzieliśmy”. Odpowiedzialna w dziekanacie za różnorodność Joelle Murchison zaproponowała studentom terapię, by „poradzić sobie z tym”. Terapie dla snowflakesów to już od jakiegoś czasu standard na amerykańskich uczelniach. Po zwycięstwie Trumpa w wyborach wiele z nich oferowało śnieżynom zajęcia z kucykami, kotkami i szczeniactkami, by „załagodzić pojawiające się u nich stany lękowe”. W lipcu minionego roku Evergreen College poprosił wykładowców, by wystawiając studentom oceny, „brali pod uwagę ich uczucia”. Miesiąc wcześniej uniwersytet w Arizonie poprosił, by studenci zgłaszali kolegów popełniających mikroagresje. W 2017 r. Shapiro wystąpił na uniwersytecie w Berkeley, który z tego tytułu uruchomił telefon zaufania dla studentów oraz „bezpieczną przestrzeń” (safes space), w której mogli się wymieniać opiniami na temat swoich uczuć bez obawy krytyki. Większość tych, którzy skorzystali z oferty, nie słuchała wykładu konserwatywnego autora. Ani tego, ani żadnego innego.

W NOWEJ ODSŁONIE:

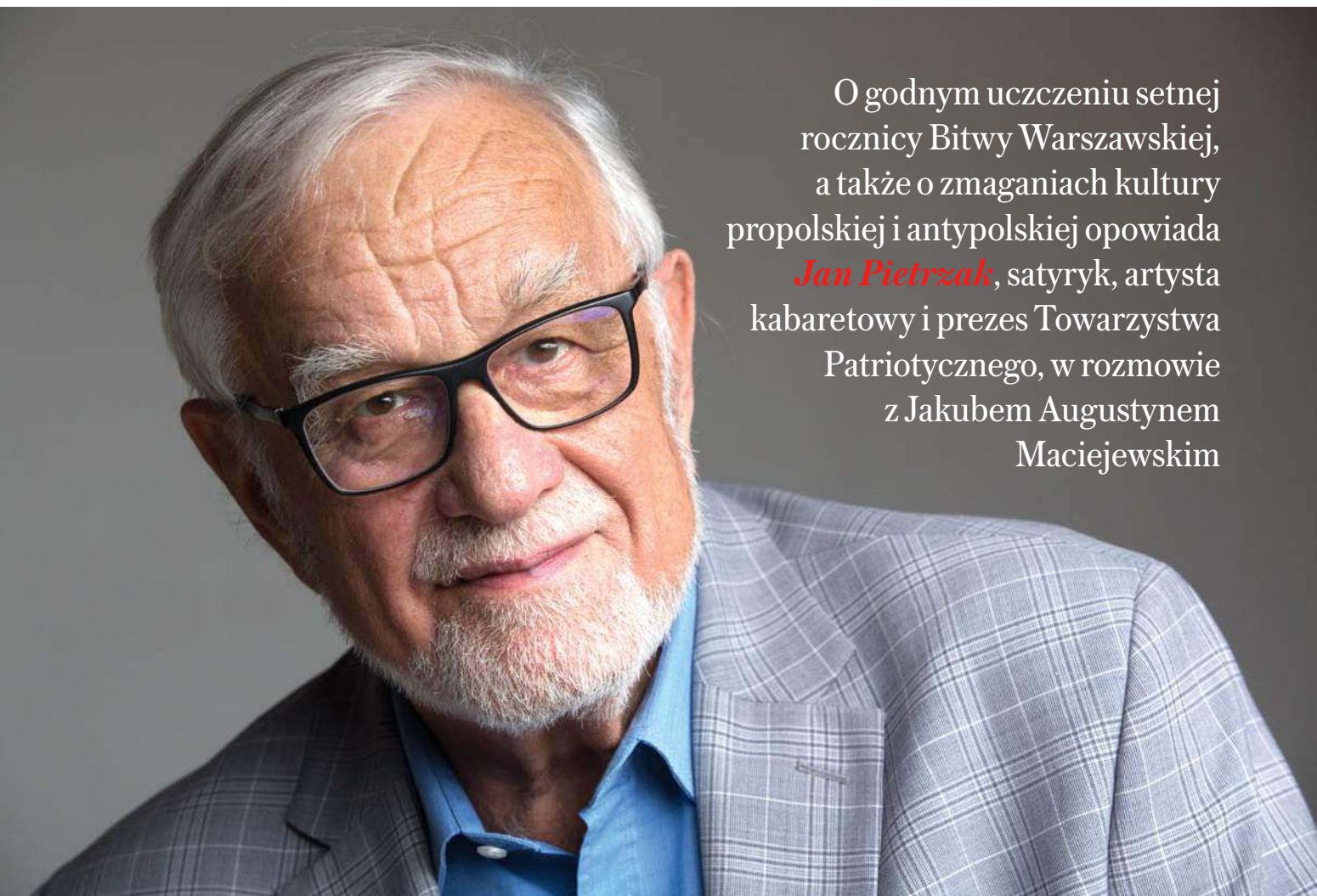
- nowa szata graficzna
- nowe działy
- nowe twarze
- specjalny dodatek liturgiczny
oraz kulturalny



w noworocznym numerze

wyjątkowy
prezent:
MODLITEWNIK

Do kupienia już **od 5 stycznia!**



O godnym uczczeniu setnej rocznicy Bitwy Warszawskiej, a także o zmaganiach kultury propolskiej i antypolskiej opowiada **Jan Pietrzak**, satyryk, artysta kabaretowy i prezes Towarzystwa Patriotycznego, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Po łuku triumfalnym marzy mi się Marsz Zwycięstwa Polaków

Fot. Andrzej Wiktor

Wierzy pan, że uda się postawić łuk triumfalny na setną rocznicę Bitwy Warszawskiej? Czasu zostało niewiele.

Jan Pietrzak: Wierzę, ponieważ szanuję ten rząd i mu ufam. Jeżeli premier Mateusz Morawiecki i minister kultury i dziedzictwa naro-

dowego Piotr Gliński deklarują, że mogą to zrobić, to mogę spać spokojnie. Po latach utarczek z władzami Warszawy nareszcie sprawą

zainteresował się rząd – zatem to już kwestia czasu.

Wicepremier Głiński mówił na grudniowym spotkaniu Towarzystwa Patriotycznego, że woli monument nawiązujący do łuków rzymskich. Pan natomiast bardziej modernistyczną wersję, rodem z II RP.

Nic nie jest przesądzone, bo konkurs na projekt nie jest zakończony. Oczywiście, że mamy artystów, którzy mogą zaproponować coś innego niż odmianę łuku paryskiego czy łuków rzymskich. Jesteśmy narodem nie tylko zwycięskim, lecz także posiadającym wielkie moce artystyczne, może więc pojawi się koncepcja zupełnie inna niż te, znane nam z zachodnich stolic. Oddanie hołdu wielkiemu zwycięstwu z 1920 r. nie może być banalne. Mam nadzieję, że pojawi się wiele propozycji i zwycięży najbardziej godna. Komisja konkursowa liczy 20 osób i zasiadają w niej specjaliści proponowani m.in. przez Ministerstwo Kultury oraz władze Warszawy. Moje

prywatne gusta nie mają w tym momencie nic do rzeczy.

W toku dyskusji zrodził się nawet pomysł, by łuk wznieść na Wiśle. Czy to jednak nie była jakaś forma kapitulacji? Warszawa nie zgadza się na oddanie terenu, to musimy postawić na rzece, choć przecież idea takiego łuku jest możliwość triumfalnego przejazdu przez niego.

Autorzy tego pomysłu chcieli pokazać kilka lat temu, że jeśli ratusz twierdzi, że nie ma gruntu pod taki pomnik, to można go wznieść w Wiśle, która nie podlega władzom administracyjnym Warszawy, lecz rządowi, Ministerstwu Środowiska. Na tym polegał cały numer. Śp. prof. Jan Szyszko, ówczesny minister środowiska, tę koncepcję zaakceptował. Popierał nas...

Ale dlaczego Warszawa w ogóle próbowała temu przeszkodzić? Przecież łuk triumfalny to sprawa zupełnie pozapartyjna, zwłaszcza

jeśli chodzi o tak jednoznaczne zwycięstwo jak Cud nad Wisłą.

Nie wiem, może decydenci mają jakieś rodzinne tradycje związane z drugą stroną wojny 1920 r., z tymi, którzy ją przegrali? To jest naprawdę bulwersujące, że są w Polsce politycy, którzy nie chcą upamiętniać polskich zwycięstw, a nie przeszkadzają im pomniki Armii Czerwonej, które wciąż straszą w wielu miastach i np. parkach Warszawy.

W takim razie około połowy Polaków popiera tych polityków, którym nie przeszkadza pomnik sowieckiego żołnierza, a którzy nie chcą pomnika Cudu nad Wisłą. Może więc jeszcze nie czas wznosić monumentu ku czci zwycięstwa, którego wielu naszych rodaków nie ceni?

Głęboko się pan myli. Nie wiem, skąd pan wziął takie badania o polowie Polaków. Jest najwyższy czas ten pomnik postawić, choć nadal symbolem Warszawy jest pałac zwycięstwa Stalina nad Polską, co jest hańbą dla naszego

Ubezpiecz

mieszkanie

od pożaru, zalania

i innych zdarzeń losowych

już od **122 zł**
rocznie!

Sprawdź
22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

Składka 121,22 zł: mieszkanie własnościowe 50 m², Orzechowo, lata budowy 1970-1990, brak szkód w ostatnich 3 latach. Ubezpieczenie od zdarzeń losowych - suma ub. murów i el. stałych mieszkania 204 tys. zł, mienia ruchomego 10 tys. zł. Cena zawiera zniżkę za zakup przez Internet. Oferta dla nowych Klientów LINK4. Szczegóły i wyłączenia znajdziesz w OWU.

eprasa.pl 9173395105

LINK 4



narodu. W naszym kraju zawsze żyli ludzie niechętni polskości: kultura, językowi, polskiemu sposobowi myślenia. Dwieście lat temu „król na uchodźstwie” książę Adam Czartoryski powiedział, że w Polsce przez całe swoje życie – a żył długo – widział tylko dwie partie: partię Polaków i partię zdrajców. Dzisiaj jest tak samo. Na końcu partia Polaków zawsze zwycięża, ale musimy się szalenie natrudzić. Pokonaliśmy trzy imperia zaborcze, wygraliśmy w I wojnie światowej, nie ulegliśmy przed faszyzmem ani przed komunizmem, wreszcie obaliliśmy imperium zła – dzięki świętemu Janowi Pawłowi i Solidarności. Ta lista zwycięstw bardzo się wydłużyła.

Skoro idzie tak dobrze, to dla tego wciąż jest tak trudno?

Zwracam uwagę, że poza dwudziestolecie międzywojennym to okupanci pisali tu podręczniki historii, które często wciąż obowiązują. Tutaj wciąż się roi od agentów Moskwy i Niemiec. Przed wojną żyło 36 mln obywateli Rzeczypospolitej, a po wojnie 24 mln. To są gigantyczne straty. Tu nie ma co narzekać, że za mało robimy, bo samo nasze istnienie i zwycięstwo ociera się o cud. A paru stuleci okradania, niszczenia, mordowania narodu nie da się naprawić w kilka lat. Nasze niezbędne pomniki nie mogły powstawać w brzoście i granicie przez cały czas, w którym nie mieliśmy własnego państwa. Teraz cieszymy się niepodległością, nadrabiamy stracony czas.

Ponad pół wieku temu wydał pan – jak sam pan to ostatnio żartobliwie nazwał – krótką, ale realizowaną obecnie dyrektywę: „Żeby Polska była Polską”. Czy po tylu latach należałoby ją czymś uzupełnić?

Żeby Polska była Polską – radosną, uśmiechniętą, optymistyczną. Żyłem pod Hitlerem, Stalinem, w stanie wojennym i widziałem, że nasza pogoda ducha nigdy nie gasła. Myślę, że wewnętrzna wolność Polaków jest połączona właśnie z tą fantazją i radością istnienia daną od Boga i dlatego potrafi

zmieniać rzeczywistość. Nic dziwnego, że kabaretowa twórczość wyraźnie weszła do głównego nurtu kultury.

Ale do głównego nurtu kultury weszło też wielu autorów, którzy za Polską, delikatnie mówiąc, nie przepadają.

Żyłem pod Hitlerem, Stalinem, w stanie wojennym i widziałem, że nasza pogoda ducha nigdy nie gasła. Myślę, że wewnętrzna wolność Polaków jest połączona właśnie z tą fantazją i radością istnienia daną od Boga i dlatego potrafi zmieniać rzeczywistość

To niech pan z nimi robi wywiady. Ja występuję od 60 lat i gdyby przebadać mój repertuar, jest jasne, że opowiadam się za stabilnymi wartościami. Trudno jest oddzielić artystę od jego życiorysu, z czym teraz wielu Polaków ma problem, gdy czyta polską noblistkę. Bo gdy się słyszy jej publiczne wypowiedzi o Polsce, to nie da się bić braw tylko dlatego, że dostała literacką nagrodę. Jeżeli opowiada bzdury o antysemityzmie w Polsce, o kolonializmie i że się naszego kraju wstydzi, to mnie jej aktywność literacka mniej interesuje. Kto świadomie szkodzi Polsce, stawia Polaków w trudnej sytuacji.

Czy to się przebija do świadomości społecznej?

Polsce wciąż brakuje mediów polskich. Jak wiadomo, media albo pomagają, albo szkodzą. Dziś mamy do czynienia z lewacką inwazją multikulti, do której przyłączają się tutejsze komuchy i robią straszny melanz w lepetynach. Nawet wykształceni ludzie nie potrafią odróżnić, co jest

wartościowe, a co nie. Sto lat temu polscy chłopcy po czterech klasach podstawówki wiedzieli, kto jest wrogiem ojczyzny. I potrafili maszerować 30 km dziennie, strzelać, a nawet ginąć, gdy trzeba było w latach 1919–1921 bić bolszewika i odzyskać wolność.

I to dla nich także miałby powstać łuk postulowany przez Towarzystwo Patriotyczne?

Tak, ale ja się nie koncentruję wyłącznie na wojnie polsko-bolszewickiej. Przez pierwsze pięć lat istnienia mojego Towarzystwa Patriotycznego wszystkie koncerty graliśmy za pieniądze własne i darczyńców, sponsorów, którym przy okazji serdecznie dziękuję. Odbywaliśmy naprawdę duże trasy i 15 sierpnia, i 11 listopada, i prowadziliśmy polonezy 3 maja. Dopiero od trzech lat instytucje państwa nas wspierają, dzięki czemu można myśleć o nowych projektach. Łuk triumfalny byłby nie do pomyślenia 5–10 lat temu, a dzisiaj sprawa już jest w toku. A teraz myślę o marszu, o czym jeszcze nie zdążyłem publicznie powiedzieć.

Marszu?

Takim marszu, jaki odbyła „szara piechota” 1920 r., gdy szli przez pola lasy, „pogwizdując sobie czasem”, czasem boso, czasem źle uzbrojeni, wyciągając furmanki z błota... i pobili najbardziej agresywną armię świata. Szli tak, jak śpiewamy w hymnie: „Marsz, marsz Dąbrowski”. Stąd marzy mi się nowa inicjatywa – Marsz Zwycięstwa Polaków, spod Dębina do Ossowa i Radzymina. Dziś to nic skomplikowanego – gdyby nasze wojsko poszło tamtą trasą i zobaczyło, poczuło ten wysiłek sprzed stu lat, a Polacy mogli się dołączyć, jako grupy rekonstrukcyjne, związki sportowe, wolontariusze... Byłby to ukłon dla tamtego pokolenia, które umiało odróżnić dobro od zła, a bohaterów od zdrajców i samo stało się pokoleniem bohaterskim. Dla Polaków to jest jasny przekaz: „marsz, marsz Polonia, nasz dzielny narodził”, do przodu, za Polskę, bez oglądania się na malkontentów, tchórzów i dywersantów...

Tankuj taniej

z Energa na stacjach LOTOS

Oferta
dla domu



- ✓ Tankuj ze stałym rabatem na stacjach LOTOS i ciesz się z dodatkowych upustów. A dodatkowo...
 - ✓ Masz szybką pomoc fachowców na wyciągnięcie ręki w razie domowej awarii.
- ➡ Dowiedz się więcej na energa.pl lub u naszego doradcy.



Kiedy i na jakich warunkach skorzystasz z naszej oferty „Pakiet Podróżny” dowiesz się z regulaminu i jego załączników. Dostępne są one na naszej stronie www.energa.pl oraz w naszych salonach sprzedaży. Wartość przekazanych świadczeń w ramach sprzedaży premiowej nie przekracza progu zwolnienia od podatku określonego w art. 21 ust. 1 pkt 68 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

Jak ukraść miliard euro

Wystarczyło kilka minut, by łupem złodziei padły klejnoty warte miliard euro. Włamanie do drezdeńskiego skarbcza to przestroga dla muzeów na całym świecie. A jak bezpieczne są polskie muzea?

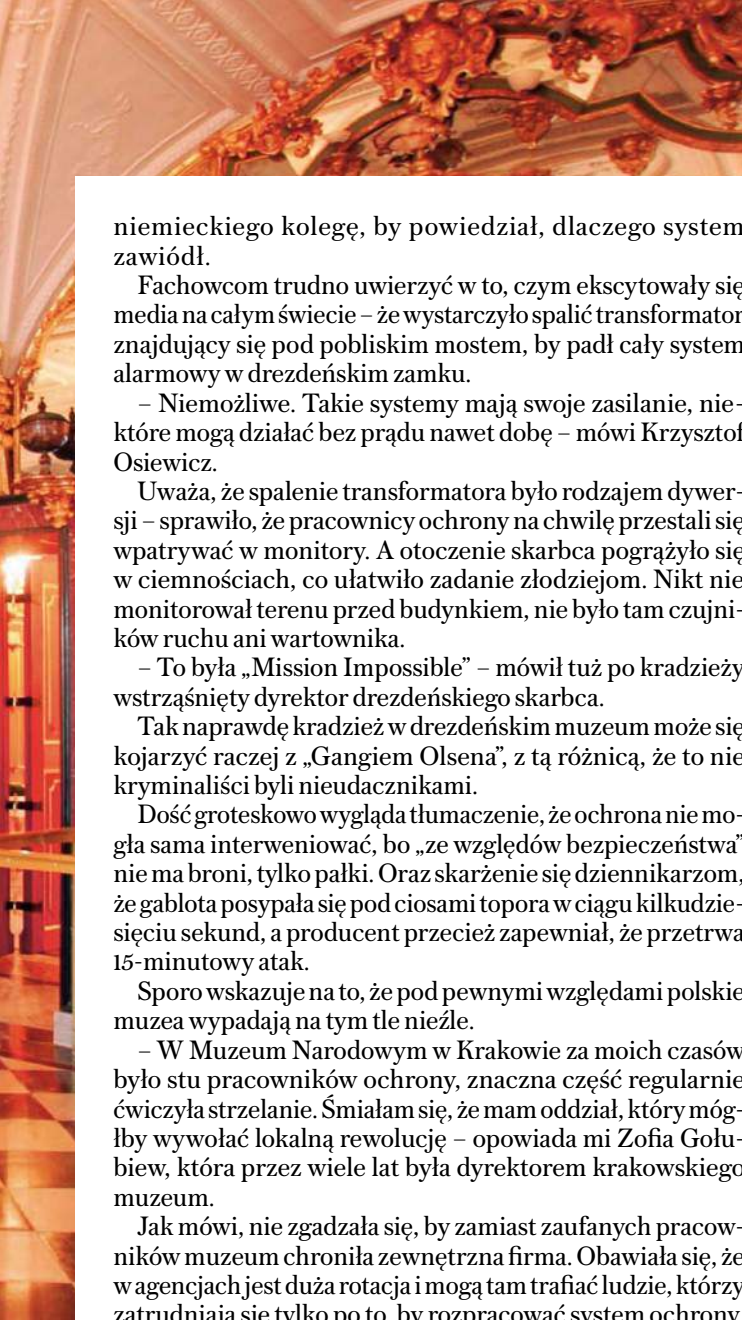
Dziwnie to wszystko wygląda. Kiedy złodzieje sforsowali okno, dla ochrony powinno być to sygnałem do natychmiastowej reakcji. Nic takiego nie nastąpiło. Złodzieje przebili się jeszcze przez metalową kratę, dotarli do sali, gdzie była gablota z najcenniejszymi precjozami. Rozbili ją toporem, wyjęli klejnoty i ulotnili się, zanim pojawiała się policja. Jak to w ogóle możliwe? – zastanawia się Krzysztof Osiewicz z Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów Publicznych.



MAJA NARBUTT

To właśnie on odpowiada za techniczne sprawy związane z ochroną polskich muzeów. Wiele razy analizował nagrania z kamer umieszczonych w drezdeńskim skarbcu zwanym Grünes Gewölbe, czyli Zielone Sklepienie.

Tak samo robili ludzie, którzy zajmują się ochroną muzeów w innych krajach. Czekają teraz, by podzielić się spostrzeżeniami na międzynarodowej konferencji o bezpieczeństwie zbiorów, która niedługo odbędzie się właśnie w Warszawie. W kulisach przycisną



niemieckiego kolegę, by powiedział, dlaczego system zawiódł.

Fachowcom trudno uwierzyć w to, czym ekscytowały się media na całym świecie – że wystarczyło spalić transformator znajdujący się pod pobliskim mostem, by padł cały system alarmowy w drezdeńskim zamku.

– Niemożliwe. Takie systemy mają swoje zasilanie, niektóre mogą działać bez prądu nawet dobę – mówi Krzysztof Osiewicz.

Uważa, że spalanie transformatora było rodzajem dywersji – sprawiło, że pracownicy ochrony na chwilę przestali się wpatrywać w monitory. A otoczenie skarbcza pograżyło się w ciemnościach, co ułatwiło zadanie złodziejom. Nikt nie monitorował terenu przed budynkiem, nie było tam czujników ruchu ani wartownika.

– To była „Mission Impossible” – mówił tuż po kradzieży wstrząśnięty dyrektor drezdeńskiego skarbcza.

Tak naprawdę kradzież w drezdeńskim muzeum może się kojarzyć raczej z „Gangiem Olsena”, z tą różnicą, że to nie kryminaliści byli nieudacznikami.

Dość groteskowo wygląda tłumaczenie, że ochrona nie mogła sama interweniować, bo „ze względów bezpieczeństwa” nie ma broni, tylko pałki. Oraz skarżenie się dziennikarzom, że gabłota posypała się pod ciosami topora w ciągu kilkunastu sekund, a producent przecież zapewniał, że przetrwa 15-minutowy atak.

Sporo wskazuje na to, że pod pewnymi względami polskie muzea wypadają na tym tle nieźle.

– W Muzeum Narodowym w Krakowie za moich czasów było stu pracowników ochrony, znaczna część regularnie ćwiczyła strzelanie. Śmiałam się, że mam oddział, który mógłby wywołać lokalną rewolucję – opowiada mi Zofia Gołbiew, która przez wiele lat była dyrektorem krakowskiego muzeum.

Jak mówi, nie zgadzała się, by zamiast zaufanych pracowników muzeum chroniła zewnętrzna firma. Obawiała się, że w agencjach jest duża rotacja i mogą tam trafiać ludzie, którzy zatrudniają się tylko po to, by rozpracować system ochrony. Dowiedziałam się, że te zasady przejął jej następca.

– Znaczna część kradzieży jest związana z osobami, które znają muzeum od wewnątrz. To mogą być kontrahenci, ekipy sprząające oraz oczywiście ochrona. Mogłbym się założyć, że złodzieje ze skarbcza w Dreźnie mieli też swojego człowieka, który przekazał im informacje – mówi Krzysztof Osiewicz.

Pozostaje jeszcze intrygująca kwestia, dlaczego gabłota skarbcza w Dreźnie broniła swojej zawartości kilkadziesiąt sekund, choć producent zapewniał, że będzie to trwać znacznie dłużej? Z moich informacji wynika, że szkło wyprodukowała prawdopodobnie znana drezdeńska firma, współpracująca z muzeami w wielu krajach. Albo więc szykuje się skandal podobny do tego, jaki stał się udziałem Volkswagena oszukującego w testach spalania, albo to drezdeńskie muzeum niechlujnie osadziło szkło w gablocie i nie chce się przyznać.

Na razie jednak najważniejszym pytaniem jest, co się stało ze zrabowanymi skarbami.

SZEJKOWIE I BARBARZYŃCY

– Może jakiś szejka na Bliskim Wschodzie wpina teraz brylantową przypinkę Augusta II we włosy ukochanej i zawiesza w jej uszach kolczyki Marii Józefy. A kiedy nasyci się blaskiem klejnotów, precjoza trafia do sejfu – mówi mi prof. Ewa Letkiewicz z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, specjalizująca się w historycznej biżuterii.

Jak inni historycy sztuki ma nadzieję, że kradzież w Dreźnie była przeprowadzona na zamówienie. Oznaczałoby to, że jest szansa, by odzyskać klejnoty w stanie nienaruszonym.

– Złodzieje nie działali przypadkowo. Wybrali gabloty, gdzie były rzeczy najcenniejsze pod względem historycznym i artystycznym. Na wyciągnięcie ręki mieli inne witryny, także pełne kosztowności, ale ich nie tknęli. Nie zależało im na zlocie, ale na klejnotach saskiej dynastii Wettynów – twierdzi prof. Letkiewicz.

Są kolekcjonerzy, którzy gotowi są zapłacić każdą cenę, by zdobyć przedmiot pożądanego. Jak mówi profesor, cena absolutnie nie gra roli dla petrodolarowych szejków, miliarderów z Japonii czy USA. To oni za bajorńskie sumy kupują najcenniejsze okazy biżuterii lub wręcz całe kolekcje.

Pozostaje tylko pytanie, kto zdecydowałby się zlecić kradzież z jednego z najbardziej znanych europejskich muzeów.

Hipoteza kradzieży na zlecenie to wariant optymistyczny. Jest jednak znacznie gorszy scenariusz. Włamanie mogło być dziełem złodziei, których interesuje wyłącznie wartość szlachetnych kamieni i złota. Brylanty zostały więc już wyłamane z oprawy, a złote elementy przeprotowane.

O takiej możliwości wspominał Christopher Marinello, szef międzynarodowej firmy specjalizującej się w odzyskiwaniu dzieł sztuki Art Recovery International. Stwierdził, że nie ma szans, byśmy kiedykolwiek zobaczyli skradzione precjoza. Uważa, że padły łupem „współczesnych barbarzyńców”, na których żadnego wrażenia nie robi ich muzealna wartość. Nie mieli skrupułów, by je zniszczyć.

– Każda z rzeczy ukradzionych w Dreźnie jest dokładnie obfotografowana i opisana. Nie może się pojawić na rynku. Charakterystyczne są także same szlachetne kamienie, którymi wysadzane są precjoza. Złodzieje mogą jednak sprawić, że nikt już ich nie rozpozna – przyznaje prof. Ewa Letkiewicz.

Wystarczy przeszlifować brylanty, trącąc trochę ich masę i objętość, zmienić charakterystyczny, mniej precyzyjny XVIII-wieczny szlif na współczesny, by kamienie zmieniły się nie do poznania. A misterne arcydzieła sztuki jubilerskiej trafią do złotniczego tygla.

Taki pesymistyczny scenariusz wydaje się też prawdopodobny polskiemu ekspertowi od odzyskiwania dzieł sztuki, byłemu wysokiemu funkcjonariuszowi polskiej policji. Ofiarą wandalii padły też przecież zabytkowe polskie obiekty. Kiedy złodzieje zrabowali ponad 30 lat temu fragmenty srebrnego relikwiarza św. Wojciecha z bazyliki w Gnieźnie, nie obchodziła ich jego sakralna ani historyczna wartość. W jednym z trójmiejskich garaży palnikami acetylenowymi zamienili kunsztowne XVII-wieczne dzieło sztuki w pięć brył srebra.

Podobnie zachowali się złodzieje XVIII-wiecznej monstrancji z sanktuarium w Świętej Lipce, zamieniając klejnot sztuki złotniczej w ważyący osiem kg złom złota.

TAJEMNICE NEGOCJACJI

Pół miliona euro nagrody, jakie zaoferowała niemiecka policja za wskazówki, które doprowadzą do ujęcia sprawców kradzieży w Dreźnie, jest kwotą, która robi wrażenie. Na pewno zrobi je na ludziach, którzy wiedzą coś o przestępstwie. Ale choć może skusić informatorów, to raczej nie zadziała na wyobraźnię samych przestępców.

– Niemcy poskąpili. Powinni wsadzić kij w mrowisko, rzucić sumę, która wywoła ferment i może skłócić grupę przestępczą stojącą za włamaniem. Jednak kiedy złodzieje czytają w gazecie, że ich łup jest wart miliard euro, a równocześnie, że oferuje się pół miliona, to żaden z członków grupy nie zechce po nagrodę sięgnąć. A mógłby to zrobić, gdyby była wyższa, a on otrzymał status świadka koronnego – uważa polski ekspert zwalczający kradzieże dzieł sztuki.

Władze Saksonii nie kryją wzburzenia zuchwałą kradzieżą. Mówią, że to atak na saksońską tożsamość kulturalną. Zwiększono zaangażowane w śledztwo siły, nad sprawą pracuje 40 policjantów.

Czas jednak płynie i nie działa na korzyść właściciela klejnotów.

Jak oświadczył natychmiast po włamaniu ekspert Christopher Marinelli – który wielokrotnie przeprowadzał pofne akcje odzyskiwania dzieł sztuki w imieniu rządów różnych państw – policja powinna zachowywać się tak, jakby w rękach przestępców był zakładnik. Im dłużej jest przetrzymywany, tym mniejsze szanse są na jego uwolnienie. Trzeba więc natychmiast wysłać sygnał, że chce się negocjować. Podjęcie negocjacji, nawet jeśli nie dojdzie się do porozumienia, może doprowadzić do przełomu.

Tak właśnie było z odzyskaniem słynnej „Saliery”, dzieła włoskiego złotnika i rzeźbiarza Benvenuto Celliniego, skradzionej z Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu. To zachwycająca precyzyjna rzeźba ze złota, pełna alegorycznych figur, wyceniona na 50 mln euro.

Jej kradzież pokazuje, jak bardzo potrafią zawieść wyobraźnia i umiejętność przewidywania tych, którzy odpowiadają za ochronę muzeum. Popelniono szkolne błędy. Złodziej dostał się do muzealnej sali po rusztowaniu, które zostawili robotnicy odnawiający tynki. Wszedł przez okno, a kiedy rozbił gablotkę, uruchomił się alarm. Ale strażnicy go zlekceważyli, uznając, że to niemożliwe, by ktoś niepostrzeżenie przeniknął w niedzielę nad ranem do muzeum.

Przez trzy lata złodziej spokojnie przechowywał „Saliere” pod swoim łóżkiem, a potem zakopał w lesie.

Wpadł, gdy postanowił negocjować wykupienie rzeźby z towarzystwem ubezpieczeniowym. Za każdym razem korzystał z innego, świeżo zakupionego telefonu komórkowego. Namierzono go, gdy zadzwonił z telefonu, który – jak odkryła policja – kilka minut wcześniej kupiono w sklepie, który miał monitoring. Zdjęcia mężczyzny pokazano w mediach i już wkrótce został zidentyfikowany jako 50-letni specjalista od zabezpieczeń. Oświadczył, że dokonał kradzieży, bo chciał pokazać, jak słabo chronione są muzea.

Kradzieże w Zielonym Sklepieniu w Dreźnie i w wiedeńskim Muzeum Historii Sztuki są podobne z wielu powodów.

Wywołały polityczny skandal i gorączkowe szukanie winnych, którzy do kradzieży dopuścili. Pokazały też, że nawet najcenniejsze precjoza można wynieść z muzeum zaskakująco łatwo.

BRYLANTOWA SUKIENKA

Gdyby przestępcy chcieli dokonać w polskich muzeach tak spektakularnej kradzieży jak w Dreźnie, byłoby to niemożliwe z oczywistego powodu: nie mamy tak wielu obiektów o zbliżonej wartości.

– Zbiory klejnotów ma Muzeum Narodowe w Warszawie, ale nie ma tam rzeczy tej klasy co w Zielonym Sklepieniu. Duża kolekcja biżuterii jest też w jednym z prowincjonalnych muzeów, ale to XIX-wieczna masówka, a nie wyjątkowe dzieła sztuki – mówi prof. Letkiewicz.

Przed wojną mieliśmy w Polsce unikatowe precjoza, które można uznać za polskie klejnoty rodowe. W tzw. szkatule królewskiej znajdowały się zgromadzone przez Izabelę Czarorską pamiątki po królach Polski. Przepadły bez wieści wywiezione przez Niemców w 1939 r. z pałacu w Sieniawie. Podobno kolekcję przejęli potem Amerykanie i właśnie w amerykańskich prywatnych zbiorach miałyby się znajdować królewskie kosztowności.

Jak mówi mi jednak prof. Letkiewicz, dokonała zaskakującego odkrycia: wśród eksponatów pokazywanych w położonym pod Monachium muzeum jest pierścionek ze szkatuły królewskiej, który należał do Zygmunta Starego.

– Zaczęłam prowadzić korespondencję z dyrektorem tego muzeum. Porównałam pierścionek w muzeum ze zdjęciami zrobionymi w Polsce przed wojną. Wszystko się zgadza, nawet to, że jest trochę spłaszczony, elipsowaty. Dyrektor przyznał mi pośrednio rację, bo przy pierścieniu w gablotce pojawił się napis: „Własność Zygmunta Starego?”. Ze znakiem zapytania, ale to krok w dobrym kierunku – opowiada prof. Letkiewicz.

Najcenniejsze precjoza, jakie są w Polsce, znajdują się oczywiście nie w muzeum, ale na Jasnej Górze. Niezwykle pod względem jubilerskim i historycznym są zwłaszcza dwie najstarsze sukienki Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej – diamentowa i rubinowa, z których każda zawiera kilkaset unikatowych klejnotów. W zbiorach jasnogórskich znajduje się też XVII-wieczna olbrzymia monstrancja wysadzana kilkoma tysiącami brylantów.

– Systemy zabezpieczeń na Jasnej Górze są na najwyższym poziomie. Zbiorów strzeże też straż jasnogórska, profesjonalna uzbrojona własna formacja ochrony, która ma też swoich ludzi ubranych po cywilnemu i rozproszonych w tłumie turystów – mówi mi jeden z ekspertów.

PRZESTĘPSTWO Z MIŁOŚCI

Jeśli wierzyć muzealnikom i ekspertom od zabezpieczeń, bezpieczne są też zbiory w polskich muzeach. Tak przynajmniej twierdzą w rozmowie ze mną, choć można przywołać przykłady, które temu przeczą. Na przykład zuchwałą kradzież, która zdarzyła się w teoretycznie znakomicie strzeżonym Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Sposób, w jaki dokonano kradzieży, to gotowy scenariusz na film sensacyjny. Niespodziewanie odkryto, że na muzealnej ścianie zamiast jedyne go obrazu Claude'a Moneta w Polsce, czyli „Plaży w Pourville”, wisi kiepska kopia.

Obraz wyciął z ramy mężczyzna, który zgłosił do muzeum, że studiuje na ASP i chce wykonać szkic jednego z obrazów. Przesłał faksem swoje dane – jak się okazało, nieprawdziwe. Odebrał pozwolenie, rozstawił sztalugi niedaleko obrazu Moneta i zabrał się do szkicowania.

Wiedział, że pracownica muzeum, która dozoruje salę, ma pod swoją opieką także sale sąsiednie. Kiedy wychodziła, zaczynał wycinać Moneta z ramy. Gdy słyszał zbliżające się kroki, wracał przed sztalugi. W końcu zamienił obraz na przyniesioną kopię.

Na ślad złodzieja zupełnie przypadkiem trafiono po 10 latach, w 2010 r. Zgubiło go to, że uporczywie nie płacił alimentów. Pobrano więc od niego odciski palców. I kiedy wrzucono do ogólnopolskiej bazy, okazało się, że są identyczne z tymi, które udało się zabezpieczyć na ramie obrazu Moneta. Trochę pognieciony obraz znaleziono w szafie w mieszkaniu jego rodziców.

Media przedstawiają romantyczną wersję wydarzeń – bezrobotny technik posadzkarz miał zapłonąć miłością do impresjonizmu i właśnie z tej niezwyklej pasji popełnić kradzież. Tak utrzymywał on sam, co rzecz jasna miało stanowić okoliczność łagodzącą.

Ale wiele wskazuje na to, że prawda jest prozaiczna. – To była kradzież na zamówienie. W domu złodzieja nie było nawet jednego albumu, który świadczyłby o tym, że interesuje się sztuką. Jego pech polegał na tym, że wycinając obraz z ram, uszkodził podpis malarza. Tajemniczy zleceniodawca wycofał się więc z transakcji – mówił mi po odzyskaniu obrazu Piotr Ogródzki, nieżyjący już dyrektor państwowego Ośrodka Ochrony Zbiorów Muzealnych.

Podobno od czasu kradzieży obrazu Moneta wiele się w polskich muzeach zmieniło. Przeprowadzono szkolenia i złodziejski sposób „na malowanie szkicu” jest już spalony.

DAMA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Szczególnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa muzealnych zbiorów są wszelkie niestandardowe sytuacje, np. remonty, a także wypożyczanie dzieł sztuki na wystawy czasowe.

– Najgorzej jeśli są to wystawy, w których bierze udział wiele muzeów. Momentem krytycznym jest pakowanie eksponatów – całe zamieszanie z kartonami, folią bąbelkową, styropianem. Kręci się masa pracowników technicznych. W takich okolicznościach zginęły nam dwa ordery należące do księcia Józefa Poniatowskiego, wypożyczone na wystawę w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Mówię o tym spokojnie, bo odnaleziono je na Ukrainie i zwrócono – opowiada Zofia Gołubiew, była dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie.

Jak można się spodziewać, najbardziej stresowało ją bezpieczeństwo najcenniejszego obrazu, który znajduje się w polskich zbiorach i zarazem jednego z najpiękniejszych portretów na świecie – namalowanej przez Leonarda da Vinci „Damy z gronostajem”.

Z zaciśniętymi zębami, ulegając woli Fundacji Czarotoryskich, przez lata nie mogła zabronić wypożyczania arcydzieła na wystawy międzynarodowe. Za każdym razem bała się nie tylko, że namalowanemu na deszczulce obrazowi zaszkodzą transport i zmiana warunków. Obawiała się też, że może zostać skradziony.

– Ścisłą tajemnicą był moment, w którym „Dama z gronostajem” opuszczała muzeum. A także trasa transportu i samochód, którym wywozi się ją z muzeum. Niewiele osób miało te informacje – mówi Zofia Gołubiew.

Zdarzyła się w związku z tym dziwna sytuacja. Przed kolejnym wyjazdem obrazu da Vinci za granicę zgłosiło się do niej dwóch policjantów w cywilu. Tłumaczyli, że przydadzą się dodatkowi ludzie, którzy będą obserwować otoczenie.

– Pomyślałam, że to dobry pomysł. Ale coś mnie tknęło, gdy zaczęli dopytywać o dokładny termin transportu. Powiedziałam, że jeszcze go nie ustalono. Gdy wyszli, zadzwoniłam na policję. Nie wysłali żadnych funkcjonariuszy w cywilu – opowiada mi Zofia Gołubiew.

Do dziś żyje w przeświadczeniu, że to świat przestępczy wysłał tych ludzi. I gdyby wyciągnięto z niej informację, przy samochodzie z „Damą z gronostajem” pojawiłoby się nie dwóch, lecz więcej uzbrojonych przestępców.

Jednak moi rozmówcy, zajmujący się ochroną dzieł sztuki, którym opowiedziałam o tej sytuacji, mają na ten temat inną teorię. Uważają, że to służby testowały panią dyrektor, by sprawdzić, czy zachowane są wszelkie procedury bezpieczeństwa.

Z głębokim smutkiem przyjęłam wiadomość o śmierci

ŚP

**GEN. BRYG. TADEUSZA BIEŃKOWICZA
„RĄCZEGO”**

urodzonego 15 kwietnia 1923 roku w Lidzie.

We wrześniu 1939 roku był ochotnikiem

w lidzkim baonie frontowym harcerzy.

Od maja 1943 roku uczestniczył w akcjach bojowych

Oddziału Partyzanckiego „Krysi”

w Nowogródzkim Okręgu Armii Krajowej.

18 stycznia 1944 roku dowodził grupą szturmową

podczas akcji odbicia więźniów w Lidzie.

W Akcji „Burza” służył w 2. batalionie 77. Pułku Piechoty AK.

Od stycznia 1945 roku żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej.

W czerwcu 1950 roku aresztowany, następnie poddany wielomiesięcznym torturom

i skazany za działalność antykomunistyczną na karę dożywotniego więzienia.

W maju 1956 roku zwolniony na mocy amnestii.

Założyciel i Prezes Polskiego Związku Więźniów Komunistów,

Wiceprezes Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego,

Sekretarz Małopolskiej Rady Komendantów i Osób Represjonowanych.

Wybitnie zasłużony w pielęgnowaniu pamięci o najnowszej historii Polski.

Uchonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari,

Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,

Krzyżem Walecznych

oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Komendantów i Osób Represjonowanych



Turbulencje podniebnego giganta

Rynek samolotów pasażerskich jest podzielony między Boeinga i Airbusa. Pogoń za zyskiem wpełchnęła jednak amerykańskiego giganta w poważne kłopoty. Dotychczasowe ustalenia w sprawie dwóch katastrof najnowszego samolotu Boeing 737 MAX dowodzą, że maszynę wprowadzano do produkcji w ogromnym pośpiechu. Afera, która poważnie nadszarpnęła kondycję finansową i reputację koncernu, ma jednak dobre strony. Po takiej nauczce nie wypuści już na rynek samolotu, który nie przejdzie najostrzejszych testów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na płycie lubelskiego lotniska w Świdniku od wielu miesięcy stoi w kącie kilka samolotów. Nigdzie nie latają, ich silniki i kabiny są szczelnie osłonięte pokrowcami. Co pewien czas pojawiają się w nich technicy

kontrolujący sprawność systemów. To jedyny moment, gdy odstawione maszyny na chwilę ożywają.

Unieruchomione samoloty to najnowszy model Boeinga, typ 737 MAX. Część wyprodukowano niecałe dwa lata temu, inne są jeszcze młodsze. Wszystkie należą do LOT, jeden egzemplarz nosi białoczerwone oznakowanie z okazji stulecia niepodległości.

Nasze linie były bardzo dumne, gdy weszły do wąskiego grona pierwszych użytkowników najnowszego modelu Boeinga. Jednak radość trwała krótko. Po dwóch katastrofach – najpierw w In-

donezji, a potem w Etiopii – wszystkie samoloty tego typu, w tym również polskie, zostały w marcu uziemione. Kiedy znów wzbiją się w powietrze? Najnowsze informacje mówią, że najwcześniej wiosną przyszłego roku. Wszystko zależy od tego, czy samoloty przejdą pomyślnie ponowny proces certyfikacyjny dopuszczający je do lotów.

SZALONY SYSTEM

Boeing 737 MAX miał być wielkim hitem na rynku samolotów wąskokadłubowych. Najnowsza, czwarta już generacja



produktowanego od półwiecza popularnego odrzutowca została wyposażona w oszczędne silniki i wyrafinowane systemy elektroniczne. Nowe silniki były jednak znacznie większe od stosowanych w poprzednich modelach, co zmieniło właściwości aerodynamiczne maszyny. Samolot miał tendencję do zadzierania nosa przy starcie, co groziło przeciągnięciem samolotu (czyli utratą jego siły nośnej prowadzącą do upadku na ziemię), dlatego został opracowany specjalny system stabilizacji mający zapobiec temu niebezpiecznemu zjawisku.

System o nazwie MCAS pobierał dane o parametrach lotu ze specjalnych czujników na kadłubie. Na ich podstawie automatycznie i bez wiedzy pilotów korygował stery wysokości samolotu, opuszczając w ten sposób nos maszyny. Jak się jednak okazało, MCAS otrzymywał niewłaściwe dane z czujników i załączał się w zupełnie nieprzewidzianych momentach. Nieprawidłowe działanie tego systemu doprowadziło w końcu do dwóch katastrof, w których łącznie zginęło 346 osób. Pierwszą, do której doszło w październiku 2018 r. w Indonezji, zignorowano, zrzucając winę na rzekomo niedoświadczonych pilotów. Jednak drugiej, która wydarzyła się 10 marca 2019 r., a więc zaledwie pół roku później, nie dało się już zlekceważyć. Tuż po starcie z lotniska w Addis Abebie samolot linii Ethiopian Airlines wymknął się spod kontroli pilotów. Zamiast nabierać wysokości, ciągle opuszczał dziób i ostatecznie runął na ziemię. Było już jasne, że winą nie

leży po stronie załogi, lecz jest rezultatem błędów konstrukcyjnych. Wkrótce potem wszystkie samoloty Boeing 737 MAX zostały uziemione.

Od tej pory rozpoczęło się pasmo kłopotów Boeinga. W trakcie dochodzenia zaczęły wychodzić na jaw szokujące informacje. Przede wszystkim się okazało, że Federalna Agencja Lotnictwa (FAA), instytucja, która dopuszcza do lotu nowe samoloty w Stanach Zjednoczonych, zgodziła się na to, aby to Boeing sam przeprowadził zasadniczą część certyfikacji swojego najnowszego modelu. Koncernowi zależało zaś na tym, aby samolot jak najszybciej trafił do przewoźników, i to jak najtańszym kosztem. Firma reklamowała swój nowy produkt jako kolejną wersję 737. Dzięki temu linie lotnicze nie musiały przeprowadzać kosztownych szkoleń dla pilotów. Zamiast nich pokazywano im jedynie trwający niecałą godzinę film na iPadzie, który opowiadał o różnicach między nową a starą wersją 737. Takie „szkolenie” miało wystarczyć, aby zasiąść za sterami nowego modelu. Jednak linii lotniczych i pilotów nie poinformowano o rzeczy najważniejszej – o niebezpieczeństwie, które stwarza źle działający system stabilizacji lotu.

Łącznie uziemiono 387 samolotów Boeing 737 MAX należących w sumie do 43 linii lotniczych. Polski LOT nie może korzystać z pięciu maszyn

Dochodzenie wykazało bowiem, że kierownictwo koncernu zdawało sobie sprawę z wadliwego systemu MCAS, ale ukrywało tę informację przed klientami. Już w 2016 r. piloci testowi Boeinga skarżyli się, że system załącza się „jak szalony” i może stwarzać zagrożenie. Jeden z inżynierów koncernu Curtis Ewbank zaproponował wtedy, aby zainstalować w nowej maszynie dodatkowe oprogramowanie

– tzw. syntetyczną prędkość – które, pobierając dane z wielu sensorów, mogło wychwycić nieprawidłowe działanie MCAS i zapobiec kłopotom. Oprogramowanie takie stosowane jest z powodzeniem w innym modelu Boeinga – w Dreamlinerze.

Kierownictwo koncernu zignorowało jednak tę propozycję, uznając, że będzie ona wymagać przekonstruowania samolotu (chodziło m.in. o instalację nowych czujników), co zwiększy koszty programu, wydłuży napięty harmonogram dostaw i skomplikuje proces certyfikacji. W rezultacie samolot trafiał do klientów z potencjalną bombą zegarową na pokładzie.

Korzystając z wewnętrznej procedury korporacyjnej, Ewbank napisał oficjalną skargę w tej sprawie, zaznaczając, że działania kierownictwa wskazują na panującą w nim kulturę prymatu zysku nad kwestiami bezpieczeństwa.

DRABINA W OGONIE

Ujawnione w amerykańskich mediach zarzuty Ewbanka sprawiły, że na światło dzienne zaczęły wychodzić inne kłopoty Boeinga. Okazało się, że starsza generacja modelu 737 również ma poważną wadę. Chodzi na szczęście o niewielką liczbę samolotów, w których przypadkiem wykryto niebezpieczne pęknięcia w okuciu mocowania skrzydła do kadłuba. Samoloty, w których wykryto tę usterkę, natychmiast uziemiono i poddano naprawom. W tej chwili specjaliści zastanawiają się nad tym, jak to możliwe, aby tak newralgiczny element samolotu zużywał się w tak krótkim czasie. Żywotność okuć była obliczona na 90 tys. cykli startów i lądowań, a więc w praktyce na całe życie

samolotu, a tymczasem pęknięcia pojawiły się już po prawie 35 tys. cykli. Wcześniej w innej grupie samolotów zauważono wadliwe mechanizmy poruszające slotami, elementami znajdującymi się na krawędzi natarcia skrzydła i służącymi do zwiększenia siły nośnej samolotu podczas startu i lądowania.

Problemy dotyczyły też flagowego liniowca Boeinga – modelu 787 Dreamliner, który również był konstruowany

w pośpiechu, aby uprzedzić konkurencję. W samolocie zapalały się baterie, na szczęście problem rozwiązano, umieszczając je w specjalnych próżniowych pojemnikach. Część dreamlinerów ma także kłopoty z szybko zużywającymi się, niedopracowanymi silnikami, choć tutaj wina leży po stronie producenta tych silników – firmy Rolls-Royce. Podobny kłopot, tyle że z najnowszą generacją silników General Electric, ma wchodząca właśnie do produkcji nowa wersja dalekodystansowego modelu 777.

Również amerykańskie siły powietrzne, które kupują od Boeinga tankowce powietrzne KC-46 Pegasus, skarżyły się na złą jakość montażu. Skandalem było odnalezienie wewnątrz kadłubów różnych narzędzi, podobno w stateczniku jednej z maszyn pozostawiono drabinę (!).

Reputacja koncernu, uchodzącego dotąd za solidną firmę, bardzo na tym cierpi. Prezes linii Emirates Tim Clark uzależnił zakup najnowszej wersji modelu 777 od bardzo gruntownej certyfikacji pod względem bezpieczeństwa. „Musimy mieć absolutną pewność, że wszystko zostało zrobione, jak trzeba. Chcę, by jeden samolot przeszedł przez piekło na ziemi po to, aby być pewnym, że wszystko w nim funkcjonuje” – powiedział Clark.

Jak się okazało, Clark wiedział, co mówi. We wrześniu testowy egzemplarz 777 nie wytrzymał próby ciśnieniowej i doszło w nim do wyrwania klapy bagażnika. Na szczęście takie próby odbywają się na ziemi.

ZYSK PONAD WSZYSTKO

Boeing to legenda światowego lotnictwa. Zawsze słynął z solidności, nowoczesnych technologii i niekonwencjonalnych rozwiązań. Z biur konstrukcyjnych tej istniejącej od 1916 r. firmy wyszły legendarne bombowce, takie jak „Latająca Forteca” B-17, „Superforteca” B-29 czy ich odrzutowy następca – B-52. Jednak koncern zyskał największą renomę i pozycję na światowym rynku lotniczym, konstruując udane samoloty pasażerskie. Drogę do

sukcesu uTORował mu w latach 50. ubiegłego wieku odrzutowy liniowiec 707, a kilkanaście lat później Boeing znalazł się na czołowym miejscu, konstruując słynnego jumbojeta 747.

Po drodze rosnący w siłę Boeing eliminował lokalnych konkurentów, udało mu się wypchnąć z rynku cywilnych maszyn Lockheed’a, a w 1997 r. przejął swojego największego rywala – koncern McDonnell-Douglas. Od tej pory niepodzielnie króluje jako największy i jedyny producent samolotów pasażerskich w Ameryce, dzieląc światowy rynek i zaciekle konkurując o zyski z europejskim Airbusem.

Przez ostatnie lata walka między Boeingiem i Airbusem była wyrównana. Obie firmy polowały po drodze mniejszych producentów (Boeing przejął cywilną produkcję brazylijskiego

Zdaniem pracującego w Boeingu inżyniera Curtisa Ewbanka działania jego kierownictwa wskazywały na to, że prymat zysku wziął górę nad kwestiami bezpieczeństwa

Embraera, a Airbus linię produkcyjną najnowszych odrzutowców regionalnych kanadyjskiego Bombardiera) i zmagaly się w nieustannej rywalizacji na bardziej oszczędne i tańsze w eksploatacji maszyny.

Jednocześnie doprowadziło to do zmian w zarządzaniu. Dawni producenci, u których liczyła się przede wszystkim myśl techniczna i solidność, przekształcili się w wielkie korporacje nastawione głównie na zysk. Właściciele firm, nierzadko sami będący inżynierami i konstruktorami, oddali miejsce w zarządach specjalistom od księgowości i finansów. W rezultacie koncerny lotnicze zaczęły się zajmować głównie sprzedażą i akwizycją, oddając produkcję w ręce zewnętrznych

kontrahentów dostarczających im do ostatecznego montażu poszczególne elementy samolotów: skrzydła, kadłuby, usterzenia, podwozia czy systemy lotu. Taki wolnorynkowy system, promujący w założeniu najlepszych dostawców, okazał się w praktyce daleki od ideału.

CHYTRY DWA RAZY TRACI

Pogoń za zyskiem i szukanie oszczędności doprowadziły w końcu do opłakanych skutków. Katastrofy w Indonezji i Etiopii oraz uziemienie wszystkich samolotów z serii 737 MAX kosztowały już Boeinga ponad 8 mld dol. strat, a będą kosztować jeszcze więcej, gdy przyjdzie wypłacić odszkodowania liniom lotniczym, które musiały unieruchomić swoje maszyny.

Przede wszystkim jednak ucierpiała reputacja firmy, a w rezultacie drastycznie spadły zamówienia na nowe samoloty. Z powodu tych kłopotów zagrożony jest program nowego samolotu środka rynku (MMA), na który jest spore zapotrzebowanie linii lotniczych. W tej konkurencji Boeing już na starcie przegrywa z Airbusem.

Niedawno agencja Standard & Poor’s obniżyła Boeingowi perspektywę ratingu ze stabilnej na negatywną, co oznacza, że koncern, zaciągając kredyty, będzie musiał więcej za nie płacić. W październiku doszło też do długo oczekiwanych zmian we władzach Boeinga. Stanowisko stracił Kevin McAllister, prezes Boeing Commercial Aviation (spółki produkującej samoloty cywilne), a dotychczasowy prezydent całego koncernu Dennis Muilenburg pełni już tylko funkcję prezesa zarządu. Rezygnacje złożyły też osoby odpowiadające w koncernie za komunikację.

Problem tkwi jednak nie w złej komunikacji, ale w niewłaściwych priorytetach. W tej chwili Boeing chce poprawić swoją reputację i podkreśla, że bezpieczeństwo jest dla firmy najważniejsze. Ma nadzieję, że już wkrótce uziemione 737 MAX wrócą w powietrze.

Również FAA, mocno krytykowana za zbyt bliskie związki z Boeingiem, zapewnia, że tym razem proces certyfikacji samolotów do lotu będzie bar-

dzo skrupulatny. Jej szef Steve Dickson zapowiedział, że nie podpisze decyzji o powrocie samolotów do służby, dopóki sam nim nie poleci i nie zawała się zabrać na pokładzie swojej rodziny. „Wiem, że istnieje ogromna presja na szybki powrót tych samolotów, ale chcę, abyście wiedzieli, że macie się nie spieszyć i skupić jedynie na bezpieczeństwie” – polecił swoim inspektorom Dickson. Boeing z kolei zapowiedział, że podda się wszelkim surowym zaleceniom.

NIE TYLKO BOEING

Łącznie uziemiono 387 samolotów Boeing 737 MAX należących w sumie do 43 linii lotniczych. Polski LOT jest tu jeszcze w nie najgorszej sytuacji, bo odebrał zaledwie pięć maszyn (z 15 zamówionych) i zdołał je zastąpić samolotami wynajętymi naprędce od innych linii.

Znacznie większe kłopoty mają ci przewoźnicy, którzy oparli swoją flotę na jednym typie samolotu, w większości linie niskokosztowe, takie jak irlandzki Ryanair czy amerykański Southwest, które użytkują po kilkaset maszyn jednego typu.

Jeden typ samolotu (w tym przypadku Boeing 737) pozwala obniżyć koszty eksploatacji, ale w sytuacji, gdy maszyna ma wady i trzeba ją natychmiast zastąpić, zaczynają się kłopoty. Z powodu uziemienia 737 MAX i przerwania dostaw nowych samolotów, wszystkie wymienione linie nadal używają poprzedniej wersji 737, co oznacza dla nich wyższe wydatki, bo starsze maszyny wymagają większego i bardziej pracochłonnego serwisu. Przekraczanie budżetu prowadzi z kolei do pogorszenia kondycji finansowej przewoźników. W tarapaty wpadły już linie Norwegian (również w całości używające samolotów Boeinga), a targany wieloma innymi kłopotami Ryanair zmuszony był zmodyfikować swój model biznesowy, tworząc w miejsce jednej linii kilka rywalizujących z sobą spółek (w Polsce będą one latać pod marką Buzz).

Oczywiście największy kłopot ma jednak Boeing, bo będzie musiał wypłacić swoim klientom wysokie odszko-

dowania. Według wyliczeń z listopada może go to kosztować ponad 10 mld dol., a ta kwota ciągle rośnie, bo przecież maszyny nadal stoją na ziemi.

Na ziemi stoją też dziesiątki nowiutkich samolotów nieodebranych przez klientów. Od chwili wydania zakazu lotów na 737 MAX linie produkcyjne Boeinga opuściło około 200 egzemplarzy tego typu, które nie mieszczą się już na lotnisku fabrycznym w Renton i częśc

Właściciele firm lotniczych, nierzadko sami będący inżynierami i konstruktorami, ustąpili miejsca specjalistom od finansów. Koncerny zaczęły się zajmować głównie sprzedażą i akwizycją

z nich trzeba było ustawić na parking samochodowym dla pracowników koncernu. Kolejne samoloty opuszczające fabrykę przebazowano na inne lotniska.

Produkcja modelu 737 MAX cały czas trwa, bo przed katastrofą w Etiopii i uziemieniem maszyn koncern zebrał aż 5 tys. zamówień na ten samolot. I liczy, że gdy tylko 737 MAX znów zacznie latać, dostawy będą mogły ruszyć z miejsca.

Jednak część klientów – na razie jeszcze stosunkowo niewielka – anulowała zamówienia na najnowsze samoloty Boeinga. Z kontraktów na dostawy 737 MAX wycofały się już m.in. indonezyjska Garuda (49 maszyn) i niskokosztowy Flyadeal z Arabii Saudyjskiej (30 maszyn). Łącznie Boeing – jak donosi „The Wall Street Journal” – utracił ok. 200 zamówień, przy czym niektóre z nich zostały spowodowane bankrutami przewoźników.

Koncern ma też problemy z pozyskaniem nowych klientów. I nie chodzi tylko o felerne 737 MAX, ale również o inne modele. O ile jeszcze w 2018 r.

udało mu się zebrać ponad 1 tys. zamówień, o tyle w ciągu tego roku było ich zaledwie 180, przy czym liczba ta nie uwzględnia anulowanych kontraktów. Dla porównania Airbus zainkasował ponad 700 nowych zamówień. Po uwzględnieniu anulowanych umów liczba ta spada do ponad 500, ale to i tak zdecydowanie więcej niż u amerykańskiego rywala.

Nic w tym dziwnego, bo nawet linie dotąd wierne amerykańskiemu producentowi tracą cierpliwość i zaczynają zerkać w stronę Airbusa. We wrześniu prezes LOT Rafał Milczarski poinformował, że Polskie Linie Lotnicze są w trakcie procedury wyboru kolejnych samolotów i niewykluczone, że do naszej floty trafią pierwsze maszyny Airbusa.

Jednak żeby oddać sprawiedliwość, należy wspomnieć, że również Airbus ma kłopoty z bezpieczeństwem. Znane były przynajmniej dwa przypadki eksplozji silnika w dwupokładowym modelu 380, na szczęście samoloty zdołały bezpiecznie wylądować. Tu również – podobnie jak w dreamlinerach – winny był producent silników, firma Rolls-Royce. Kłopoty z silnikami (tym razem firmy Pratt & Whitney) ma także najnowszy, skonstruowany w Kanadzie, regionalny odrzutowiec A220. Potencjalnie niebezpieczną usterkę wykryto też w najnowszej wersji popularnego modelu 321. Według ostrzeżenia wydanego w lipcu przez Europejską Agencję Bezpieczeństwa Lotniczego (EASA) usterka dotyczy zainstalowanego w samolocie systemu kontroli lotu, co może wskazywać, że mamy tu do czynienia z przypadkiem podobnym do wadliwego systemu MCAS.

To wszystko nie oznacza jednak, że latanie samolotem stało się ryzykowne. Przeciwnie, z roku na rok liczba katastrofi poważnych wypadków lotniczych jest coraz mniejsza. Paradoksalnie, do poprawy bezpieczeństwa z pewnością przyczyni się również afera z samolotami Boeinga. Należy bowiem sądzić, że po takiej nauce amerykański koncern nie wypuści już na rynek samolotu, który nie przejdzie wcześniej najostrożniejszych testów.



Urzednik doskonaly

Wysłał ponad 1,5 tys. Żydów do Oświęcimia, odpowiadał też za tortury, wreszcie masakrę Algierczyków w Paryżu w 1961 r. Mimo to Maurice Papon był prefektem, merem, szefem policji, a nawet ministrem finansów Francji. Otrzymał też Legię Honorową



WOJCIECH LADA

Po raz pierwszy i ostatni Maurice Papon uciekł, dobiegając już dziewięćdziesiątki. Nigdy wcześniej tego nie robił, bo całe życie był absolutnie przekonany o swojej niewinności. Wychował się na południu Francji w zamożnej mieszczańskiej rodzinie, której członkowie od pokoleń piastowali wysokie stanowiska urzędnicze. I to właśnie urzędnicze cnoty od dziecka wpajano Paponowi: lojalność,

bezwzględne poszanowanie litery prawa, a przede wszystkim posłuszeństwo, które, jak ujął to Max Weber, jest honorem urzędnika.

Nie było więc dla niego moralnym problemem wysyłanie w 1942 r. kolejnych transportów Żydów do Oświęcimia – takie obowiązywało w republice Vichy prawo, on więc je posłuszenie wykonywał. Nie było nim też wydanie rozkazu strzelania ostrą amunicją do protestujących na ulicach Paryża w 1961 r. Algierczyków – wbrew obowiązującemu prawu zakłócali oni porządek publiczny, problem należało więc rozwiązać. Urzędnik może być odpowiedzialny, ale nigdy winny – Papon nie czuł się więc moralnie winny, choć jednocześnie był gotów przyjąć za swoje czyny odpowiedzialność. I dla tego nigdy wcześniej nie uciekał.

Pod koniec ubiegłego wieku coś się jednak musiało zmienić w jego skali ocen moralnych. Podobno dużo czytywał wtedy Marka Aureliusza, Szekspira i Montaigne'a – może właśnie oni mieli na to jakiś wpływ. Tak czy inaczej w 1998 r. wyszedł ze swojej podpartyjskiej rezydencji, wsiadł do samochodu i, nie czekając na wyrok sądu, uciekł do Szwajcarii.

POCIĄGI DO AUSCHWITZ

Papon był klasycznym, niemal schematycznym produktem środowiska, w jakim wyrastał. Przepiękne okolice Bordeaux, wspaniała rodzinna posiadłość, sielskie dzieciństwo, doskonałe wykształcenie. „Mało rzeczy może się równać ze słodyczą życia w Bordeaux, gdy wybitny młody urzędnik, o którym

już się szepcze, że czeka go świetna przyszłość, kończy dzień i może się zatopić w luksusie, do którego jest przyzwyczajony i do którego należy dobra biblioteka z klasykami” – zauważała w „Zeszytach Literackich” obserwująca jego proces Ewa Bienkowska. Kiedy w 1940 r. Niemcy podbili Francję i z jej kawałka utworzono republikę Vichy, miał 30 lat i w zasadzie nic się w jego życiu nie zmieniło. To, że władzę sprawował marszałek Pétain, a jego bezpośrednim zwierzchnikiem był Adolf Hitler, nie stanowiło problemu – Pétain otrzymał przecież swoją władzę od deputowanych francuskiego parlamentu w sposób całkowicie demokratyczny. Papon w dalszym ciągu wykonywał więc swoje obowiązki sekretarza generalnego prefektury w Bordeaux.

Do jego obowiązków należało m.in. zorganizowanie transportów podległej mu ludności żydowskiej do obozu koncentracyjnego w miejscowości Drancy, skąd stopniowo wywożeni byli do Oświęcimia. Na stosownych dokumentach widnieją jego podpisy, choć nie wszystkie papiery się zachowały. Ostatecznie oskarżono go o wysłanie sześciu z ośmiu podobnych transportów, nie ma jednak wątpliwości, że był odpowiedzialny za wysłanie wszystkich – łącznie ponad 1,5 tys. osób, w tym około 200 dzieci. Nie był antysemitą – żadne dowody, wspomnienia ani relacje na to nie wskazują. Jego udział w tym procederze był czysto urzędniczy. Beznamiętnie, mechanicznie podpisywał dokumenty, by o godz. 16 wyjść z biura i rozkoszować się słodyczą mieszczańskiego życia na południu Francji.

Był jednak człowiekiem szalenie inteligentnym i zdawał sobie sprawę, że w 1944 r. Niemcy, a wraz z nimi Vichy, wkrótce upadną. W czerwcu rozpoczęła się operacja „Overlord”, w sierpniu siły aliantów wylądowały na terenie Francji, całkiem niedaleko Bordeaux. W tej sytuacji Papon nawiązał kontakty z ruchem oporu, choć ostatni transport Żydów został przez niego wysłany jeszcze w tym roku. Prawdopodobnie właśnie te kontakty – choć nie do końca wiadomo,

co właściwie dla ruchu oporu robił – nie tylko ocaliły mu życie, lecz także zapewniły dalszą karierę.

To było niezwykle. Graham Greene w opowiadaniu „Dziesiąty człowiek” opisuje atmosferę francuskiej prowincji tamtych miesięcy. Wszyscy wypatrywali byłych kolaborantów, mnożyły się samosady, a powszechna podejrzliwość osiągała stopień wręcz patologiczny. Papon tymczasem, po kilku przesłu-

Nie był antysemitą – żadne dowody, wspomnienia ani relacje na to nie wskazują. Jego udział w deportacji Żydów był czysto urzędniczy. Beznamiętnie, mechanicznie podpisywał dokumenty, by o godz. 16 wyjść z biura i rozkoszować się słodyczą mieszczańskiego życia na południu Francji

chaniach, został całkowicie uwolniony od jakichkolwiek zarzutów i znów bez problemu kontynuował swoją pracę w administracji. To bez znaczenia, że teraz jego szefem był przewodniczący rządu tymczasowego Charles de Gaulle. Nawiasem mówiąc, generał bardzo ceniał Papon – był przecież urzędnikiem doskonałym.

PRZEMILCZANA MASAKRA

Jego kariera toczyła się niezmiernie szybko, w czym bardzo pomógł mu w 1954 r. wybuch powstania Algierczyków, które szybko zmieniło się w otwartą wojnę. Papon był wówczas prefektem regionu Constantinois, leżącego w północno-wschodniej Algierii, i wykazywał podobno wyjątkową aktywność przy tłumieniu walk w zbuntowanej

prowincji. Masowe aresztowania podejrzanych, brutalne przesłuchania czy po prostu tortury to wówczas codzienność. Papon nigdy nie działał wbrew prawu – po prostu do maksimum wykorzystywał przyznane mu uprawnienia, a że Algieria była wtedy w stanie wojny, były to uprawnienia wojenne. Z pewnością jego sukcesy zwróciły uwagę najwyższych francuskich władz, skoro wkrótce został szefem policji w samym Paryżu.

A ktoś taki jak on był w stolicy pilnie potrzebny. Konflikt algierski nie tylko nie wygasł, lecz z każdym miesiącem nakręcał spiralę wzajemnej brutalności i przemocy. Im częściej wojska francuskie dokonywały masowych rozstrzelań, pacyfikowały całe miejscowości i bombardowały cywilów, tym częściej odpowiedzią na to były mnożące się akty terroru. Już nie tylko w samej Algierii, lecz i w głębi Francji – również w Paryżu. Sytuacja wydawała się patowa, a w takich właśnie osoby takie jak Papon sprawdzały się najlepiej. Jego metody były proste i wielokrotnie sprawdzone wcześniej w Algierii – aresztowania, bicie i nieustająca inwigilacja.

Kłopot w tym, że w Algierii trwała wojna i dość łatwo było odróżnić wroga od sojusznika.

W wielokulturowym Paryżu potencjalną ofiarą stawał się każdy człowiek o nieco ciemniejszej karnacji. Napięcie w arabskich dzielnicach narastało więc z dnia na dzień, a jego kulminację przyniósł 17 października 1961 r.

Nieco wcześniej Papon zarządził wprowadzenie w mieście godziny policyjnej, mającej jednak obowiązywać wyłącznie ludność muzułmańską. W proteście muzułmanie zorganizowali manifestację, która z dzielnic peryferyjnych kierowała się w stronę centrum miasta. Wznoszono okrzyki, na tablicach wypisano odpowiednie hasła – nie było jednak przemocy, z założenia demonstracja była pokojowa. Brały w niej zresztą udział i kobiety, i dzieci, w sumie ok. 20 tys. ludzi. W odpowiedzi Papon wyraził zgodę na użycie przez policję broni.

„Najslabsi, kompletnie zakrwawieni, byli katowani na śmierć, widziałam to”

– zeznawała pod koniec lat 90. XX w. uczestniczka wydarzeń Saad Ouazen. Bity pałkami tłum rozbiegł się w panice we wszystkie strony, niektórzy usiłowali uciekać, rzucając się do Sekwany. Mimo że opór praktycznie nie istniał – wkrótce odezwały się też strzały. Trupy szybko zabierano do samochodów, zaś pobitych demonstrantów aresztowano i wywożono do Pałacu Sportów albo na Stade Pierre de Coubertin. Blisko 11 tys. ludzi stłoczono na niewielkiej przestrzeni, bez żadnych warunków sanitarnych. Tutaj również bicie się nie skończyło – przeciwnie, brutalizowało się z dala od oczu dziennikarzy i kamer. Następnego dnia Papon oficjalnie przyznaje, że padły trzy ofiary śmiertelne, w tym jeden, biały Francuz. W rzeczywistości – szacunki są różne i nie mogą być precyzyjne – zginęło od 100 do 200 Algierczyków, a samo wydarzenie nazywa się dziś wprost masakrą paryską.

Rząd był jednak zadowolony. Wkrótce potem, w uznaniu dla jego skuteczności, na piersi Maurice'a Papon'a zawisło najwyższe francuskie odznaczenie – Legia Honorowa.

NIECHCIANY PROCES

Przez kolejnych 20 lat o masakrze nie mówiło się właściwie nic. Tym bardziej że kilka miesięcy później Algieria uzyskała niepodległość, a wraz z nią Paryż udzielił amnestii więźniom politycznym. O Paponie jednak pisało się sporo, choć bez związku ze sprawą. Jego kariera rozwijała bowiem w najlepszym. Dwukrotnie piastował stanowisko mera, był parlamentarzystą, a pod koniec lat 70. wszedł nawet do rządu Raymonda Barre'a jako minister finansów. Wszystko wskazywało na to, że spokojnie dożyje w tej roli do emerytury – miał już przecież 70 lat.

W 1981 r. nastąpiło jednak tąpnięcie. Wtedy właśnie satyryczne pismo „Le Canard enchaîné” opublikowało artykuł o wojennej przeszłości Papon'a, temat natychmiast podchwyciły inne media, a to oznaczało praktycznie koniec jego politycznej kariery. Czy bardzo się tym przejął? Z powodów naturalnych ka-

riera ta i tak się kończyła, a mając tak rozległe znajomości w najwyższych sferach, mógł liczyć na spowalnianie sprawy i medialne wyciszenie tematu. I miał rację. Mimo że sprawa trafiła do prokuratury, dochodzenie trwało kolejnych 18 lat. Gdyby nie okazał się nadzwyczaj zdrowym i długowiecznym człowiekiem, najpewniej uniknąłby kary.

To właśnie urzędnicze cnoty od dziecka wpajano Paponowi: lojalność, bezwzględne poszanowanie litery prawa, a przede wszystkim posłuszeństwo, które – jak ujął to Max Weber – jest honorem urzędnika

Zmieniały się jednak i czasy, i rządy. W pewnym momencie nie blokowano już informacji o masakrze paryskiej, a kwestię kolaboracji w czasie II wojny światowej ostatecznie uciął w 1995 r. prezydent Jacques Chirac, stwierdzając, że Vichy stanowiło nieprzerwany byt narodu francuskiego i ponosi współodpowiedzialność za losy żyjących tam Żydów. W tej sytuacji postawienie Paponowi zarzutu zbrodni przeciwko ludzkości pozostawało tylko kwestią czasu.

Proces rozpoczął się w 1997 r. Trwał pół roku – odwlekał się nieustannie, przerywany powtarzającą się nieobecnością schorowanego i, bądź co bądź, 90-letniego wówczas oskarżonego. Wzbudził ogromne zainteresowanie mediów. „Reporterzy, którzy na początku procesu uganił się za nim po wyjściu z sali sądowej, donosili, w jakich to wykwinnych restauracjach spędza wieczory, jakie menu zamówił na kolację. Doszli nawet do tego, jakie książki leżą na jego nocnym stoliku” – relacjonowała wówczas Ewa Bieńkowska.

A o samym Paponie pisała: „Nie budzi sympatii ani współczucia – przeciwnie. Godny, formalistyczny, zawsze w pozycji zaczepno-obronnej, odrzucający się z mocą od horroru hitlerowskiego programu Zagłady”.

Pewnie naprawdę tak myślał, ale wierzył też w prawo. Nie przyznawał się do winy, podczas przesłuchania stwierdził jednak, że sąd ma dwa wyjścia: albo uznać go za winnego i skazać na najwyższy wymiar kary, albo całkowicie uwolnić od zarzutów. Bo jak wprowadzić gradację ludobójstwa? „Jestem winny na 15, 30 a może 60 proc.?” – pytał arogancko, ale zasadniczo miał rację.

Wyrok dziesięciu lat pozbawienia wolności, jaki ostatecznie zapadł, był w zasadzie w większym stopniu porażką Francji niż samego Papon'a. On w tym wieku nie miał już wiele do stracenia. Francja owszem – straciła ostatnią okazję do rozliczenia się z przeszłością. Ale chyba naprawdę wszystkim zależało na tym, żeby sprawę wyciszyć. Początkowe zainteresowa-

nie reporterów procesem, z tygodnia na tydzień słabło i temat schodził na coraz dalsze strony gazet. Po wyroku zaś wyraźnie ułatwiono Paponowi ucieczkę z kraju. Podczas procesu jego dom był nieustannie nadzorowany przez policję, po wyroku patroli nagle zniknęły, choć jednocześnie wiadomo, że był on nieustannie namierzany przez francuskie służby specjalne. Agenci znali każdy jego krok – czy mogli nie zauważyć, że nie czekając na wyrok wyższej instancji, do której się odwołał, wsiadł do samochodu i spokojnie wyjechał do Szwajcarii?

Trudno dociec, kto ostatecznie zdecydował o jego ekstradycji. Wkrótce jednak Papon został ściągnięty do Francji i osadzony w podparyskim więzieniu Fresne. Podobno więźniowie wyli i gwizdali, kiedy policyjny śmigłowiec lądował na więziennym dziedzińcu – tutaj też nikt go nie chciał. Nie posiadał długo za kratami. Ze względu na zły stan zdrowia został zwolniony już w 2002 r. Kolejnych pięć lat, aż do śmierci, przeżył jako wolny człowiek.

Norton drugim Eastwoodem?

„Osierocony Brooklyn” to bardzo ambitne dzieło wybitnego aktora Edwarda Nortona. W swoim drugim reżyserskim filmie popełnił jednak kilka błędów, które zdarzają się aktorom stojącym po drugiej stronie kamery



ŁUKASZ ADAMSKI

Edward Norton zrealizował w końcu marzenie swojego życia. Od lat próbował zekranizować powieść Jonathana Lethema „Osierocony Brooklyn”, uznaną przez amerykańskich krytyków literackich za najlepszą książkę 1999 r. Dwukrotnie nominowany do Oscara aktor zrobił jednak na starcie coś zaskakującego i przemeblował zupełnie czas akcji powieści Lethema rozgrywającej się w latach 90. XX w. Norton, którego można uznać za jedną z aktorskich ikon tego okresu (to wtedy stworzył niezapomniane role w „Fight Clubie”, „American History X” czy „Skandalisście Larrym Flyncie”), postanowił zmienić czas akcji. „To może być trudne do zrozumienia dla kogoś, kto powieści nie czytał, ale ma ona klimat lat 50. Język, styl postaci są w starym stylu” – powiedział mi Edward Norton w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem dla TVP Kultura. Norton film nie tylko wyreżyserował, lecz również napisał do niego

scenariusz, wyprodukował i zagrał w nim główną rolę. To jego całkowicie autorskie dzieło, dlatego też w pełni za nie odpowiada.

DETEKTYW Z ZESPOŁEM TOURETTE'A

Norton wciela się w Lionela Essroga, którego szef i mentor (Bruce Willis) ginie podczas załatwiania szemranych interesów. Ginie na oczach Lionela. Ten przysięga, że znajdzie morderców przyjaciela. Mimo że jest detektywem amatorem, wchodzi w pajęczą sieć powiązań gangsterów, lokalnych polityków, służb miejskich, urzędników i rekinów deweloperki. Essrog nie jest typowym detektywem. Cierpi na zespół Tourette'a. Nie kontroluje swoich tików, ma też kopolalię polegającą na mimowolnym powtarzaniu słów i przekleństw w miejscach publicznych. Norton daje wspaniały popis aktorski, godny jego zjawiskowego debiutu „Lęk pierwotny” (1996), za który już na początku kariery dostał nominację do Oscara i zdobył Złoty Glob. Aktor podjął temat choroby głównego bohatera na wielu płaszczyznach, pokazując w chorobie Lionela jego wielką siłę. Essrog w każdej chwili i aspekcie życia musi walczyć ze wstydem z powodu tików i niekontrolowanego wypowiadania rzeczy, których jego rozmówca nie

chciałby słyszeć. Jednocześnie jest on wybitnie inteligentnym facetem z fenomenalną pamięcią.

Ktoś mógłby zarzucić Nortonowi, że ten, oczekując zbyt długo na Oscara, cynicznie wciela się w niepełnosprawnego, wiedząc, że Akademia Filmowa kocha takie role. To jednak byłaby krzywdząca opinia. Norton tworzy pełnokrwistą i przejmującą rolę. Nie jest to kreacja techniczna ani wystudiowana. Są w niej nie tylko gorycz, ale też humor i autoironia. Jest też cały dramat człowieka dotkniętego zespołem Tourette'a w pozbawionych dzisiejszej wrażliwości na prawa osób chorych latach 50. XX w. Wykluczenie społeczne, uznanie za „świra” i ciągle wytykanie palcami – tak traktowanego detektywa kino jeszcze nie widziało. Lionel nie jest zbyt dobry w komunikowaniu się z ludźmi, ale za to doskonale łączy fakty w logiczną całość. Norton doskonale uwypukla ten dualizm jego osobowości.

POLITYCZNY MANIFEST

Norton nie ukrywa, że fascynuje się kinem noir i dlatego chciał się pobawić jego elementami. Popkultura kocha odzianych w płaszcz i kapelusze detektywów o twarzy Humphreya Bogarta i Roberta Mitchuma, nadających Philipowi Marlowe'owi z książek Raymonda Chandlera specyficznego





wyrazu. Mimo że „Osierocony Brooklyn” ma wszystkie elementy tego gatunku, łącznie z przechadzającą się po ekranie femme fatale, to Norton bierze kilka schematów w nawias. Ikona filmowego twardzielstwa Bruce Willis ginie w pierwszym kwadransie filmu, a bohaterem zostaje niepełnosprawny chuderlak. To smakowite odwrócenie ról z kina noir. Norton w rozmowie ze mną przyznał, że w jakimś stopniu inspirowało go jeden z najważniejszych filmów noir w historii gatunku, czyli „Chinatown” Romana Polańskiego. Nie tylko dlatego, że Jack Nicholson gra przez większość czasu detektywa z wielkim bandażem na nosie, co było beczelnym zapiekaniem Polańskiego z formuły gatunku. Oba detektywistyczne filmy opowiadają o czymś więcej niż śledztwie w sprawie przestępstwa. Oba są opowieścią o skorpupowanym systemie i złu tkwiącym w styku wielkiego biznesu i polityki.

Norton jest znany ze społecznej działalności i otwarcie głosi swoje liberalne (w pojęciu amerykańskim lewicowe) poglądy. Kryminalna powieść Lethama jest zaś przepelniona odniesieniami społecznymi i politycznymi. „Z jednej strony jesteśmy demokratycznym społeczeństwem, ale pod powierzchnią kryją się ciemne sprawy, które podmywają demokratyczne reguły” – mówił

mi w wywiadzie Norton. Kino noir jest natomiast zbudowane na motywie szukania czegoś smrodliwego i ukrytego pod pięknie umalowaną powłoką. Tę powłokę reprezentuje w „Osieroconym Brooklynie” Moses Randolph (Alec Baldwin), wzorowany na Robertcie Mosesie, kontrowersyjnym amerykańskim urbanistą, który przebudował w pierwszej połowie XX w. Nowy Jork. Filmowy Moses to drapieżnik wizjoner realizujący swoje gargantuiczne projekty kosztem biednych mieszkańców Brooklynu. Baldwin celowo nawiązuje w swojej roli do szyderczej roli Donalda Trumpa w „Saturday Night Live”. W końcu Trump również w latach 80. przebudował kawał Nowego Jorku, czego nie może mu dziś wybaczyć wielu urbanistów estetów. Moses jest rasistą i mizantropem zakochanym we własnym ego i zielonych banknotach. To dosyć jednowymiarowa postać w filmie i Norton, idąc w taką plakatowość i bieżącą publicystykę, obniża temperaturę opowieści.

NORTON EASTWOODEM CZY DE NIRO?

Na dodatek wyklada się on momentami reżysersko. „Osierocony Brooklyn” jest długim (2,5 godz.) filmem, który

rozjeżdża się na opowieść o chciwości, rasizmie i fasadowości demokracji nawet w wydaniu samorządowym. Oglądając drugi film reżysera Nortona (jego debiutem była frywolna komedia „Zakazany owoc” z 2000 r.), można zobaczyć te same błędy, które popełnia kilku innych wielkich aktorów próbujących swoich sił za kamerą. Liczba amerykańskich aktorów, którzy zostali dobrymi albo wręcz wybitnymi reżyserami, nie jest mała. Przejście na drugą stronę kamery jest popularne już od czasów Charliego Chaplina, dającego się poznać na planie jako wyjątkowy perfekcjonista. Clint Eastwood to również filmowiec, który okazał się lepszym reżyserem (dwa Oscary) niż aktorem, choć jego role przeszły do legendy kina. Robert Redford dał nam wiele przyzwoitych reżysersko filmów, w tym „Zwykłych ludzi” nagrodzonych Oscarem za reżyserię. Innym wielkim aktorem reżyserem jest Warren Beatty (Oscar za „Czerwonych”). W ich ślady poszli też Mel Gibson (Oscar za „Braveheart”) i Ben Affleck, który choć wyśmiewany za drewniane aktorstwo, niespodziewanie pokazał swój wielki talent reżyserski. Jego trzeci film „Operacja Argo” zdobył Oscara za najlepszy film roku. Oscara za produkcję tego filmu zgarnął George



Clooney, który jako reżyser dał nam takie solidne filmy, jak „Good night and good luck” czy „Idy marcowe”. Jon Favreau od ról w komediach przeszedł wprost do bycia specem od wysokobudżetowych widowisk hollywoodzkich („Avengers”, „Iron Man”, „Król lew”). Z powodzeniem reżyseruje Danny De Vito, Sylvester Stallone, Sean Penn, Ben Stiller i Bradley Cooper, pokazujący swój wielki potencjał w zeszłorocznym „Narodziny gwiazdy”.

Jednak mamy też wielkie nazwiska tych, którym nie udało się na reżyserskim stolku. Skoro omawiam tutaj film noir „Osierocony Brooklyn”, to nie sposób nie wspomnieć o totalnej porażce, jaką była kontynuacja „Chinatown” zatytułowana „Dwóch Jake’ów” (1990). Filmu reżyserować nie chciał Polański. Nikt inny nie miał też ochoty wchodzić w buty polskiego reżysera. Za kamerą stanął więc sam Jack Nicholson i była to jego ostatnia próba reżyserska w życiu. Tak samo brutalnie wyłożył się Johnny Depp opowiadający o dającym się torturować za pieniądze Indianinie w „Odważnym” (1997). Mimo Marlona Brando w obsadzie film zebrał druzgocące recenzje. Norton nie zalicza się do aktorów, którzy polegli na krześle reżyserskim. Najbliżej mu jest reżysersko do Roberta De Niro. Jeden z największych aktorów XX w. wyre-

żyserował w swojej karierze dwa filmy. Można nawet powiedzieć, że trzy, choć „Rozgrywki” (2001) De Niro, który zastąpił w końcówce zdjęć Franka Oza, do swojej filmografii nie zalicza. Notabene w tym filmie De Niro wystąpił obok Marlona Brando i Edwarda Nortona.

Ktoś mógłby zarzucić Nortonowi, że ten, oczekując zbyt długo na Oscara, cynicznie wciela się w niepełnosprawnego, wiedząc, że Akademia Filmowa kocha takie role. To jednak byłaby krzywdząca opinia

„Rozgrywka” miała być w założeniu pojedynkiem trzech pokoleń najbardziej utalentowanych aktorów, co pokazuje tylko, jaką pozycję dwie dekady temu miał w kinie Norton.

De Niro po bardzo dobrym reżyserskim debiucie „Prawo Bronxu” (1993) zrealizował szpiegowskiego „Dobrego agenta” (2006). Oglądając „Osierocony

Brooklyn”, miałem przed oczami właśnie ten film De Niro. Oba obrazy są przepelnione gwiazdami, dotyczą historii USA, a ich reżyserzy zdecydowali się na nakręcenie monumentalnych dzieł. Długich, z drogimi kostiumami i imponującymi lokacjami. Norton niestety popełnił te same błędy co De Niro. Będąc niedoświadczonym reżyserem, porwał się na film przytłaczający ważnymi społeczno-politycznymi wątkami, które rozgrywają się obok głównej kryminalnej intrygi, zazębiając się dopiero w finale. Zanim do niego dojdziemy, musimy wysłuchać wielu dygresji i zatopić się w polityczne dywagacje Nortona w wątku albo Mosesa-Trumpla, albo debacie o amerykańskim rasizmie zamkniętym w postaci społecznej działaczki Laury Rose (Gugu Mbatha-Raw), która zbliża się do Lionela. To są wątki ciekawe, tylko chropowato się nakładają na główną oś historii.

Niemniej jednak „Osierocony Brooklyn” to porządne kino, które dowodzi, że 51-letni Edward Norton ma potencjał na dobrego reżysera. Clint Eastwood swój pierwszy uznany reżyserski film („Wyjęty spod prawa Josey Wales”) zrobił w wieku 46 lat, po dwóch raczej chłodno przyjętych przez krytyków dziełach. Norton jest filmowcem wybrednym, który rzadko gra w filmach. Można więc podejrzewać, że będzie uważnie wybierał pozycje reżyserskie. Oby tylko nie kazał nam na nie czekać 20 lat, jak było w tym przypadku.

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Ludzie i daimony w innej Anglii

Jestem dyrygentem chóru śmierci, śpiewaj, bracie Koch” – krzyczy postać nazywana Farmerem Kul. Krzyczy w filmie „Mad Max. Na drodze gniewu”, a wygląd tego osobnika wystarczy, żeby mógł się przysnąć nocą. Jakoś nie mogę się od tych upiornych pościgów, podejmowanych przez zdeformowanych ludzi na dziwnych pojazdach, uwolnić. Oglądam za każdym razem, gdy się pojawia, uzależniony od wykreowanych przez George’a Millera dziwów i dziwadeł.

Cykl „Mad Maxa” rozgrywa się w świecie postapokaliptycznym, a więc po zagładzie cywilizacji, po której pozostała broń, pojazdy i napędzająca je benzyna. Jego logika jest logiką gatunku fantasy, gdzie kreuje się alternatywną do naszej rzeczywistość. W gruncie rzeczy to kuzyn „Władcy pierścieni”, gdzie mamy świat baśniowy, z własnymi królestwami, ludami, stworami i regułami. Ale i cyklu o Harrym Potterze, gdzie świat czarodziejów funkcjonuje równoległe do ludzkiego – na jego obrzeżach.

Za fantasy jako gatunkiem nie przepadam, zbytnio chyba żyję światem rzeczywistym. Ale jak już się zanurzę, to z głową. Dlatego zasiadłem do oglądania na HBO „Mrocznych materii”, adaptacji trylogii Philipa Pullmana. Zważywszy na internetowe debaty o tym, jak dalece serial różni się od książki, ma on swoich amatorów.

Pomysł jest oryginalny. Pokazać Europę co do geografii podobną do realnej, a zarazem całkiem od niej odmienną. Mamy więc w Anglii Londyn i uczelnię w Oxfordzie, ale ludzie żyją tam obok swoich dusz – daimonów. Te daimony towarzyszą im przez całe życie pod postacią zwierząt. Świat jest tu bardziej staroświecki, pozbawiony rozmachu naszej cywilizacji i jednak pełen dziwów natury, a czasem techniki – trochę jak świat czarodziejów z Hogwartu. Od razu tłumaczy nam się, że to świat równoległy do naszego. Przeczytanie tej równoległości to jeden z tematów opowieści. Próba jej badania uchodzi za herezję.

Dziwność, niezwykłość, pole do nieokiełznanej wyobraźni. Główna bohaterka, dziewczynka Lyra Belaqua, zmuszona jest do nieustannych podróży, bitew i rozgrywek. Skądinąd w tej wizji widać też obsesję ideologiczną współczesnej popkultury. Rządzi teokracja (chyba niechrześcijańska, mówi się o bogach, ale funkcjonariusze przypominają księży), przegniłego ładu pilnuje demoniczne Magisterium, które hamuje badania naukowe, ale też samo je prowadzi, eksperymentując na dzieciach.

Wszystko jest więc mieszaniną dorosłej straszności i dziecięcej żądzy przygód. Świat jest naprawdę inny, skoro Lyrze pomaga mówiący niedźwiedź w pancerzu, zaś atakują stwory nazwane klifowymi maskaronami. Przypomina się troll jaskiniowy z „Władcy pierścieni” czy dementorzy z „Pottera”.

Coś jednak jak dla mnie szwankuje. W ostatnim „Mad Maksie” jeden Nux, sympatyczny szczeniak wojny grany przez Nicholasa Hoult, przykuwał większą uwagę niż tu główna bohaterka. A przekomarzania Harry’ego ze szkolnymi przy-



jaciółmi? A klótnie elfa z krasnoludem z „Władcy pierścieni”? Szukam, na kim zawiesić choćby większe zainteresowanie, i wzrok mi się ześlizguje. Ten serial nie nabral duszy, choć ma przepisowo pięciu reżyserów i pięciu scenarzystów. Cieszę się, że wyobraźnia ludzka zakreśla nowe granice. Ale to nie wszystko.

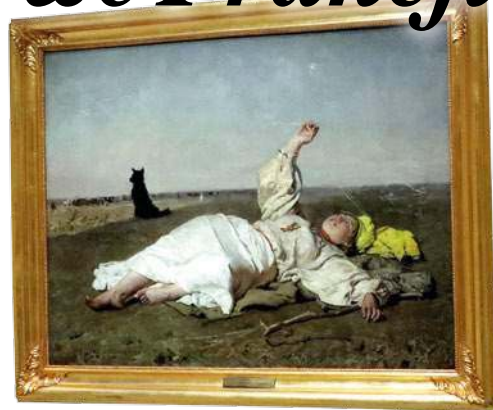
Czekam też na odpowiedź, czy podsuną nam alternatywny system wartości, czy pozostaną przy pocziwej ludzkiej miłości i solidarności. Na razie niby uczucia są, ale strasznie wystudzone.

Piotr Zaremba



Polskie malarstwo we Francji

„Wystawa w Lens to crème de la crème polskiej sztuki” – powiedział minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński w Muzeum Louvre-Lens we Francji, zwiedzając ekspozycję „Polska 1840–1914. Zobrazować ducha narodu”. Podkreślał, że inicjatywa wystawy wyszła od Francuzów, którzy chcieli pokazać losy kraju, który nie istniał na mapie Europy, ale istniał poprzez swoją kulturę i sztukę. „To jest pewien fenomen i siła kultury” – zaznaczył prof. Gliński



Zdaniem ministra wystawa jest znakomita. „Dzieła zostały świetnie dobrane i pokazują właśnie ducha narodu, który wskutek zaborów przestał istnieć na mapach Europy. Dzięki sztuce przetrwał duch narodu i nasza tożsamość wówczas, ale prawda ta jest aktualna również dzisiaj. Sztuka niesie państwo” – podkreślał minister kultury w rozmowie z mediami. Zwracał uwagę, że wystawa w Louvre-Lens będąca szczególnym, choć jednym z wielu wielkich wydarzeń kulturalnych organizowanych w związku z obchodami setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, pokazuje najlepsze elementy polskości w miejscu, gdzie po I wojnie światowej przyjechało 300 tys. polskiej emigracji górniczej. „Nasza Polonia budowała tę społeczność i to widać również w sztuce” – mówił.

Minister kultury oddał zasługi kuratorom wystawy. „Jestem pod ogromnym wrażeniem pracy, jaką włożyli. Wystawę planujemy przenieść do Polski i pokazywać w naszym kraju” – zapowiedział.

Prof. Piotr Gliński uhonorował wicedyrektora Muzeum Louvre-Lens, współkuratora i współtwórcę wystawy, Luca Pirallę-Heng Vonga, odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej. „Dzięki pracy pana Luca Piralli-Heng Vonga i całego zespołu Louvre-Lens powstał niezmiernie ciekawy, szeroki i różnorodny program ukazujący polską kulturę XIX w. – mówił podczas uroczystości. Podkreślał, że to w efekcie współpracy nawiązanej pomiędzy Louvre-Lens, Muzeum Narodowym w Warszawie i Instytutem Adama Mickiewicza oraz dzięki osobistemu zaangażowaniu odznaczonego mogło dojść do organizacji tak wyjątkowej wystawy.

Wystawa „Polska 1840–1914. Zobrazować ducha narodu” to największa dotychczas wystawa dzieł polskich malarzy

tego okresu prezentowana we Francji. Można zobaczyć na niej ponad 120 płócien obrazujących polską historię, polskie społeczeństwo i polską przyrodę. Są wśród nich wybitne dzieła m.in. Jana Matejki, Jacka Malczewskiego, Józefa Chełmońskiego, Artura Grottgera, Józefa Brandta, Aleksandra i Maksymiliana Gierymskich, Józefa Mehoffera, Olgi Boznańskiej, Wojciecha Weissa czy Anny Bilińskiej. Na wystawie pojawiają się prace ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Okręgowego w Toruniu, Zamku Królewskiego w Warszawie, Zamku Królewskiego na Wawelu, Fundacji im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu, Biblioteki Polskiej w Paryżu, Luwru oraz zbiorów prywatnych. Wiele z tych dzieł rzadko opuszcza granice kraju.

Zamiarem organizatorów wystawy jest pokazanie szczególnej roli malarstwa w kształtowaniu świadomości narodowej Polaków, opartej na historii, tradycji i tęsknocie za wolnością. Wystawę otwiera „Rejtan – upadek Polski” – obraz Jana Matejki przedstawiający słynny protest Tadeusza Rejtana na sejmie rozbiorowym.

Ekspozycji towarzyszy prezentacja prac Kasimira Zgoreckiego „Photographier La Petite Pologne”, który dokumentował życie polskich emigrantów zarobkowych w zagłębiu górniczym Nord-Pas-de-Calais, na początku XX w.

Honorowy patronat nad wystawą objęli prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda i prezydent Republiki Francuskiej Emmanuel Macron. Można ją oglądać do 20 stycznia 2020 r. //

(tt)



Wojciech Stanisławski

Tort obsypany bukwia

To niewielkie wysokości dla doświadczonego wędrowca, ale całkiem nowy szlak wśród polskich zapisów wędrowania

Jest Kiczera Beniowska (861 m n.p.m.), Kiczera w masywie Czola (964 m n.p.m.) i Kiczora w masywie Bukowego Berda (972 m n.p.m.) – i pewnie jeszcze z pół tuzina w samych Bieszczadach. A w Beskidach po stronie polskiej – kopa, a każda jak ślad osadnictwa wołoskiego w Karpatach, skoro „chicera” to tyle co „zarosnięta, porośnięta lasem góra”. Nawet Adam Robiński nie dałby rady schodzić ich wszystkich: zamiast tego zrobił to, co potrafi najlepiej, czyli wydobyl ich esencję.

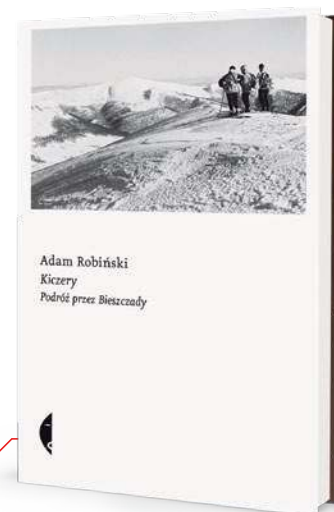
Nie miał łatwo, bo o Bieszczadach piszą wszyscy, popychani kilkoma ostrogami: tęsknotą za własną studencką młodością, pragnieniem odsłonięcia jeszcze jednej haniebnej karty PRL, względnie przekorą wobec zbytniego już ucukrowania tematu. To pierwsze (tęsknota) najbardziej oczywiste: „Co drugi Polak ma morze związanych z tym kawałkiem kraju wspomnień, co drugi wchodził w nim w dorosłość”, pisze autor i nawet, jeśli GUS nie przyznałby mu racji, to z perspektywy studenckich miast tak to chyba wygląda. PRL na czarno? W Bieszczadach o to nie trudno: to największy skansen geoinżynierii komunizmu, jaki mamy. Pamiętki z Wilna i Lwowa przyzwyczaiły się już do gdańskich i wrocławskich ścian, niemieckie kamienie otynkowane tyle razy, że żaden szyld nie przeziiera, ale dość potknąć się o jedną podmurówkę w dolinie Tworylnego, by zrozumieć, czym były wysiedlenia. Wszystko to

jednak zostało podlane sosikiem sentymentalizmu: ballady Starego Dobrego Małżeństwa ryzane po raz tysięczny w jakimś barze piwnym, drewniane aniołki strugane może przez kwadrans, tak są toporne, oferowane jako bieszczadzka pamiątka, jeszcze jedno wspomnienie o tym, jak się wysiadało w Zagórzu i jak kierowcy PKS kłeli na widok plecaków na stelażu...

Robiński trochę wziął to w nawias, a trochę przetworzył. „Kiczery” są po trosze składanką obrazków z czasów heroicznych i zwyczajnych, smaczną, choć może zbyt już kalejdoskopową. Jest o spokojnych czasach galicyjskich, o kopalniach „wosku ziemnego” i C.K. kartografach, jest i o wsiach, które znikły. Jest o polskim fenomenie migracyjnym, czyli wioskach greckich i macedońskich komunizujących partyzantów, przytulonych przez PRL i osadzonych na pustkowiu – i o PRL ociężałym już i dobrodusznym, urządzającym sobie tereny polowań (a gdy zaszła potrzeba, i internowań) w „bieszczadzkim worku”. Są portrety samotników, desperatów, którzy przed kilkudziesięciu laty postanowili, jak w powiedzeniu, rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady – i wytrwali. Jest czysto krajoznawczo, o poszukiwaniach źródeł Sanu, wiecznie gdzieś gubiących się w młace, w liściach, we wzajemnie sprzecznych relacjach. Jest i rozszerzenie widnokregu, dla niektórych będące odkryciem równie doniosłym jak to, że „Anglia jest wyspą”: Bieszczady są pas-

mem nadgranicznym i wykrojony po wojnie klin ma swoje ukraińskie i słowackie dopełnienia. Szczególnie uderzający okazuje kontrast między Bieszczadami polskimi – zmitologizowanymi, wpisanymi w historię i w poezję, a tą samą buczyną po południowej stronie grani: dla Słowaków to w znacznej mierze pospolite, prowincjonalne i ubogie.

To wszystko jest ciekawe, ale mógłbym to pewnie przeczytać, poszukawszy i u innych autorów, najwyżej z większą dozą górskiego chojrakowania („szósta godzina w śniegu po kolana, szlak dawno się zgubił, trawersujemy!”). Czego szukam u Robińskiego, szczególnie po jego „Hajstrach” sprzed dwóch



Adam Robiński, „Kiczery. Podróż przez Bieszczady”, Wydawnictwo Czarne, 2019

lat, to namysłu nad samym fenomenem wędrowania: oczyszczenia tego doświadczenia ze wszystkich „nakładek” turystycznych, szantowych, wyczynowych tak, żeby zostało samo, najbardziej pierwotne doświadczenie wysiłku włożonego w pokonywanie o własnych siłach odległości – i pewnej jasności oraz prostoty myślenia, otrzymanej w bonusie, niczym nieoczekiwane źródło za zakrętem ścieżki. Ot, takie „Znaki drogi” (by przywołać pewnego niemieckiego filozofa) podszyte uważnością, dostrzeganiem raczej składowych krajobrazu niż jego sumy, nieuchronnie

krzepnącej w krajoznawczy kicz („Jak pięknie!”). W „Kiczera” znalazłem to, i tym razem w obfitości; wszędzie tam, gdzie odstępował od reporterskich relacji, przestawiając się na tryb patrzenia, gdzie może swobodniej rozdáwać porównania. „Trzy orliki krzykliwe jak wierzchołki ruchomego trójkąta. [...] Plywanie synchroniczne w basenie błękitnego nieba”. I jeszcze: „Biały płacek Czeremchy, czarna piramida Pliszki”. I jeszcze zderzenie terminów jak z egzaminu SKPB („Przełącz, wąski, śliski przepiór po trawersie podszczytu, wreszcie czytelna kopuła kulminacji”)

z zapisem kolorów, epok geologicznych i ptasich tropów, które są jak z podręcznika kaligrafii.

Kilka lat temu w modzie było traktowanie jako „lektur głębokich” wspomnień himalaistów: no, bo tam wysoko, panie dzieju, tylko biel i ciemny granat, Dalajlama blisko, dom daleko, a i poślizgnąć się łatwo. Pewnie tak – ale po lekturze Robińskiego pozostaję w przekonaniu (owszem, wygodnym dla tych, którzy upodobili sobie błoto Beskidów), że całkiem wysoko można się wspiąć, nawet zrobiwszy jedynie 972 metry.

Żywoty beztroskie

Zmyślone życiorysy? Jest ich trochę, od Calvino do Eco. Nic dziwnego, bo to szczególna pokusa: sięgnąć po formę tak zamkniętą jak biogram i móc wreszcie bezkarnie się oddać spekulacjom na temat historii wyobrażonej lub alternatywnej: co stałoby się, gdyby kto inny panował, sterował karawelą, nalewał tego jednego, znaczącego dnia kompot? Gdyby inny był tor bursztynowego szlaku, oszczepu, kuli? Co prawda, o tym ostatnim co nieco już wiemy. „O chrząstce ucha ledwie draśniętej pociskiem/ »cholerne miałem szczęście« mawiałby”.

Właśnie, w Polsce historię alternatywną pisuje się zwykle w formacie makrohistorii i na serio, z nadzieją na lepsze obroty fortuny historycznej bodaj w wyobrażeniu; nawet Paweł Dunin-Wąsowicz w niezrównanym „Odczapowie” opisywał, choć na purenonsensową nutę, Polskę, której się lepiej powiodło i która może, wolna od pamięci zaborów, popijać kompot konopny. Najbliższym literackim krewnym „Historii nie do końca zmyślonych” wydaje mi się Karel Čapek ze swoją „Księgą apokryfów”, trochę może Anatol France? Jeden i drugi nie tyle układali na nowo całą tkaninę historii, ile sięgali do jej fałdów i obracali poszczególne ukryte w nich figurkami: a co, gdyby inaczej, niż sądzą (lub jak przekazuje nam ustalona nar-

racja), zachował się Łazarz, Napoleon, Hamlet?

Čapek i France, marząc pewnie, by dokonane przez nich wywrócenie na nice porządku świata okazało się bardziej wymowne, sięgali po postaci pierwszoplanowe, mocno zakorzenione w historii faktycznej albo tylko malowanej. Tomasz Wiśniewski wyprzedza ich, jeśli idzie o dezynwolturę, sięga bowiem po postaci w najlepszym razie drugoplanowe, częściej – obecne tylko w manuskryptach, wywodach genealogicznych, a bywa, że i całkiem, na calwinową modę, zmyślone. Zgoda, o Janie Potockim i mistrzu Twardowskim zwykle coś tam słyszano, ale waleczny Jarand z Brudzewa galopuje już chyba tylko po kartach „Herbarza” Kaspary Niesieckiego, a po zielarce Bogumile z Działoszyna nawet szczypta suszu już nie została. Warto przy tym z uznaniem odnotować, że szczególną predylekcję żywi autor do postaci z traktowanego po macoszemu polskiego średniowiecza i wczesnej nowożytności: żadne Traugutty, żadni legioniści, tylko pastory, alchemicy, wiźmy, wiźdzące i baronessy, pełen parytet epok, stanów i pici.

Te życiorysy fantastyczne, pisane z przekorą (lecz bez zaciętości) wobec wszelkich hagiografii pobożnych i patriotycznych, nieodmiennie kończą się twistem, zagadką, zniknięciem, są jak malowane dymem z papierosa.



Tomasz Wiśniewski, „Historie nie do końca zmyślone”, Fundacja Przekrój, 2019

Bohaterowie „Historii” często flirtują z biesem (raczej jednak bajkowym niż metafizycznym), czasem z uczuciem lub z polityką, prędzej czy później jednak opanowuje ich znużenie lub pożera jakaś pomniejsza sprzeczność istnienia. To książka do czytania w małych dawkach, pochłonięta za jednym razem może znużyć. Jeśli ktoś jednak, w przerwie lektury znalezionych pod choinką ciężkich tomów Andrzeja Nowaka, Jurija Slezkina czy Nialla Fergusona zapagnie przypomnieć sobie o oczkach otwierających się w materii świata – powinien mieć Wiśniewskiego na podorędziu.



Rewolucja w Kościele

Bóg, wybierając nowego papieża, poprawia błędy starego. Chcę zobaczyć, jakie są moje” – mówi kardynałowi Jorgemu Bergoglio (Jonathan Pryce) Benedykt XVI (Anthony Hopkins), ogłaszając mu w tajemnicy, że zamierza zrezygnować z tronu św. Piotra. W tej jednej scenie zawiera się cała istota „Dwóch papieży” Fernanda Meirellesa.

Nie ma żadnych dowodów na to, że konserwatywny Benedykt XVI w tajemnicy przed resztą kardynałów przygotowywał liberalnego kardynała z Argentyny do objęcia po nim przywództwa w Kościele katolickim. Jednak ta wizja jest tak uroczo przedstawiona, że trudno od niej oderwać wzrok. Napisany (na podstawie własnej książki) przez doświadczonego autora biograficznych scenariuszy Anthony’ego McCartena („Teoria wszystkiego”, „Czas mroku”) film świetnie balansuje między amerykańskim „kumpłowskim kinem” a poważną dysputą teologiczną.

Nominowany do Oscara za „Miasto Boga” Fernando Meirelles zrobił film będący apoteozą zmiany, jaką Franciszek ma przeprowadzić w Kościele. Jest to inna wizja niż ta, którą dał nam Paolo Sorrentino w swoim inspirującym i jednocześnie szokującym „Młodym papieżu”. Sorrentino odziedziczył spuściznę mądrego antyklerykalizmu od Felliniego. Brazylijczyk Meirelles nie chce prowokować ani wadzić się z Kościołem. On chce wykrzyczeć z latynoskiej perspektywy, że tylko Franciszek może uratować Kościół katolicki, a nawet cały świat.

Cały scenariusz „Dwóch papieży” jest obudowany wokół rozmów, które nie wiadomo, czy naprawdę się odbyły. Ratzinger i Bergoglio to dwie wizje Kościoła. Niemiecki papież broni doktryny i widzi problemy Kościoła w zwycięstwie relatywizmu moralnego i zatopieniu się świata w hedonizmie. Bergoglio uważa, że hierarchowie zamknęli się w bańce i zamiast przewodzić światu, zatapiają się w hermetycznych sporach, odstraszać przy tym wiernych. Oczywiście narracja jest tak prowadzona, że spory wygrywa liberal, a nie konserwatywa. W moim przekonaniu obaj mają rację.

Benedykt XVI, mimo że jest gorzej nakreślony niż Franciszek (w retrospekcjach widzimy młodość Bergoglio, kontrowersje związane z relacjami z wojskową juntą rządzącą Argentyną w latach 70.), jest pokazany jako introwertyczny intelektualista i momentami mistyk. To on wyznacza Ber-

goglio na swojego następcę, postanawiając, że ktoś zupełnie różny od niego musi poprowadzić Kościół. Wierzy głęboko, że Duch Święty dokona odpowiedniego wyboru.

Wybrzmiewa tutaj heglowski determinizm historyczny. Wybór Ratzingera na papieża miał według twórców tylko przesunąć w czasie nieuchronne reformy. Sam konserwatywny i „pancerny” papież zszedł z tronu, bo rozumiał, jakie zmiany są niezbędne dla Kościoła. Ma iść z duchem czasu, mówią nam twórcy „Dwóch papieży”. Ma iść za południo-

woamerykańskimi teologami wyzwolenia, potępionymi przecież przez Jana Pawła II. Katolicy mają być ekologami, pochylać się globalistycznemu kapitalizmowi. Nie zapomnijmy, że kościoły najszybciej opustoszały w krajach, gdzie Kościół upodobił się do władzy świeckiej. Dlatego ja za Chestertonem powtarzam, że katolicyzm pozwala mi nie być niewolnikiem ducha czasów.

Doceniam jednak to, że mimo tak jaskrawej sympatii po stronie Franciszka Benedykt XVI nie jest tutaj czar-

nym charakterem. Jest myślicielem, który ratuje Kościół nie tylko swoją rezygnacją, ale też namówieniem Bergoglio, by ten nie odrzucał Pierścienia Rybaka, gdy ten zostanie mu nałożony na palec. Twórcy nie omijają też tematu skandali pedofilskich w Kościele, pokazując skrucę papieży i ich determinację walki o katharsis. Niemniej jednak sugestia, że kard. Ratzinger miał cokolwiek wspólnego z tuszowaniem sprawy abp. Marciała Maciela nie ma pokrycia w faktach.

„Dwóch papieży” to popis aktorski Hopkinsa i Pryce’a, nominowanych za role do Złotych Globów. Hopkins zamyka w oczach Ratzingera jego mądrość i bliskość Boga, ale też samotność wybitnego intelektualisty. Pryce oddaje humor i luz Franciszka, poruszając wydobycie też jego własne demony z przeszłości. Meirelles zrobił sympatyczny, momentami zabawny i gęsty w warstwie dialogów film o dwóch przyjaciółach, którzy zaczynają od sporu cywilizacyjnego, a kończą na wspólnym oglądaniu finału mistrzostw świata między Niemcami i Argentyną. Niemcy wygrały. Papieństwo pozostało argentyńskie. Uroczo filmowa wizja. Nie zapomnijmy jednak, że żyjemy w czasach dwóch papieży, co ma swoją niezwykłą symbolikę. Myślę, że tajemnica odejścia Benedykta jest o wiele bardziej metafizyczna, niż ta pokazana w uroczym i bajkowym filmie Netfliksa.

„DWÓCH PAPIEŻY” DOSTĘPNY NA NETFLIKSIE



Odnaleźć matkę



Jestem trochę zmęczony takim kinem made in Poland. Ciężkim, przygnębiającym i rysującym paskudny świat, w którym cierpią dzieci. Małgorzata Imielska jest dokumentalistką, więc na swój debiut fabularny wybrała temat dla niej ważny. Umie opowiadać o tak trudnych i bolesnych kwestiach, choć jej film intryguje do połowy. Potem niestety zaczyna kuleć. Niemniej jednak takie kino jest potrzebne.

Olka (Zofia Domalik) ma 17 lat. Jest w zakładzie poprawczym przez ciągłe ucieczki z domu dziecka. Ucieka, bo chce odnaleźć swoją mamę, która ją porzuciła, gdy Ola miała kilka lat. W końcu trafia do rodziny zastępczej pod Olsztynem. Dom Andrzeja (Adam Cywka) i Ireny (Jowita Budnik) nie jest wcale lepszy niż poprawczak. Jednak leży blisko miejsca, gdzie może mieszkać matka Oli. Dla spotkania swojej matki dziewczyna jest w stanie wytrzymać każde upokorzenie.

Imielska opowiada trzy historie. „Wszystko dla mojej matki” to film o koszmarze dziewczyn w poprawczaku, opowieść o złamanym macierzyństwie oraz przypowieść o tym, jak sport może dać wybawienie. Ola ma szansę na karierę biegaczki, ale przed



Kino

rozwinieniem skrzydeł pod opieką zdeterminowanego nauczyciela wulgu powstrzymują ją wewnętrzne demony. Ten film działa jako uniwersalny „sports movie”. Imielska ma też oko dokumentalistki w oddaniu atmosfery poprawczaka z jego wewnętrznymi zasadami i przemocą młodych dziewczyn przebijającą często to, co robią chłopcy za kratkami. Za maskami twardzielek kryje się głęboka krzywda i dramat w dzieciństwie, co świetnie wybrzmiewa w granej przez

Marię Sobocińską Agnes. Imielska bardzo dobrze prowadzi młode aktorki. Domalik dostała za tę rolę nagrodę na festiwalu w Gdyni. Jest w niej kruchość skrzywdzonego dziecka i siła kobiety dążącej bez względu na wszystko, by poznać swoją przeszłość. To bardzo dojrzała emocjonalnie rola.

Do momentu, gdy Olka wychodzi z poprawczaka, Imielska buduje przejmującą historię. Niestety film osuwa się w przewidywalne rozwiązania fabularne. Dom na wsi jest rządzony przez gwałciciela, który z lokalnym policjantem (szkoda, że zachwycający w „Czterech nocach z Anną” Skolimowskiemu Artur Steranko gra w kinie tylko takie ogony) krzywdzi przysłane dziewczyny. Na wszystko patrzy zastraszona żona. Nie twierdzę, że takich miejsc nie ma, jednak liczba tragedii, jakie spadają na dziewczynę po opuszczeniu domu poprawczego, pasuje do przypowieści o Hiobie. „Wszystko dla mojej matki” (ach ta inspiracja „Wszystko o mojej matce” Almodóvara!) jest emocjonalnie angażującym filmem. Dołującym, ale z nutką optymizmu w finale, ratującym go przed mieliznami scenariusza.

**„WSZYSTKO DLA MOJEJ MATKI”,
REŻ. MAŁGORZATA IMIELSKA,
DYSTR. KINO ŚWIAT**

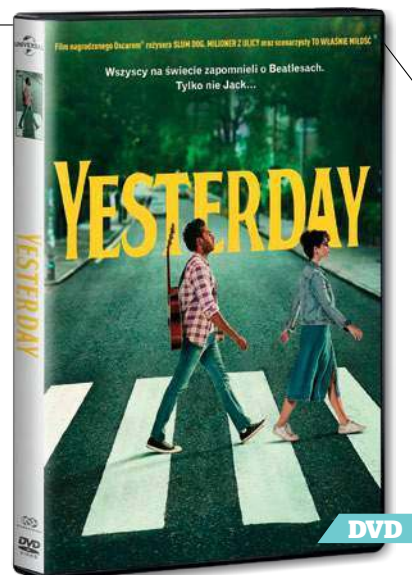
Stać się beatlesem



Połączenie sił tak różnych filmowców, jak Danny Boyle („Trainspotting”, „Slumdog”) z Richardem Curtisem („Cztery wesela i pogrzeb”, „Notting Hill”, „To właśnie miłość”) i podlanie wszystkiego muzyką Beatlesów powinno nam dać intrygujący projekt. Ten film nie zaskakuje, ale za to daje nam wiele przyjemności. Jack Malick (Himesh Patel) pracuje na pół etatu w supermarkecie. Jest niespełnionym muzykiem bez perspektyw na przyszłość. Pewnego dnia w mieście wysiada prąd. Malick zdaje sobie sprawę, że od tej chwili nikt

oprócz niego nie zna piosenek Beatlesów. Malick nagrywa demo z utworami czwórki z Liverpoolu, czym zyskuje podziw samego Eda Sheerana (zabawny epizod). Tak zaczyna się kariera oszusta. No właśnie, oszusta? „Yesterday” to bezpretensjonalna opowieść o tym, czym dzisiaj jest sława i jak show-biznes mieli każdego artystę na plastikowa papkę. Nie jest to odkrywcza teza, ale w kontekście mitologii Beatlesów smakuje na ekranie. Miła rozrywka.

**„YESTERDAY”, REŻ. DANNY BOYLE,
DYSTR. FILMOSTRADA**





Liczy się i przedsiębiorczość, i odpowiedzialność

PKN ORLEN – podobnie jak wiele innych firm na świecie – w ramach swojej działalności biznesowej wdraża zasady społecznej odpowiedzialności biznesu. Ich realizacja jest nie tylko wyrazem troski o nasze wspólne otoczenie: społeczeństwo i środowisko, lecz również ważnym elementem rozwoju firmy

Nie wielkość przedsiębiorstwa ani jego zyski, ale otwartość serc i umysłów ludzi w nim pracujących i nim zarządzających decyduje o umiejętności wychodzenia ze wsparciem na zewnątrz. Ta solidarność buduje nie tylko społeczeństwo, które pomoc otrzymuje, lecz jest także mechanizmem napędowym rozwoju samej firmy, przyczyniając się do wzrostu gospodarczego całego kraju.

Pod koniec roku, pozostając wciąż w świątecznej atmosferze, która skłania

ludzi dobrej woli do dzielenia się, warto się przyjrzeć minionym akcjom i zobać, jakie efekty przyniosły.

WOŁONTARIAT

Niezwykłą siłą, choć czasami uśpioną, którą ma każda firma, jest wrażliwość i aktywność jej pracowników. To właśnie z ich inicjatywy dochodzi do realizacji projektów o różnej skali, spełniających lokalne potrzeby, których mogą nie dostrzegać inni.

Pracownicy ORLENu nie śpią... Grupa ORLEN rozwija wolontariat pracowników już od 15 lat. W tym czasie zrealizowano kilkadziesiąt projektów, których beneficjentami były tysiące osób. Od 2019 r. pracownicy mogą zgłaszać swój udział w akcjach inicjowanych przez Fundację ORLEN lub prowadzić własne działania, związane np. z edukacją, ekologią czy wsparciem osób w trudnej sytuacji, otrzymując grant wysokości do 3 tys. zł od Fundacji ORLEN. Poza ogromną satysfakcją, jaką daje taka

działalność, ORLEN postanowił nagrodzić najlepsze projekty w konkursie na Wolontariat Roku. Nominacje uzyskało 13 inicjatyw, a spośród nich w głosowaniu wybrano trzy najciekawsze. Zwycięskie zespoły otrzymały pamiątkowe statuetki oraz darowizny finansowe, które trafią na wskazany przez nich cel społeczny. Pracownicy ORLENu dostrzegają w wolontariacie wiele korzyści, m.in. możliwość samorealizacji i rozwijania nowych umiejętności. Te działania integrują pracowników również ze społecznościami, na rzecz których działają, wzmacniają poczucie społecznej odpowiedzialności i dają motywację do realizacji wspólnych celów.

westycja w przyszłe kadry (na każdym poziomie kształcenia: szkół podstawowych, branżowych, a nawet studiów), które za chwilę mogą zasilić szeregi tych firm.

PKN ORLEN jako dobry i odpowiedzialny sąsiad oprócz wsparcia projektów popularyzujących naukę inicjuje także własne działania w tym zakresie. Od dwóch lat w ramach programu „ORLEN dla Płocka” działa program edukacyjny. Aby zachęcić młodzież do zdobywania wiedzy, na wyposażenie pracowników fizycznych i chemicznych płockich szkół przeznaczono ok. 400 tys. zł. Ponadto ORLEN włączył się w akcję „Lekki plecak”, dofinansowując zakup

kształcenie na zagranicznych uczelniach mogą otrzymać dofinansowanie o wartości do 150 tys. zł w programie stypendialnym. Bona Fide (łac. w dobrej wierze) to unikatowy projekt w skali kraju. Jego celem jest objęcie mecenatem rozwoju osób, które w przyszłości mogą swoją wiedzę i doświadczenie zdobyte na zagranicznych uczelniach wykorzystać do budowania siły krajowej gospodarki. W tym roku jednym z czterech partnerów programu została Fundacja ORLEN.

– Inwestujemy w rozwój młodych ludzi, studentów, również tych, którzy zdobywają wiedzę na zagranicznych uczelniach. Liczymy, że nabyte



EDUKACJA

Wszelkie działania edukacyjne są bardzo istotnym elementem społecznej odpowiedzialności biznesu. Pozwalają dzielić się swoją wiedzą w lokalnej społeczności, przyciągać uwagę do profilu własnej działalności, ale również uczestniczyć we wspólnej odpowiedzialności za młode pokolenie Polaków i za jakość ich nauki. To także in-

tabletów dla blisko 300 uczniów szkół podstawowych, zrealizował w tym roku po raz dziesiąty program stypendialny „Mam pasję powyżej średniej”, który od początku powstania objął kilka tysięcy uczniów, a także udzielił wsparcia wielu inicjatywom, takim jak międzyszkolne konkursy chemiczne, matematyczne czy seminaria i konferencje chemiczne.

ORLEN nie zaniedbuje także polskich studentów. Ci, zdobywający wy-

umiejętności wykorzystują z sukcesem w Polsce i przyczynia się do rozwoju krajowej gospodarki. W ramach programu Bona Fide oferujemy wiele możliwości, np. pracę nad interdyscyplinarnymi projektami, konsultacje pomysłów ze światowej rangi specjalistami i możliwość wymiany doświadczeń w środowisku międzynarodowym – wyjaśnia Katarzyna Różycka, prezes Fundacji ORLEN.



KULTURA

Czy biznes może dać coś kulturze? Jak najbardziej – polska kultura wchłonie każdą ilość finansowania. Ciężko jest się opierać wyłącznie na publicznych środkach, więc prywatny mecenas jest mile widziany, wręcz niezbędny.

Znakiem rozpoznawczym PKN ORLEN jest zaangażowanie w inicjatywy związane z propagowaniem sztuki filmowej, teatru, muzyki i literatury, a także wspieranie najważniejszych polskich instytucji i przedsięwzięć kulturalnych. ORLEN jest mecenasem Muzeum Narodowego w Warszawie, Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina oraz Narodowego Centrum Kultury, Muzeum Józefa Piłsudskiego i jego internetowej platformy Żołnierze Niepodległości. Spółka wspiera też organizację Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, a także sfinansowała zakup rękopisów Fryderyka Chopina oraz budowę kopii fortepianów historycznych, na których grał polski kompozytor. Teatr Wielki – Opera Narodowa to kolejna uznana instytucja kultury, którą ORLEN wziął niedawno pod swoje skrzydła.

Z kolei ORLEN Deutschland, działająca w Niemczech spółka z Grupy ORLEN, jest inicjatorem i sponsorem sprowadzenia do Polski unikatowego instrumentu, na którym grał Ignacy Jan Paderewski – wybitny pianista, kompozytor i mąż stanu.

W tym roku już po raz czwarty rozbłysły Płockie Ogrody Światła przygotowane przez PKN ORLEN jako jeden z elementów programu „ORLEN dla Płocka”, ukierunkowanego na wsparcie lokalnej społeczności. Dekoracja składa się

z 43 tys. ledowych lampek, które gdyby ułożyć w jeden łańcuch, miałyby aż 14 km długości. Będzie dostępna dla wszystkich odwiedzających do 6 stycznia 2020 r.

– Płocka iluminacja to ważny element naszego zaangażowania w życie lokalnej społeczności. Każdy z nas ma w sobie coś z wyobraźni i wrażliwości dziecka. Dlatego chcemy, żeby każdy poczuł atmosferę zbliżających się świąt Bożego Narodzenia – mówi Anna Ziobroń, dyrektor Biura Marketingu Sportowego, Sponsoringu i Eventów PKN ORLEN.

SPORT

Wspieranie sportu zyskuje duży pozytywny odbiór społeczny. To ma ogromne znaczenie, gdy firmie zależy na budowaniu rozpoznawalności marki poprzez finansowanie dużych imprez. Równie ważne jest jednocześnie zarażanie pasją sportową dzieci i młodzieży, aby wspólnie budować nową kulturę sportu w Polsce.

PKN ORLEN jest jednym z największych mecenasów polskiego sportu – wspiera zarówno sport zawodowy, jak i amatorski. Badania pokazują, że 66 proc. Polaków oraz ponad 7 na 10 kierowców kolarzy PKN ORLEN ze sponsoringiem sportowym i traktuje ten atrybut jako ważny. Wskazują one również, że 96 proc. dorosłych mieszkańców Płocka popiera zaangażowanie PKN ORLEN w sport.

Ze względu na charakter biznesu PKN ORLEN jest bardzo aktywny w obszarze sportów motorowych. Sztandarowym projektem jest oczywiście debiut marki ORLEN w Formule 1. W nadchodzącym sezonie PKN ORLEN będzie dalej inwestować w Roberta Kubicę i obecność w Formule 1. Jest to dla koncernu doskonała platforma budowania rozpoznawalności marki na rynkach zagranicznych. PKN ORLEN jako narodowy czempion wspiera także inne, popularne wśród Polaków dyscypliny. Marka ORLEN jest już silnie kojarzona z polską siatkówką, która odnosi spektakularne sukcesy, a obecna umowa przewiduje również bardzo silny akcent wsparcia rozwoju i szkolenia młodzieży, następców dzisiejszych mistrzów. Współpracuje też z Polskim Związkiem Lekkiej Atletyki.

Jednocześnie PKN ORLEN jest jedynym sponsorem rządowego programu Szkolny Klub Sportowy, którego celem jest upowszechnienie sportu i aktywności fizycznej wśród dzieci i młodzieży. W tym roku w programie uczestniczy blisko 310 tys. dzieci i 15 tys. nauczycieli. Jest nim objętych 94 proc. gmin na terenie całego kraju.





i Chorób Płuc. Zgodnie z podpisaną umową program zdrowotny ma spojrzeć na system dostępu do profilaktyki i diagnostyki z perspektywy pacjenta, zwiększyć dostępność do świadczeń profilaktycznych i diagnostyki.

BEZPIECZEŃSTWO

Bezpieczeństwo, czy to w zakładzie, czy w otoczeniu, służy każdemu: i mieszkańcowi, i pracownikowi. Stąd wszelkie działania na tym polu, wpisane w firmowe strategie społecznej odpowiedzialności biznesu, sprzyjają rozwojowi i regionu, i samego przedsiębiorstwa.

W programie „ORLEN dla strażaków” przez 19 lat za pośrednictwem Fundacji ORLEN udało się udzielić wsparcia wy-

– Do sponsoringu sportu podchodzimy kompleksowo, dlatego obok karier zawodowych sportowców wspieramy rozwój młodych talentów. Program SKS to jedna z inicjatyw, poprzez którą propagujemy aktywność fizyczną wśród najmłodszych. Jestem przekonany, że kolejne pokolenie sportowców ORLEN Teamu, a być może także i polskich olimpijczyków, właśnie na SKS-ach szlifuje swoje zdolności, by w przyszłości stanąć do walki o medale – przekonuje Zbigniew Leszczyński, członek zarządu PKN ORLEN ds. rozwoju.

ZDROWIE

Odpowiedzialność społeczna wyraża się również w dbałości o zdrowie pracowników firm, a także mieszkańców regionu, w którym PKN ORLEN prowadzi działalność produkcyjną. Dziś wiemy, jak ważna jest profilaktyka zdrowotna i budowanie świadomości Polaków. Dobry pracodawca to ten, który umożliwia zatrudnionym u siebie dostęp do badań profilaktycznych i szybkiego leczenia. Prowadząc działalność produkcyjną na dużą skalę, firmy nie mogą udawać, że działają w próżni. Zakłady przemysłowe w ramach odpowiedzialności za środowisko i społeczeństwo swoją działalność prozdrowotną powinny rozszerzyć na mieszkańców okolic, w których działają.



Już dwukrotnie kilka tysięcy płocczan skorzystało z bezpłatnych badań i konsultacji lekarskich w Miasteczku Zdrowia ORLENu. Projekt koncernu i jego Fundacji ORLEN został przygotowany we współpracy z Ministerstwem Zdrowia z udziałem kilkunastu partnerów. Wsluchając się w lokalne potrzeby, PKN ORLEN przeznaczył 10 mln zł na program zdrowotny skierowany do mieszkańców Płocka i powiatu płockiego. W ciągu sześciu lat środki zostaną przeznaczone m.in. na monitorowanie stanu zdrowia, profilaktykę i leczenie chorób. Program będzie realizowany na podstawie podpisanej przez PKN ORLEN umowy z Centrum Onkologii – Instytutem im. M. Skłodowskiej-Curie przy współpracy z Instytutem Gruźlicy

sokości 14 mln zł ponad 1,5 tys. jednostek straży pożarnej w Polsce. Zostało ono przeznaczone m.in. na dofinansowanie zakupu sprzętu niezbędnego do walki z pożarami, klęskami żywiołowymi i innymi miejscowymi zagrożeniami na terenie całej Polski. Ponadto PKN ORLEN uruchomił program lojalnościowy dla strażaków zarejestrowanych w Krajowym Systemie Ratowniczo-Gaśniczym.

Bezpieczniej jest także przy szkołach – dzięki współpracy Vitay i Yanosik. Akcja „Zwalniaj przy szkołach” promuje dobre nawyki kierowców mające na celu zwiększenie bezpieczeństwa na drogach. A jej uczestnicy zyskują szansę na nagrody w ramach programu Vitay.

Anna Raciniewska

Lubię patrzeć na to, co przede mną



Jako dziecko, można powiedzieć, wychowywałem się w górach. Oczywiście polskich. Dziś na narty jeżdżę głównie w Alpy. W bardzo ładne miejsca, do Włoch, Francji, Austrii. Troszkę zdradziłem Zakopane.

Klimat gór, związanych z nim sportów, ale też spotkań i zabaw na śniegu, jest mi nadal bliski, dlatego w tegorocznej świątecznej akcji pierwszego programu Polskiego Radia „Choinki Jedynki” próbowałem namalować obładowanego prezentami św. Mikołaja właśnie w górskiej scenerii. Dodałem mu na obrazku to, co w górach lubię najbardziej, czyli ładną pogodę. Ze słoneczkiem. Ale góry to nie tylko pogoda i czyste powietrze.

Kiedy tylko robi się chłodniej, zaczynam myśleć, gdzie tu wyruszyć na narty. Lubię otwarte przestrzenie. Te alpejskie są jeszcze bardziej monumentalne, budzą dodatkowe, niesamowite odczucia – potęgi, siły, niedostępności... Wjeżdżam na górę, żeby z niej zjechać, ale też, żeby nacieszyć się tym, co mnie otacza. Patrzę na fantastyczny krajobraz i odpoczywam.

Duża przestrzeń, która na szczycie nie ma ograniczeń w postaci domów, samochodów, która otwiera się przede mną, powoduje, że

czuję się bardzo zrelaksowany. Podobne wrażenia daje morze. Ten sam element szerokiej perspektywy. Lubię patrzeć na coś, co jest daleko przede mną.

Latem chętnie spędzam czas nad Bałtykiem, ale jeszcze lepiej czuję się w Chorwacji, gdzie morze jest bardziej przychylne niż nasze. Tam spędzam sporo czasu, pływając na desce surfingowej. Odpoczywam w ruchu.

Sporo podróżuję, często jestem w drodze, ale zawsze w jakimś celu. Parę ładnych lat temu miałem w „Familiadzie” czarnoskórego uczestnika, który powiedział mi, że kiedy poznał swoją późniejszą żonę, Polkę, i ona zaproponowała mu spacer, nie mógł zrozumieć, co to słowo oznacza. Bo w Afryce idzie się zawsze w określonym celu, a tu miał iść, żeby się przejść... Mam podobne odczucia. Jak już gdzieś jadę, to w konkretnym celu.

Całkiem niedawno odbyliśmy z kolegami, w ramach telewizyjnego programu „Lepiej późno, niż wcale”, podróż do Azji. Poznaliśmy, przeżyliśmy i doświadczyliśmy rzeczy dla przeciętnego człowieka, turysty niedostępnych. W Japonii stanęliśmy na macie z zawodnikami sumo, w Indonezji modliliśmy się z prawdziwymi mnichami. Mieliśmy parę ekstremalnych spotkań. Wystarczająco. Do Azji raczej nie wrócę.

Nie planuję też kolejnych dalekich podróży. Jeżdżę w miejsca, o których wiem, że są pod różnymi względami dobre. Jak Kazimierz nad Wisłą, który sprawdza się na krótkie wypady. Szkoda czasu na szukanie, błędzenie. Mam inne pomysły na życie. Poza tym nie zawsze trzeba jechać daleko, żeby doświadczyć czegoś nowego. Niedawno zostałem tatą. Teraz przede mną zupełnie nowa droga. I nowe wyzwania. ▀

Jolanta Gajda-Zadworna

Krupnik z dorszem

ANNA MONICKA



Swięta, karnawał, zaraz potem, już w lutym, post. Czas, kiedy jemy więcej wszelkiego mięsa, rybiego także, bo chociaż ciepła, to jednak zima. A jeżeli to robimy, wybierajmy mądrze. Czy wiecie, że nawet kupując śledzie, dorsze czy mintaje – możecie pomagać morzom i oceanom?

Zrobiłam niedawno znajomym mały quiz – wiecie, co oznacza LOL, OMG czy BFF? No ba, wszyscy jak jeden mąż powiedzieli, że jasne, oczywiście. – A o MSC ktoś coś? – zaczęłam drażnić skrótkowce. – Wszyscy jedzą śledzie, a nie obchodzi was, skąd się wzięły na waszym stole? Ciśza zapadła, bo nikt nie znał międzynarodowej organizacji Marine Stewardship Council, która dba o zrównoważone rybołówstwo.

Co to znaczy zrównoważone, o co w ogóle chodzi? W skrócie o to, by nie przelawiać, nie eksploatować nadmiernie. Problem ten dotyczy, jak wynika z danych MSC, już 33 proc. dzikich stad ryb i jeśli nadal będziemy tak traktować morza, oceany (inne zbiorniki wodne zresztą też), wkrótce będzie w nich pływać więcej śmieci niż ryb, a nasze dzieci będą znały smak śledzia, ale wyhodowanego z liścia sałaty, a nie wyklutego z ikry.

Znak organizacji na opakowaniu – niebieski, owalny, ze stylizowaną rybą – oznacza, że to, co jemy, ma certyfikat, czyli że pochodzi ze zrównoważonych połowów (odpowiedzialni rybacy stosują zrównoważone praktyki połowowe). Kupując ją, robimy więc prezent nie tylko sobie, lecz przede wszystkim ogromnym akwenom, które mają szansę tętnić naturalnym życiem, jak jeszcze 30–40 lat temu.

Zachęcam do zajrzenia na stronę msc.org/pl także z innego powodu. Otóż znalazłam tam wspaniałą książkę kucharską, a w niej 30 przepisów na dzikie ryby: śledzie, dorsze, łososie, tuńczyki, czarniaka. Mnóstwo wariacji na tematy tradycyjne, ale też takie rarytasy, jak krupnik z dorszem Grzegorza Łapanowskiego, mojego ulubionego kucharza, który niedawno założył fundację Szkoła na Widelcu. Jego przepisy są zawsze ciekawe i pyszne. Ten krupnik gotujemy z białej kaszy gryczanej na bulionie warzywnym lub rybnym, doprawiamy pomidorem, imbirem i tryną. Dorsz oczywiście musi mieć certyfikat MSC. Już tę zupę robiłam, jest rewelacyjna, z lekką orientalną nutką, którą daje imbir. Mój faworyt na tę dziwną zimę.



Fot. East News / Imagoblickwinkel

Kiedy na naszej szerokości geograficznej jesień przechodzi w zimę, po przeciwnej stronie równika kończy się wiosna i zaczyna lato. Chociaż południowa półkula nie we wszystkim jest przeciwieństwem półkuli północnej, trzeba przyznać, że zjawiska świata tamtejszej przyrody, a często także zwyczaje mieszkańców odległych rejonów, bywają dla nas osobliwe.

Dwa razy do roku, w październiku i w listopadzie, m.in. w rejonie wysp Samoa, Tonga i Fidżi, na odległych i romantycznych morzach południowych, odbywa się taki właśnie wyjątkowy spektakl przyrody. Przez kilka nocy, kiedy Księżyc maleje, zmierzając w kierunku nowiu, na powierzchnię morza wypływają morskie wieloszczety, zwane robakami palolo *Palola viridis*. Mieszkańcy egzotycznych rejonów organizują wówczas widowiskowe połowy, podczas których przy świetle pochodni, brodząc lub pływając łódkami, chwytają palolo. Połowy są ważnym punktem w kalendarzu tamtejszych mieszkańców i mają charakter radosnego święta, podczas którego złowione palolo spożywane są na surowo lub przyrządzane na różne sposoby.

Dla samych robaków palolo owo rojenie się, chociaż na inny sposób, jest również ważnym wydarzeniem, jest to bowiem ich sezon rozrodczy. Zjawisko to nazywane jest epitokią. Robaki palolo ciała mają długie i – nie uniknie się tego porównania – z wyglądu robakowate, choć – jak wspomniano – nie są robakami, leczorskimi wieloszczetami (wieloszczety to bezkręgowce należące do pierścienic, do których zaliczają się np. dżdżownice). Podczas epitokii palolo odrzucają składające się z komórek rozrodczych wydłużone, tylne części swoich długich ciał, które wypływają na powierzchnię, gdzie dochodzi do połączenia komórek męskich i żeńskich.

Naturalną koleją rzeczy komórki rozrodcze zawierają substancje odżywcze, są więc pożywne również dla ludzi; podobno też bardzo smaczne.

Od strony przyrodniczej zjawisko rojenia się palolo nie do końca jest poznane. Niezależnie jednak od poszukiwania odpowiedzi na kwestie nurtujące zoologów, jeżeli wyobrazi się sobie ciepłą księżycową noc, fale południowego morza omywające piaszczystą plażę, łodzie, blask ognia na powierzchni i niezwykle połów, na pierwszy plan wysuwa się malowniczość takiej scenarii.

Niech 2020 nauczy się od 1920



Najazd bolszewików sto lat temu odparliśmy wielką mobilizacją niemal całego narodu. Zwalczające się polityczne stronnictwa odłożyły na bok właśnie, zrozumiały, że idzie na Polskę wielkie niebezpieczeństwo, idzie zagłada. Poza komunistami, którzy tej zagłady chcieli, by – wraz z bolszewikami – na trupie Polski – ustanowić swoje panowanie.

To będzie rok decydujący. Kluczowy dla naszych następnych 20–30 lat, a może i dłużej. Albo pójdziemy dalej drogą odzyskiwania Polski dla Polaków, albo z tej drogi gwałtownie zawrócimy. I znów znajdziemy się w Tuskolandii, w której Polacy są tylko petentami sitwy trzymającej władzę, kasę, media, edukację, świadomość, w ogóle trzymającej wszystko. Gdzie Polacy są mierzwą na przemiał historii, w której rządzi z cygarem w zębach szemrany prywatyzator polskiej wolności i polskiej godności Janusz Lewandowski. A wtedy już liberalno-feudalne bagno zostanie zabetonowane na bardzo długo.

Zderzenie w roku 2020 nastąpi na pewno, bo wydaje się jedynym narzędziem totalnej opozycji. Zrozumiała ona wreszcie, że Polacy widzą brak jej politycznego programu, a więc polityczną nicość. Czyli że w konkurencji demokratycznej nie mają szans na odzyskanie władzy. Zaproponować Polakom lepszych rozwiązań nie potrafią, ale i nie chcą. Uznają, że władza należy im się dynastycznie, zatem wolno im odzyskać ją inaczej, metodą leninowską, przez rozwalanie. Metodą targowicką, przez wzywanie obcych stolic do interwencji w obronie kastowych przywilejów. Próbuja więc wywoływać pożary, gdzie tylko się da. Zamiast stanąć do politycznej rywalizacji, obwieszczają permanentny armagedon. Szukają pretekstów. I chyba właśnie znaleźli. Rzekome „zagrożenie władzy sądowej” wydaje się najlepszym pretekstem od miesięcy, nawet od lat.

Prawem kaduka wyniesiona ponad państwo sędziowska kasta była, jest i chce być kluczowym bastionem antydemokratycznego reżimu. Część polskich sędziów (tylko część, jest wielu sędziów sprawiedliwych i rozumiejących swoją pozycję) przywykła do roli nieocenianych, niekontrolowanych i niekontrolowalnych panów życia i śmierci, królów wszechświata. Którzy poza salą sądową chcą oceniać polityków, politykę, ustawy, innych sędziów i w ogóle wszystko, samemu

będąc całkowicie poza oceną. Każdy z tych uzurpatorów stawa się w funkcji Trybunału Stanu, a właściwie Ponadstanu. Zamiast wykonywać zlecone przez władzę ustawodawczą prawo, sędziowie uzurpatorzy chcą władzy ustawodawczej odmawiać prawa stanowienia prawa. Kto tu jest więc warcholem i zamachowcem na demokratyczny system?

Krzycząc na politycznych wiecach „Konstytucja!”, sędziowie uzurpatorzy nie zwracają sobie głowy tym, że też właśnie „kwaśniewska” i dość marna Konstytucja III RP w art. 178 mówi: „Sędzia nie może należeć do partii politycznej... prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów...”. Skoro ją jednak prowadzi – tym samym przestaje być sędzią. Trzeba tylko, by polskie państwo potrafiło to wyegzekwować, uzurpatorów przywołać do porządku albo usankcjonować ich samokasację z prestiżowego zawodu sędziego. Zawodu wymagającego rozumienia istoty państwa, zawierającej się także w tym, że poza salą sądową sędzia milczy.

Rok 2020 będzie trudny. Ale rok 1920 był trudniejszy. Bolszewicką nawałę pokonaliśmy, damy radę również szalowi uzurpatorów i tych, którzy ich wykorzystują, by polskie państwo rozwalić i na jego trupie ustanowić swoje panowanie. Niechże więc rok 2020 nauczy się strategii, odwagi i konsekwencji od roku 1920.

Życzę Wam, życzę nam, sobie, życzę Polakom mądrości i siły. Mieliśmy je sto lat temu, miewamy je czasem, ale trzeba regularnie, stabilnie, na stałe. Czym są mądrość oraz siła w życiu publicznym i narodowym, pisało wielu, a najlepiej chyba Dmowski i Piłsudski, choć tak bardzo się od siebie różnili. Obaj panowie, arcypolscy, ojcowie naszej niepodległości, byli bardzo wobec nas, Polaków, krytyczni. Oj, bardzo. Zarzucali nam brak konsekwencji, umiejętności przewidywania i myślenia strategicznego. Dmowski – zbyt kierowanie się emocjami, brak politycznej kalkulacji i właściwego pojmowania narodowego interesu, Piłsudski – zgnuszenie, bierność, brak ambicji i podmiotowości.

Obaj w jakimś stopniu mieli rację. Sto lat temu obaj uzupełnili się pięknie i pomogli owe polskie słabości przezwyciężyć, wybić się na wolność. Dziś potrzeba podobnej mądrości, siły i odwagi, bo dziś musimy tę wolność obronić.

Maciej Pawlicki

Pamięć nie umiera

Zwykle na styku starego i nowego roku jest czas, by zamyślić się nad przemijaniem i wartościami życia. Nawet młodzi nagle odkrywają, że ktoś dopiero co był tuż obok, miał marzenia i już go nie ma... Ze smutkiem czytałam ostatnio informacje o licznych odejściach resztki już żołnierzy, świadków wojny, okupacji i powstania warszawskiego, największego zrywu w historii świata toczzonego w mieście, tak długo i tak bohatersko. Gdy w czasie 50 rocznicy, w 1994 r., robiłam o nich film dokumentalny, wtedy jeszcze wszyscy stawili się 1 sierpnia na Powązkach pełni energii, uroczystości, z opaskami, nazwami zgrupowań, pseudonimami. Pytani o sens powstania, odpowiadali prawie jednocześnie – na ten dzień przygotowywaliśmy się i czekaliśmy przez pięć lat strasznej okupacji; nawet gdyby nikt nie wywołał powstania, i tak poszlibyśmy walczyć. Marek Racyński ps. Żwir powiedział spontanicznie, z młodzieńczym błyskiem w oczach starszego już pana: „Za ten jeden dzień oddałbym całe życie”, a Zbigniew Wolak ps. Szczupak był przekonany, że do powstania nie można było nie iść, chociaż nikt nikogo nie zmuszał. Takie to było pokolenie, przed którym, jak powiedział Julien Bryan, autor kronik filmowych z września 1939 r. „Gdyby Spartanie odżyli, to przed wami Polacy pochyliliby czoła”. Tak wielu ich odeszło pod koniec 2019 r.

9 grudnia w wieku 96 lat zmarł Henryk Troszczyński ps. Murarz. Walczył na Woli, cudem ocalał z okrutnej rzezi, był świadkiem niewyobrażalnego barbarzyństwa Niemców, a tydzień wcześniej zmarł Tadeusz Mrowiec ps. Stach z pułku „Baszta”, w powstaniu walczyli wszyscy jego bracia i rodzice. 10 grudnia zabrakło też Ryszarda Zielińskiego „Rysia”, miał 92 lata, walczył w Śródmieściu, mądrze udawał, że powstanie miało szansę na zwycięstwo, gdyby nie zdrada aliantów i Rosji. Pod koniec grudnia podążył za nimi na wieczną wartość, jak mówią po żołniersku, Sławomir Pocztarski ps. Bóbrze zgrupowania „Żywiciel”, zapamiętałam, z jaką wielką radością mówił o pierwszych zwycięstwach, powiewających polskich flagach, hymnie polskim płynącym z głośników: „To był raj dla nas po pięciu latach mordowania i poniewierki, nieważne to, że byłem głodny, wolność była najważniejsza, patriotyzm był bardzo silny, dlatego powstanie było tak ważne i tak bardzo potrzebne, bo dało sygnał całemu światu, że Polska żyje i sama potrafi walczyć o niepodległość, wy dzisiaj tego nie rozumiecie”. Zaraz po nim zmarł jego kolega Tadeusz Szczepanowski „Szczepan” w dalekiej Australii, gdzie znalazł się po powstaniu, miał 98 lat, całe życie tęsknił za Polską. W grudniowy dzień adwentowy podążył za nimi jeszcze jeden z ostatnich szaleńców zakochanych w Polsce i Warszawie, Wiesław Gniazdowski



**Alina
Czerniakowska**

z grupy bojowej „Krybara”, opowiadający z pasją, jak udało się pokonać Niemców w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego, mimo zacieklej bombardowań wroga.

Na koniec tej smutnej listy ostatnich odejść warto przytoczyć słowa sanitariuszki Barbary Żarskiej „Basi”, która 13 grudnia obchodziła swoje 93. urodziny: „Powstanie było efektem prawa natury. Niemożliwe, żeby się nie odbyło, to byłoby wbrew naturze ludzkiej, porodu się nie zatrzyma, dziecko musi się urodzić. To jest właśnie prawo natury”. Jak na sanitariuszkę, wyjaśnienie bardzo plastyczne i czytelne dla każdego wątpliwego

w sens powstania warszawskiego z 1944 r.

Oni odeszli, ale ich czyny są wieczne, bo pamięci w nas, Polakach, nikomu nie uda się zabić. Powstaną z mogił, jak żołnierze wyklęci, jak powstańcy styczniowi. W ferworze bieżących politycznych przepychanek i sensacji prawie przeszło niezauważone wielkie wydarzenie historyczne, pierwsze takie od momentu pogrzebu serca marszałka Józefa Piłsudskiego u stóp jego matki na wileńskiej Rossie wśród mogił żołnierskich. W czasie prac archeologicznych na Górze Zamkowej w Wilnie odnaleziono 20 zamordowanych powstańców styczniowych z 1863 r., w tym dwóch przywódców: gen. Zygmunta Sierakowskiego i Konstantego Kalinowskiego. Litwini zgodzili się na uroczysty pogrzeb i 22 listopada 2019 r. kondukt z trumnami niesionymi przez polskich żołnierzy, przy wtórce wileńskich dzwonów i wojskowych akordów, przeszedł przez całe stare Wilno, spod Katedry, Ostrej Bramy na Rosse, miejsce szczególne dla polskiej historii. Szli obok siebie polski i litewski prezydent, przedstawiciele Rzeczypospolitej wielu narodów. Licznie przybyli Polacy mieszkający tu na swojej ziemi od pokoleń.

Po tej niezwyklej uroczystości prezydent Andrzej Duda napisał: „Niesamowity dzień w Wilnie. Dreszcz mnie przeszedł, gdy przechodziliśmy pod Ostrą Bramą za trumnami powstańców styczniowych w szpalerze polskich i litewskich żołnierzy. Miałem łzy w oczach, gdy polskie komendy wojskowe i salwa honorowa wstrząsnęły cmentarzem na Rossie”. Spełniły się pragnienia Józefa Piłsudskiego, twórcy naszej niepodległości sprzed 100 lat, w jego ukochanym Wilnie, tam gdzie matka i serce syna, spoczęli teraz ci, których szczególnie umiłował i oddawał hołd do końca swoich dni – powstańcy styczniowi.

„Ludzie odchodzą, zostają po nich czyny i pamięć... Boska pamięć utrwała nasze postawy i dobre czyny na wieczność” (JP2, „Pamięć i tożsamość”). Warto o tym pamiętać u progu nowego roku.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

W oczekiwaniu na łuk triumfalny



www.wojciechreszczyński.pl

*Warto wiedzieć, że autorem sformułowania „Cud Wisły”
był polityk ruchu narodowego, publicysta,
późniejszy poseł II RP Stanisław Stroński*

P przed nami dwa wielkie wydarzenia, których sens można odkrywać na różne sposoby, bo co charakterystyczne, wydarzenia te w szczególny sposób łączy ten sam czas, równo sto lat temu.

18 maja 1920 r. w Wadowicach urodził się Karol Wojtyła, przyszedł papież Jan Paweł II. W tym czasie Rosja bolszewicka szykowała się do kontruderzenia po zajęciu Kijowa przez wojska polskie i ukraińskie Symona Petlury. W sierpniu ofensywa podeszła pod Warszawę, a najbardziej zacięte walki toczyły się wokół Radzymina. W rozkazie o przejściu do ofensywy marszałek Michaił Tuchaczewski, dowódca frontu zachodniego, pisał: „Wojska czerwonego sztandaru gotowe są walczyć aż do śmierci z wojskami białego orla. (...) Musimy utopić zbrodniczy rząd Piłsudskiego we krwi zmiażdżonej armii polskiej. (...) Na Zachodzie waży się losy wszechświatowej rewolucji. (...) Droga do światowego pożaru wiedzie poprzez trupa Polski. (...) Naprzód towarzysze! (...) Na Wilno, Mińsk, Warszawę – marsz!”.

W 1999 r. Jan Paweł II odwiedził Radzymin, będący w sierpniu 1920 r. na linii frontu, dziś dumne z monumentalnego cmentarza żołnierzy polskich poległych w Bitwie Warszawskiej. Jan Paweł II dał się namówić na „słowo”, chociaż jak zaznaczył, na tym miejscu najbardziej wymowne jest milczenie. „Wiecie, że urodziłem się w 1920 r., w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę. I dlatego noszę w sobie od urodzenia wielki dług w stosunku

do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeżdżącą i zwyciężyli, płacąc za to swoim życiem. Tutaj, na tym cmentarzu, spoczywają ich doczesne szczątki. Przybywam tu z wielką wdzięcznością, jak gdyby spłacając dług za to, co od nich otrzymałem”.

W czasie Liturgii Słowa ogłoszonej w Bazylice Katedralnej św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika na warszawskiej Pradze Jan Paweł II ponownie zapewnił, jak żywa jest dla niego pamięć o Bitwie Warszawskiej. „Było to wielkie zwycięstwo wojsk polskich, tak wielkie, że nie dało się go wytłumaczyć w sposób czysto naturalny i dlatego zostało nazwane »Cudem nad Wisłą«. To zwycięstwo zostało poprzedzone żarliwą modlitwą narodową. Episkopat zebrany na Jasnej Górze poświęcił cały naród Najświętszemu Sercu Pana Jezusa i oddał go w opiekę Maryi Królowej Polski”.

Może warto wiedzieć, że autorem sformułowania „Cud Wisły” był polityk ruchu narodowego, publicysta, późniejszy poseł II RP oraz minister w rządzie RP na uchodźstwie, Stanisław Stroński. W przededniu owej historycznej daty 15 sierpnia 1920 r. przypomniał na łamach „Rzeczpospolitej” dramatyczne dni wrześniowe we Francji w 1914 r., tak podobne do naszych sierpniowych dni. Niemcy parli na Paryż i wtedy stał się „Cud Marny”, cud nad rzeką Marną, prawym dopływem Sekwany, czyli zwycięstwo marszałka Josepha Jacques’a Joffre’a nad Prusakami. Stroński pisał z wielkim przekonaniem, że tak jak we Francji nad Marną, tak i u nas

stanie się „Cud Wisły”. I jak się okazało, miał rację. Bolszewicy mieli do Warszawy zaledwie 15 km, widzieli mosty i miasto, ale opór Polaków był tak silny, że zatrzymał ich, a potem zmusił do odwrotu, w zasadzie do panicznej ucieczki. Wielu uczestników tych walk upatruje „Cudu nad Wisłą” w bohaterstwie ks. Ignacego Skorupki, który zginął pod Ossowem. Jan Paweł II wspominał bohaterskiego kapłana i polecił go Miłosierdziu Bożemu. Przypomniał też, że o wielkim „Cudzie nad Wisłą” przez całe lata trwała „zmowa milczenia”. Stąd obowiązek „podtrzymania pamięci tego wielkiego wydarzenia w dziejach naszego narodu i całej Europy, jakie miało miejsce po wschodniej stronie Warszawy”.

W Castel Gandolfo, niedaleko Rzymu, w wiejskiej rezydencji papieża znajduje się obraz, wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej, który otrzymał papież Pius XI od Episkopatu Polski. Polacy byli bardzo wdzięczni Piusowi XI, który w tych trudnych sierpniowych dniach 1920 r., jako nuncjusz apostolski Achille Rattii, nie wyjechał z Polski, tak jak to zrobili wszyscy dyplomaci zagraniczni. Jak wspominał Jan Paweł II: „Odchodząc z Polski, zabrał w sercu wspomnienie tego dnia i tego wydarzenia, które w naszej tradycji ojczystej nosi nazwę »Cudu nad Wisłą«. Ale to niejedyna polska pamiątka. W bocznej kaplicy domowej papież Pius XI polecił namalować na ścianach dwa duże freski. Widziałem je, są imponujące. Pierwszy to obrona Jasnej Góry, a drugi to »Cud nad Wisłą«. Ta jego decyzja sprawiła, że papież Polak zastał tam, w tej kaplicy, dzieje swojego Narodu”.

Za osiem miesięcy na placu na Rozdrożu w Warszawie stanie łuk triumfalny Bitwy Warszawskiej. Jest dla mnie oczywiste, że powinien być na nim wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej. 

Czyste ręce

Gdyby dziś zamknięto kilku polityków, kolejnego dnia następnych i naraz w TVP pojawiliby się premier Morawiecki z przemową skierowaną do Polaków: – Zapowiadaliśmy audyt państwa, zeszło nam cztery lata, ale w końcu sprawy ruszyły. Od dziś nikt, kto uczynił cokolwiek przeciwko polskiemu państwu, nie może się czuć bezpieczny. Właśnie przeczymy wszystkim tym, którzy mówili, że rząd PiS jest jedynie rewersem rządów PO-PSL i kontynuuje umowy „okrągłego stołu”. Długo badaliśmy przestępstwa, długo też ważyliśmy odpowiedzialność, aby nikomu nie zrobić krzywdy. Teraz nadszedł czas wymierzania sprawiedliwości w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Aresztowani zostali..., zarzuty wobec nich nie podlegają żadnej wątpliwości... – premier kończy swoje wystąpienie z poważną, ale budzącą nadzieję miną.

Obrazki z akcji „czyste ręce”, pokazujące wyprowadzanych w kajdankach tych, którzy dotychczas zasiedlali wszelkie możliwe studia telewizyjne, wzbudzają ogromny oddźwięk. Ludzie dyskutują o tym wszędzie. Autobusy, przystanki, zakłady fryzjerskie i poczekalnie pełne są rozemocjonowanych ludzi. Coś się zaczęło, coś przełamało...

Jakie to przyniesie skutki? Otóż jestem przekonany, że tym ruchem PiS – po raz kolejny – przebiją szklany sufit, notowa-



**Witold
Gadowski**

nia idą w górę. Kończy się psioczenie i wewnętrzne gnienie władzy.

Grupa specjalnie wyselekcjonowanych analityków, oficerów i prokuratorów przygotowała miazdzące dokumenty. Prześladowano ruchy finansowe pomiędzy Polską i chociażby Panamą, Cyprem i Wyspami Samoa. Efekty są szokujące. Funkcjonariusze w kominiarkach wyprowadzają lokatorów luksusowych rezydencji. Część zatrzymań następuje tuż pod Sejmem, a nawet w ministerialnych gabinetach. Zarzuty poważne: defraudacje, działalność na rzecz obcych wywiadów, pranie pieniędzy, powiązania z mafią. Akcja nie oszczędza także całej grupy wysokich oficerów służb specjalnych. Na naszych oczach rozbity zostaje rdzeń antypaństwa. Aresztowania następują także wewnątrz samego obozu władzy i rządu. Twarda ręka państwa nie oszczędza nikogo.

Widzicie te sceny? Wielu z nas o tym wręcz marzy. Wielu uważa mnie za niepoprawnego jastrzębia, człowieka bez umiaru i tak radykalnego, że nie zniesie tego większość „elektoratu”. Przyznajcie jednak, że dopóki nie nadejdzie taki dzień, dopóty dobra zmiana nie nabierze nowego rozpędu, nie zostaną zahamowane procesy gnilne. Chcecie rządzić przez kolejne kadencje, to przestańcie udawać, że nie wiecie, o czym w tej chwili piszę!

O wolności i głupocie

Poszerzamy dziś obszary wolności – aż po granice absurdu. O ile sprawa wyboru płci wzbudza (jeszcze!) w Polsce uśmiech politowania, o tyle inne nowinki lykamy jak pelikan.

Zwykle to ciekawość/chciwość/głupota popychają nas w kierunkach dla nas niebezpiecznych. Chcąc mieć dostęp do błahych informacji (plotek?), jednym kliknięciem wyrażamy zgodę na inwigilację nas przez sieciowych wywiadowców. Pozwala to nieznanym nam osobnikom na śledzenie i gromadzenie wiedzy o nas, o naszych upodobaniach i (pośrednio) na sterowanie naszym życiem. Zarzucanie ofertami reklamowymi jest akurat najmniejszym zagrożeniem. Gorzej gdy zaczyna się „formatować” ludzi wybranymi dla nich treściami. W dobie obsesji RODO sami (dobrowolnie!) udostępniamy odcisk palca, ciesząc się jak dzieci z możliwości nowoczesnego logowania się w telefonie komórkowym. Imponuje nam łatwość posługiwania się elektronicznymi rozliczeniami. Czy mamy świadomość tego,



**Lech
Makowiecki**

że gdy tylko papierowy pieniądz zostanie wyparty przez plastikową kartę, utracimy władzę nad własnym majątkiem? Pomijając potencjalne zagrożenie ze strony genialnych hakerów – od tego momentu wszystkie nasze operacje finansowe (darowizny, wsparcia bliskich nam ludzi czy idei) będą kontrolowane. Tym samym każda opresyjna władza dostanie skuteczne narzędzie do dyscyplinowania niepokornych obywateli przez natychmiastowe odcięcie ich od środków do życia.

Sytuacja staje się naprawdę dramatyczna w przypadku konfliktów zbrojnych. Podczas II wojny światowej przeżycie wielu ludzi (zwłaszcza Żydów) możliwe było głównie dzięki posiadaniu w domu oszczędnościom: pieniądзом, walucie, biżuterii. Było za co kupować żywność, odzież, opłacić się szmalcownikom etc. Współczesny Hitler czy Stalin zacząłby najazd na Polskę od sparaliżowania systemów bankowych i zablokowania kont. W takim przypadku zakopany w ogródku słoik złotych monet – bezcenny.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Noworoczne baloniki

Nowy rok upłynie nam pod znakiem wyborów prezydenckich. Trwa zatem pompowanie dziurawego balonika z napisem Małgorzata Kidawa-Błońska. Przy pomocy zaprzyjaźnionych mediów można stworzyć iluzję, że to liczący się i poważny polityk, a nie żałośnie nijaka, pozbawiona charyzmy i innych przymiotników kandydatka. Ze wszystkich zaprzyjaźnionych stron płyną slogany o łagodności, kobiecości, świeżości, doświadczeniu – że niby ta kandydatka to gwarantuje. Kosmos hipokryzji osiągnął jej „konkurent” Jacek Jaśkowiak. Ewidentnie wypuszczony „za zająca” przegrał w prawyborach, co było do przewidzenia. Zadeklarował jednak poparcie dla konkurentki. Tak prawdziwe jak choroba filipińska pewnego prezydenta. Miał swoimi poglądami wzmocnić przekonanie, że Kidawa-Błońska jest umiarkowana i oczywiście „dla wszystkich Polaków” i stworzyć wrażenie, że opozycja ma jakiegokolwiek zaplecze, z którego czerpie pełnymi garściami kandydatów na prezydenta RP. To dość jarmarczna sztuczka iluzji politycznej.

W swoim wystąpieniu Małgorzata Kidawa-Błońska wmawiała słuchającym, że gdy zostanie wybrana, to Polacy nie będą się musieli wstydzić prezydenta. Było to tak idiotyczne, że aż niepojęte. Co to mównica i flesze z ludźmi mogą zrobić. Chyba że niewiasta miała na myśli Kwaśniewskiego w Charkowie czy Komorowskiego (wszędzie i zawsze). Do Andrzeja Dudy to się nijak nie klei. Proste pytanie – pani kandydatko, a jakim językiem się pani biegle posługuje? To także świadczy o jej klasie politycznej i dojrzałości do sprawowania nie tylko najwyższego, lecz jakiegokolwiek wysokiego urzędu w państwie. Alfred Jarry w „Ubu Król” by tego nie wymyślił. Usłyszałem też od niej taką frazę: „Wygrałam z Kaczyńskim w Warszawie, to wygram z Dudą w Polsce”, czy jakoś tak. Biedna, zagubiona kobitko, może i w Warszawie wygrasz te wybory, ale Polska to naprawdę znacznie więcej (przyzwoiciej, normalniej, odpowiedzialniej etc.) niż twoja Warszawka. Z Kaczyńskim wygraliście w stolicy, ale z kretelem przegraliście w Polsce. Warto zatem to propagandowe zawołanie osadzić w realiach, droga kandydatko, bo to pozwala mniej bredzić. Tym razem będzie podobnie albo jeszcze gorzej. Przegracie. Bo Polskę macie w nosie, bo dla was Polska to tylko Warszawka. A wyobrażenia przechodzące w sprostowanie to nic innego jak halucynacje. Zatem drodzy promotorzy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, tego balonika naprawdę nie da się napompować! Daremny trud, zakłęcia. I szkoda forsy.



**Aleksander
Nalaskowski**

Innym kandydatem ma być Robert Biedroń. Jego Wiosna już została pożarta przez Czarzastego. Ale proces trawienny trwa nadal. I jego zakończenie u wszystkich ssaków jest takie samo. Ale to także dość bezczelna propozycja politycznego zadekretowania homoseksualizmu, któremu Kościół, a wręcz całe chrześcijaństwo, rodzina, tradycje przeszkadzają w pełnym, niepohamowanym rozkwicie. Gdy słyszę, że idzie o rozdział państwa od Kościoła, to wiem, że idzie o oddzielenie ludzi od Boga i religii. Gdy słucham o tolerancji, to słyszę jazgot homoparad, a gdy mówią mi o równości, to wiem, że idzie o wyrównywanie przez wbijanie młotem, aby nikt się nie wychylał ani nie próbował być nieznośnie hetero. Ale na Rzeczpospolitą Gejowską będzie pan Robert

musiał jeszcze poczekać.

O Hołowni już tu pisałem i jak dotąd zdania nie zmieniłem. To kolejny balonik, do którego pompowania zostaną pewnie zaangażowane tłocznie z największych oczyszczalni ścieków. Są tam takie maszyny o ogromnej mocy. Ale nadal chodzi tu tylko o nieczystości. Atmosfera wokół subtelnej, czyściutkiej i złotoustego Szymona coraz bardziej będzie zalatywać.

Nadal też uważam, że Władysław Kosiniak-Kamysz to nieporozumienie. Gdybym miał wskazać swojego kandydata na współczesnego Nikodema Dyzmę, nie miałbym żadnych wątpliwości. On udowadnia, że Polska to kraj ogromnych możliwości. Można sobą niczego nie reprezentować, wystarczy tylko ładnie wyglądać, a zaszczyty i apanaże stoją otworem i są w zasięgu ręki. Cynizm tego polityka zapewne bym zrozumiał, ale niezachwianej wiary w swoją wyjątkowość nijak wybaczyć nie potrafię. O ile z Tuska Niemcy i Francja zrobiły kombajniste, o tyle Władysława Kosiniaka-Kamysza by zaprzęgli do pług.

W piłkę nożną można grać na dwa sposoby. Jestem laikiem w tej materii i wszystkich znawców proszę o wybaczenie. Można grać artystycznie jak Lewandowski czy Błaszczykowski, ale można też podstawiać przeciwnikom nogi, wychodząc z założenia, że wprawdzie bramek się tym nie zdobywa, ale utrudnia się zdobywanie bramek przeciwnikom. W naszej polityce zdaje się dominować ta druga szkoła. Słowo „PiS” czy „Duda” (rzadziej „Andrzej Duda” czy „prezydent Andrzej Duda”) czy „Kaczyński” (już chyba zawsze bez imienia czy określenia funkcji) to tylko jeden z elementów takiej walki, bez którego żadne przemówienie po stronie opozycji odbyć się nie może. Jakiś program? Coś pozytywnego? Ależ skąd! Bo chodzi tylko o to, aby wygrać. Tylko do licha – po co?

Do siego roku!

PRZESWIETLIK

Niechciane prezenty

No dobra. Duchowość duchowością, rodzina rodziną, zbawienie zbawieniem, ale prezenty też się liczą. Nie wiem, czy też tak macie, ale ja po prostu na nie czekam i cieszę się pod choinką z tych, które dają mojemu potomstwu, co najmniej tak bardzo, jak z tych, które dostaję. Pod choinką było OK. Gorzej w jej okolicach. Dostaliśmy kilka makabrycznych propozycji prezentów.

Nieszczęsne w swoim szaleństwie PO-KO, oprócz anonowania po raz milionowy, że to już koniec wolnych sądów (wolne sądy w Polsce umierają częściej niż Mark Twain rzucał palenie), zgłosiło także projekt racjonalizatorski. Firmy zarówno państwowe, jak i prywatne, które będą się ogłaszały, że poszukują pracowników, mają przy okazji mieć obowiązek w ogłoszeniach pisać, ile będą płacić za oferowaną posadę. Pomysł świetny, szczególnie w czasach niskiego bezrobocia, kiedy każdy pracownik ma okazję przy okazji angażu spróbować ponęco-
cować stawki. Nieco zaskakujące jest za to to, że dżentelmeni od cygar u Tuska reklamowali się niegdyś jako liberałowie. A co to za liberałowie, którzy każą pracodawcom z góry ujawniać wszystkie zarobki?

Jak się okazuje, to wszystko z troski o pleć piękną, choć to sformułowanie jest zdaje się zakazane. Aby panie zarabiały tyle, ile faceci, pracodawcy muszą ujawniać proponowany zarobek w ogłoszeniu. Gdyby taki projekt przepychał jakiś pisowski minister pracy, zapewne interweniowałyby TSUE, Komisja Europejska, a Frans Timmermans ogłosiłby dziesięć złodowacenie. Jak się okazuje, jest partia, która ma monopol na akceptowalną głupotę.

Monopol na bezczelność ma z kolei kilku amerykańskich kongresmenów i niestety niektórzy z nich to republikanie. Też święci Mikołajowie. Dwóch z nich wysłało do Polski w prezencie list, w którym domagają się – ni mniej, ni więcej – drastycznego obniżenia opłaty za wydobywanie w Polsce miedzi. Wszystko wynika z tego, że wokół polskiej miedzi zaczął kręcić się Thomas Kaplan, znany miłośnik Rembrandta, kruszców i pieniędzy. List jak list, ale ciekawe jest to, że panowie powołują się na kwestię... bezpieczeństwa Polski. Nie wiem, jak wyglądała polska odpowiedź, ale moim zdaniem powinno się Amerykanom podziękować za obecność woj-skową, zachęcić do jej nasilenia, a zarazem zaprezentować ewentualną ofertę przyspieszonych kursów pilotażu samolotów pasażerskich na terytorium USA dla uczniów szkół wahabickich. Do wykorzystania na wypadek, gdyby ta obecność miała jednak zmaleć.

Można by mnożyć, ale jedno jest pewne. Trzeba na Mikołaja uważać, bo prawdziwy jest tylko jeden. Pozostałych trzeba czasem kopnąć w... sanie.

Wiktor Świetlik

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY *poleca*

w numerze m.in.:

Leopold Caro, **Szkoła solidarystyczna i Kościół katolicki o kwestii społecznej**

Ewa Ignaciuk, Władysława Kiwak, **Nędra – afront wobec godności człowieka. Problem jednostki czy wspólnoty?**

Dominik Bierecki, **Konsekwencje prawne przejęcia spółdzielczej kasy oszczędnościowo-kredytowej na podstawie decyzji Komisji Nadzoru Finansowego**

Elżbieta Ostrowska, **Neuroekonomia w kontekście zachowań inwestorów**

Jerzy Jankowski, **Modele odrębnej własności lokalu**

w numerze m.in.:

Igor Antonov, Oksana Vladimirovna Martynenko, **Formation and development of the system of cooperative banks in Russia**

Małgorzata Balwicka-Szczyrba, **„Małżeństwo konkordatowe” po 20 latach od nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego**

Anna Dąbrowska, **Standardy bioetyczne Rady Europy**

Aneta Suchoń, **Spółdzielnie w Niemczech wobec wyzwań współczesnego rolnictwa – wybrane aspekty prawne**

www.prawoiwied.edu.pl **www.sin.edu.pl**

Czyj kret w TVN?

Skandal na inaugurację kampanii wyborczej na prezydenta RP. Zerwanie debaty telewizyjnej mającej się odbyć między dwojgiem kandydatów prowadzących w sondażach wyborczych. Obecnym prezydentem Andrzejem Dudą a kandydatką PO Małgorzatą Kidawą-Błońską. Kwadrans przed jej rozpoczęciem, kiedy wszyscy zgromadzeni przed telewizorami w napięciu oczekiwali pojedynku. Politycy, media, opinia publiczna. Moja bliska krewna, która od wielu lat śledzi wszystkie telewizyjne debaty wyborcze, wychodząc z łazienki z elektryczną szczoteczką w ręku, zawiedziona powiedziała: „Nie tylko ja ostrzyłam sobie zęby na ten pojedynek”.

Co zdecydowało o tym, że debata nie doszła do skutku: sabotaż czy wada techniczna wysoko zaawansowanego sprzętu w technologii cyfrowej? Czy i kiedy dowiemy się, gdzie leży prawda? PO oskarża PiS o dywersję, gdyż jeszcze podczas porannej próby prompter zainstalowany na pulpicie przy stanowisku przygotowanym dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej działał bez zarzutu. Killkanaście godzin



**Jerzy
Jachowicz**

później z zaniepokojeniem zauważono, że po włączeniu sprzęt bardzo długo się rozgrzewał. Po dalszej chwili nagle przerwał emisję odpowiedzi na pytania Moniki Olejnik. Zaczął przeskakiwać na różne zbiory, pokazywać reklamy, m.in. pasty do butów, programy o odchudzaniu „Zrzuć nadwagę na dobre”, „Schudnij jak ja”, rozrywkę w rodzaju „Mam talent”, a w nim samego Szymona Hołownię ćwiczącego zapowiedź o swoim starcie w wyborach prezydenckich. A nawet niedawny wywiad z Donaldem Tuskiem, który namawia Polaków, aby w proteście przeciwko „represyjnej” ustawie o sądach wyszli na ulice miast.

„Niesprawność promptera, jak stwierdziła nasza kandydatka, wstrząsnęła nią tak, jakby nastąpiła awaria naszego obronnego systemu raketowego. Dlatego nie była w stanie stanąć do pojedynku” – wyjaśnił w komunikacie jej sztab wyborczy.

Wczoraj kierownictwo TVN zaangażowało specjalistyczną firmę Arsen, której zadaniem jest odkrycie kreta nasłanego prawdopodobnie przez PiS.

CO MNIE CIESZY I WZRUSZA

Wielka Irena Santor

Irena Santor potwierdziła, że była, jest i będzie prawdziwą pierwszą damą polskiej piosenki, wielką gwiazdą estrady – skarbem o słowicznym głosie.

W 85. rocznicę urodzin Ireny Santor miałam przyjemność oglądać spotkanie z artystką w TVP Kultura. Mówiła o sobie i do nas. Oglądając ten program, ze wzruszeniem przypominałam sobie różne spotkania. Kiedy śpiewała, słyszałam ten sam głos, który śpiewał w Mazowszu o kukuleczce. Głos, który wyśpiewywał polskie szlagiery. Tekst w jej piosence był zawsze bardzo ważny. Zazdrościłam jej pięknego głosu. To był ktoś, kogo się chciało słuchać i chce się słuchać. Mówi do nas, śpiewając. Każde polskie słowo, trudne czasem do wyśpiewania, jest nam podane tak, że rozumiemy, o czym śpiewa. Irena zawsze była osobą skromną, nieulegającą modom. Staje na estradzie sama jedna z mikrofonem w ręku i śpiewa. Irena była inna, szczególna. Niesamowicie naturalna. Przez wiele lat nie było jej w naszej telewizji. Teraz pokazała, że jest i że może śpiewać. Nie z nagrań, ale na żywo. Spotykałyśmy się na różnych imprezach, poezja, którą



**Katarzyna
Łaniewska**

ja wykonywałam, była przygarniana na te spotkania. Los zetknął nas w życiu bardzo już dojrzałym, przed poważną chorobą Ireny. Zapytała mnie, czy honorowo w drugi dzień świąt pojedę do Kalisza, bo tam odbudowywali jeden z ołtarzy i miała zaśpiewać kolędy z poezją. Pieniądze wpłacane przez słuchaczy miały iść nad odnowę ołtarza. Z przyjemnością pojechałam. Przez trzy kolejne lata drugi dzień świąt spędzałyśmy razem. Co nas, a właściwie ją tam spotkało!? Wspaniały organista Marian Sawa się rozchorował. Miał nie wystąpić. „To nic nie szkodzi – powiedziała Irena. – Zaśpiewam a capella”.

Taka wielka śpiewaczka się na to decyduje? Inny by się nie zdecydował. Na szczęście organista wyzdrowiał, ale deklaracja Ireny to była wielka rzecz. Była osobą gotową pomagać innym i bliskim, nawet tym, z którymi się rozstała, pomagała w potrzebie. Irena jest bardzo pogodna, życzliwa i piękna. Takie osoby chciałabym ja i nie tylko ja oglądać i słuchać nie tylko w TVP Kultura. Inne „gwiazdy” podobają się innej publiczności, ale my, moje pokolenie, jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy i chcemy słuchać Ireny.

Enea na drodze zrównoważonej transformacji

Strategia Rozwoju Grupy Enea do 2030 r. z perspektywą do 2035 r. zakłada wiele kluczowych zmian i odpowiedzialną transformację aktywów wytwórczych Grupy

Enea jest aktywnym uczestnikiem pozytywnych zmian w sektorze energetycznym. Koncern ogłosił i wprowadził do realizacji aktualizację Strategii Grupy. Dokument odpowiada na wyzwania związane z poszanowaniem środowiska naturalnego oraz wspiera realizację celów klimatycznych Unii Europejskiej.

Enea przeprowadzi odpowiedzialną i zrównoważoną transformację w kierunku innowacyjnego koncernu niskoemisyjnego. Grupa zamierza zainwestować ponad 64 mld zł w perspektywie do 2035 r. Inwestycje w nowe moce wytwórcze, wspierające transformację, będą wymagały nakładów rzędu 22 mld zł.

W konferencji poświęconej prezentacji zaktualizowanej strategii wziął udział zarząd firmy, a także przedstawiciele świata biznesu, mediów i polityki.

– To bardzo symboliczny moment, który pokazuje, w jaki sposób społeczność biznesowa, przedsiębiorstwa, odpowiadają na wyzwania, jakie przed nami stawia przyszłość – mówił Michał Kurtyka, minister klimatu, podczas konferencji zorganizowanej przez Grupę Enea.

– Możemy skorzystać nie tylko z demokratyzacji dostępu do energii, bo taka jest np. idea segmentu paneli fotowoltaicznych, który stale rośnie. To także optymalizacja kosztów finansowania całego systemu elektroenergetycznego – mówił Michał Kurtyka.

– Cieszę się, że Grupa Enea będzie również w tym procesie uczestniczyła – dodał minister klimatu.

Mirosław Kowalik, prezes Enei, prezentujący założenia aktualizacji, podkreślił, że takie wartości jak odpowiedzialność, kompetencje, uczciwość i bezpieczeństwo budują tożsamość i siłę Grupy.

Firma zakłada do 2030 r. 43-procentowy udział źródeł zero- i niskoemisyjnych, w tym ponadczterokrotny wzrost udziału OZE. 2 proc. z budżetu inwestycyjnego będzie przeznaczane na innowacje oraz działania badawczo-rozwojowe.

Michał Kurtyka, minister klimatu, zwrócił uwagę, że wyzwania o charakterze inwestycyjnym będą się wplatały we współpracę pod względem solidarności europejskiej.

– Rada Europejska właśnie określiła wyjątkowy charakter polskiej transformacji i wyjątkowy punkt startu, który przypadł w udziale naszemu krajowi – mówi minister Kurtyka.

– Nowa strategia to krok Grupy Enea w przyszłość – podkreślił.

Ogłoszona aktualizacja strategii jest odpowiedzią na nowe trendy w sektorze energetycznym i wpisuje się w model funkcjonowania nowoczesnego koncernu energetycznego, a także oczekiwania klientów. Grupa Enea będzie tworzyć przestrzeń do zrównoważonego rozwoju w sposób innowacyjny i odpowiedzialny, stawiając na rozwój zero- i niskoemisyjnych źródeł wytwórczych oraz nowych linii biznesowych, cyfryzację i automatyzację procesów i usług oraz rozwój inteligentnej infrastruktury i technologii wodorowych. Planowana transformacja odbędzie się przy zachowaniu bezpieczeństwa finansowego. Wicelider rynku produkcji energii elektrycznej przyjął nową misję oraz wizję, które skoncentrowane są na rozwoju kompleksowych produktów i usług.

Enea zakłada zrównoważoną rozbudowę aktywów wytwórczych i odpowiedzialną zmianę struktury wytwarzania. Grupa zamierza do 2035 r. zainwestować łącznie ponad 64 mld zł. Nakłady inwestycyjne na realizację inwestycji w nowe moce wytwórcze, wspierające transformację koncernu w kierunku niskoemisyjności, zostały oszacowane na poziomie około 22 mld zł. Na obszar dystrybucji przeznaczone zostaną nakłady rzędu 26,9 mld zł. Będą to projekty poprawiające bezpieczeństwo energetyczne, ale również wspierające plan rozwoju niskoemisyjnych źródeł wytwórczych, zwiększające potencjał sieci do odbioru energii ze źródeł rozproszonych i instalacji prosumenckich, a także korzystnie oddziałujące na rozwój infrastruktury e-mobility w Polsce.

Prezes Mirosław Kowalik zwrócił uwagę, że Enea chce część projektów inwestycyjnych realizować w formule project finance.

– Będziemy optymalizować strukturę i źródła finansowania naszego programu inwestycyjnego. Działania w formule project finance, tj. we współpracy z partnerami, pozwolą na utrzymanie stabilnej sytuacji finansowej Grupy. Część wydatków zrealizujemy w formule nieopartej na bilansie firmy – powiedział Mirosław Kowalik podczas konferencji prasowej.

Grupa Enea zarządza pełnym łańcuchem wartości na rynku energii elektrycznej: od paliwa, poprzez produkcję, dystrybucję, sprzedaż, po obsługę klienta. Sieć dystrybucyjna Enei Operator, zlokalizowana w północno-zachodniej Polsce, obejmuje 20 proc. powierzchni kraju. Spółka jest notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych od 2008 r.

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz

TRENDY I OWĘDY

Pociągi
dwa*Jeden pociąg wyrusza ze stacji A,
drugi ze stacji B i robi się ciekawie*

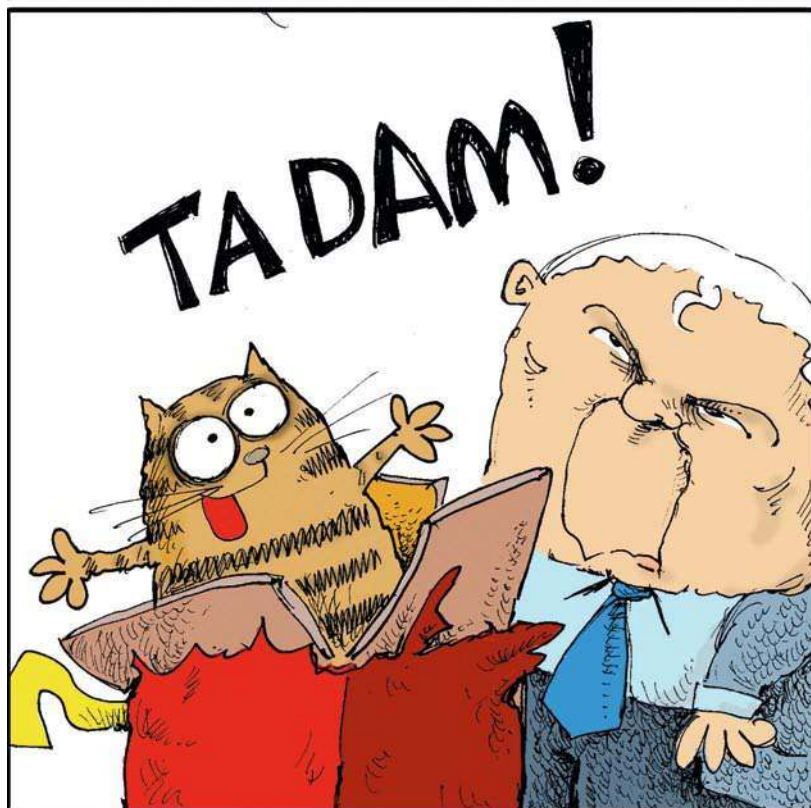
Mamy dwa pociągi. Jeden z nich wyjeżdża z Warszawy 29.12. 2019 r. o 8.05 i przyjeżdża do Zakopanego o 14.03. Drugi wyrusza 3.01.2020 r. z Zakopanego o 14.41 i przyjeżdża do Warszawy o 20.40. Nabyłem bilety pierwszej klasy. Rzadko korzystam z usług kolei, ale podróż zakopianką, gdy spędzić sylwestra w zimowej stolicy zamierza „pół Polski”, jeśli chodzi o mnie, wykluczona. W domu przyjrzałem się blankietom. Okazało się, że w jedną stronę bilet kosztuje 89 zł, ale za to z powrotem 204 zł! Wnikliwe gapienie się dało efekt. Tańszy bilet był na IC, InterCity, droższy na EIC, Express InterCity. Czas przejazdu ten sam, więc skąd ta różnica w cenie?

Oświeciła mnie sieć: pociągi IC są dotowane, a EIC nie. Za stroną zbiorowy.info: „Standard taboru jest praktycznie identyczny, zdarzają się nawet sytuacje, że ten sam skład rano obsługuje połączenia EIC, a wieczorem jedzie jako pociąg kategorii InterCity”. Czyli mamy dwa takie same pociągi w diametralnie różnych cenach. Oplata zależy od szczęścia, który podstawia. Teoretycznie pod górę powinno być drożej, a z góry taniej, a nie odwrotnie. Ale kto pojmie meandry kolejnictwa?

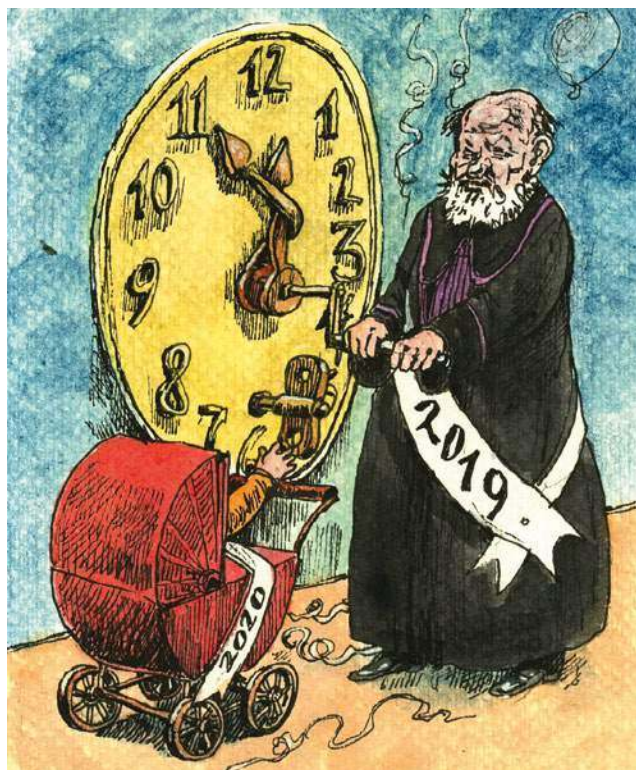
Toaleta na Dworcu Wschodnim płatna 2,5 zł. Chcę zapłacić w okienku, ale pani nakazuje mi, uiścić w full wypas automacie. Wrzucam 3 zł. Nie dostaję reszty. Reklamuję u tej pani. „Jest napisane, że nie wydaje reszty”. No rzeczywiście jest. „Przecież ja tu siedzę po to, żeby rozmienić”. Bareja na kolei wiecznie żywy!



**Ryszard
Makowski**



Zawistowski prezentuje: **Nowy, stary rok**



Wycinki z przeszłości

W roku 2020 minie 110 lat od śmierci Marii Konopnickiej. Niewielu jest poetów i pisarzy tak już odległych, a tak wciąż obecnych w naszych domach, szkołach, życiu kulturalnym. Przypomnijmy więc, co o polskiej poetce pisała „Ilustracja Polska” w roku 1902:

„Z duszy jej płyną liryki, śpiewne i słodkie, do najśłodszych dźwięków mowy polskiej zaliczone, a pełne treści ideowej. Posuwając się dalej w tym kierunku, Konopnicka dochodzi do najwyższych kresów, jakie są dane poecie: zlewa się z narodem, wciela w najtajniejsze głosy jego istoty i duszy.

Jak zawsze – droga prowadzi przez lud.

Zamieszkała Konopnicka wśród niego, wzięła odeń dźwięki jego pieśni, echo jego uczuć, wyrazy proste, a szczerze, wierne jego myśli. Dała szereg piosenek, pachnących rosą, dźwięczących świegotem, jaśniejącym całą krasą wsi polskiej. Dała szereg nowel, między którymi – rzecz charakterystyczna – prawie żadna nie rozgrywa się w sferze »inteligencji«, wszystkie wśród ludu. Trafiła w ton, który jest bezpośrednim wyrazem duszy, narodu. Odtąd lka i śmieje się przez nią lud cały, odtąd dąży, walczy i cierpi w niej naród cały”.

Na zdjęciu portret z tej samej gazety.

(mk)

Z Nowym Rokiem...



Leszek Długosz

Zmieniamy kalendarz, przeskakuje cyferka i zmienia się całe księgowanie... Stajemy się o rok starsi. Wszystko staje się o rok dawniej. Ale i o rok bliżej – wobec wyglądzanych terminów, oczekiwanych celów czy... nieuniknionych wyroków? Tak tu jesteśmy urzędzeni. Odmieniają się cykle przyrody, wyznaczając określone ziemskie i nasze ludzkie etapy. One stanowią miarę pamiętania i wszelako tu pojętego naszego tu księgowania. Tak sortuje się pasmo życia. Realizują się scenariusze. Czy owe formalne zmiany dat (kalendarzy) stanowią istotnie jakieś cezury w kontynuacji naszych życiowych akcji? Za drzwiami pierwszego stycznia rzeczywiście zostaje wszystko, czym żyliśmy 31 grudnia? Jak nikt inny, sami znamy najlepiej odpowiedź. Jakakolwiek by była, pragniemy (życzymy więc sobie), aby dalej działa się pomyślnie... Oby ta nowa data była szczęśliwa? Oby!

L.D. (amator astronom, amator księgowy)

* * *

Zawraca do nas znowu piosenka noworoczna

I biegnie dalej w swoją

Niepowrotną stronę...

– *Co żywe dalej? W sercach żywo śpiewa*

– *Co przedawnione? Niech już ucicha przedawnione.*

Niechaj się sypią z kalendarza

Kartki szczęśliwe

– *Lza, ból, mrok nieunikniony?*

– *Niech to przemyka skrajem*

Ledwie obrzeżem rzeczywistości

Losie...

Bądź szczodry, nie skąp radości sercom,

Gwiazdom pomyślności...

– *Tym, którzy pragną, tęsknią*

A pewnie jest to świata większość?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
w SIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania w SIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań w SIECI HISTORII)

* dane do przelazu w stopce redakcyjnej



*Świat opowiadamy w kółko.
I wymyślamy coraz to nowe
sposoby opowiadania.
Jednakże jeśli zbyt wiele
granic ekspresji i formy
przekroczymy, to opowieść
przestanie być opowieścią*

Było cudownie, bardzo się wzruszyłam. I naprawdę, patrząc na te dzieci – kolorowe, w różnych ubraniach, witające mnie w różnych swoich językach – pomyślałam, jakie to bogactwo sobie Szwecja przygarnęła wraz z imigrantami. Jaki to jest potencjał różnych sposobów myślenia, wrażliwości, puli genetycznej. (...) Zawsze w takich momentach jest mi po prostu wstyd za ten straszny 2014 r., kiedy Polska nie przyjęła imigrantów. Nigdy nie potrafię tego zrozumieć” – powiedziała Olga Tokarczuk po spotkaniu z młodzieżą w szkole jednej z imigranckich dzielnic Sztokholmu.

Trudno nie zestawić tego cytatu z przemową noblowską, esejem osobistym, głębokim, inspirującym. Pisarka ubolewa, że współczesność dotknęło

OD A DO ZYBERTOWICZ

Pani Imbryk

„upośledzenie umiejętności wielowymiarowego (konkretnego, historycznego, ale i symbolicznego, i mitycznego) uczestniczenia w łańcuchu wydarzeń zwanym naszym życiem”.

NIEWDZIĘCZNA RÓŻNORODNOŚĆ

Ale czyż jednowymiarowością nie razi postrzeganie przez noblistkę problematyki migracji? We wrześniu br. szwedzki czołowy dziennik „Dagens Nyheter”, któremu z pewnością bliżej do „Gazety Wyborczej” niż do konserwatywnej polityki obecnych władz RP, alarmuje, że polityka wielokulturowości „doprowadziła Szwecję do apartheidu”. Janne Josefsson, znany w Szwecji autor wielu reportaży telewizyjnych, pyta: „Czy naprawdę władze wiedzą, co zrobić, aby przełamać segregację i zlikwidować społeczeństwo klasowe? Mówimy o kraju, w którym nierówności społeczne rosną najszybciej w Europie”. Gdziekolwiek jeździ, Josefsson wszędzie widzi to samo: „Szwecja nie jest już jednym krajem, istnieją dwa światy. To nie może być celem, wręcz przeciwnie – taki stan jest kompletną polityczną porażką”.

PRZĘDZIE I TKA

„Świat jest tkaniną, którą przedziemy codziennie na wielkich krosnach informacji, dyskusji, filmów, książek, plotek, anegdot. Dziś zasięg tych krosien jest ogromny – za sprawą internetu prawie każdy może brać udział w tym procesie, odpowiedzialnie i nieodpowiedzialnie, (...) ku dobru i ku złu” – z tym motywem noblowskiego wykładu nie sposób się nie zgodzić. Tokarczuk przypomina, że ludzkość, wymyślając narrację, używała poczucia kontroli nad światem.

Świat opowiadamy w kółko. I wymyślamy coraz to nowsze sposoby opowiadania. Jednakże jeśli zbyt wiele granic ekspresji i formy przekroczymy, to narracja nie tylko się porwie, opowieść

przestanie być opowieścią. Utworzy się wir dezinformacji, który przesłoni archetypiczny podział na dobro i zło. Ale przecież Olga Tokarczuk pisarka doskonale to wie. A Tokarczuk aktywistka?

Każdemu można zarzucić niespójność. Tacy jesteśmy. Nie tylko niespójni, ale też nieracjonalni, nadmierne impulsywni. Jedni mniej, drudzy bardziej, ale chyba wszystkich to jakoś dotyka. Wcale nie wytykam noblistce po prostu tego, że jest niekonsekwentna. Chodzi o coś innego. Chodzi o wzięcie odpowiedzialności za to, co i jak autorka „przędzie” swoimi wypowiedziami – teraz słyszanyymi w wielu zakątkach świata.

Tokarczuk nie tylko w powieściach, także w przestrzeni publicznej, chciałaby „przetkać” rzeczywistość, która ją martwi. Czy bierze odpowiedzialność za to, co przedzie w ramach dyskursu społeczno-politycznego? Co komunikuje – niezależnie od swoich intencji – biorąc udział w paradach równości, uczestnicząc w feministycznych wiecach, promując różnorodność, zachęcając do takiego, a nie innego głosowania w wyborach?

POZA BAŚNIĄ

Nie wątpię, że spotkanie Tokarczuk z dziećmi imigranckimi w Sztokholmie było wzruszające i niezapomniane dla obu stron. Ale to tylko jeden wymiar – ten ze „świata imbryka”. Pisarka w wykładzie noblowskim pięknie wspomina, jak mama czytała jej baśnie Andersena i że bardzo tęskni do tamtego świata, gdzie jednym z ulubionych bohaterów był dumny porcelanowy imbryk do herbaty. Czym innym jest jednak romantyzm i baśniowo ujmowana różnorodność kulturowa, z całym swym bogactwem ekspresji, kolorów, dźwięków, od nieuchronnie uwikłanej w polityczność trudu współzycia ludzi o odmiennych temperamentach, obyczajach, tradycjach oraz... interesach.

Katarzyna Zybortowicz

Człowiek Wolności 2019

tygodnika

SIECI

MAMY
LAUREATA!



TYTUŁ CZŁOWIEKA WOLNOŚCI 2019 TYGODNIKA SIECI OTRZYMUJE
PREMIER **MATEUSZ MORAWIECKI**

Partnerzy plebiscytu



Bank Polski



Porty Lotnicze





Lotteria ŚWIĄTECZNA

Milion szans na miliony

Do wygrania 1 000 000
zakładów Lotto!

2 x
Toyota
Yaris



20 x
ASUS ZenBook



290 x
karta prezentowa
1000 zł



200 x
bon upominkowy
500 zł



Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto
i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.



Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Regulamin loterii dostępny na www.lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 26 listopada 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 grudnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl